

**MOC CZYTANIA NA DŁUGI WEEKEND CO NAM GROZI Z BIAŁORUSI | ŻNIWA,
ŚWIĘTO OBFITOŚCI | JAK WYMYŚLONO MARYJĘ | DZIECI NA ESTRADZIE: KULISY
SEKRETNE ŻYCIE SKAŁ | HIP HOP JEST STĄD | ŻAR NEAPOLU 15 SIERPNIA**

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 13 sierpnia 2023
nr 33 (3866) cena 13 zł (w tym 8% VAT)
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Matki chłopki są w nas



**SPECJALNE STRONY
NA 80. ROCZNICĘ
POWSTANIA
W BIAŁOSTOCKIM GETCIE**

Wejdź, czytaj!

Najnowsze wydanie Autorzy Archiwum Newsletter Podcast Wydania specjalne Fundacja Tygodnika Powszechnego Prenumerata papierowa Zaloguj

TYGODNIK POWSZECHNY

Serwisy Kraj Świat Wiara Kultura Historia Nauka **Kup Tygodnik**

Zupełnie nowy TygodnikPowszechny.pl

Oddajemy w Wasze ręce nową wersję tygodnikowego serwisu internetowego. Jesteśmy dumni ze zmian, jakich dokonaliśmy, i pewni, że także Was ucieszą.

Dla Was:

- uprościliśmy logowanie do serwisu
- uatrakcyjniliśmy wygląd serwisu
- ułatwiliśmy subskrybowanie i korzystanie z konta użytkownika
- umożliwiliśmy zakup prenumeraty i dostępu w jednej, niższej cenie
- zachowaliśmy możliwość pobierania numeru w formacie PDF
- usprawniliśmy zapisywanie artykułów do przeczytania na później
- ulepszyliśmy przeszukiwanie naszego archiwum

„Tygodnik Powszechny” – czy na papierze, czy online – to te same wyjątkowe treści, dojrzałe dziennikarstwo, najlepsi autorzy.

Teraz czytanie go jest wygodne i przyjemne jak nigdy.

KS. ADAM

Boniecki: Poproszę na stronę

MAMY W „TYGODNIKU POWSZECHNYM” NOWĄ epokę. Nową nie tylko z punktu widzenia technicznego. Nasza nowa strona internetowa jest piękna i przejrzysta, wygodnie się ją czyta na telefonach i tabletach, a w treści i duchu to zawsze ten sam „Tygodnik” (ten sam, choć nie taki sam). Ale piszę o nowej epoce dlatego, że dzisiaj bycie z Wami „co tydzień” to za rzadko – a strona internetowa dopełnia to, z czym rytm wydania papierowego nie pozwalałby zdążyć. Dzięki niej macie „Tygodnik” pod ręką zawsze, kiedy go potrzebujecie.

„Tygodnik” się reformuje od lat. Właściwie, odkąd tu jestem, zawsze coś poprawialiśmy. Tym częściej, im bardziej świat przyspieszał. Nie da się przecież inaczej. Ciekawe, ilu jeszcze czytelników pamięta dawny format, duży, przez niektórych bardzo lubiany, bo inny był wówczas nie do pomyślenia. Reformy czasem były ostrożne, niemal niezauważalne, żeby nie drażnić tradycjonalistów. Bywały też te bardzo wyraźne, nie do ukrycia. Przyznam, że nauczony doświadczeniem podjętego kiedyś (dawno) eksperymentu optowałem za stopniowym zmniejszaniem formatu pisma. W latach 2007-2014 „Tygodnik” się ukazywał w tym nieco zmniejszonym, jednak dość dużym formacie (sprawdźcie w archiwum strony internetowej). Ale półka, na której leżą tygodniki opinii, miała rozmiar, jaki miała, i wylatywało z niej wszystko, co było ponad tę miarę. Wylatywało byle gdzie. Nie było więc siły, by się oprzeć tym prostym regułom, choć bardzo nam nie pasowało, że „pismo inne niż wszystkie” musi mieć rozmiar jak wszystkie.

Oczywiście, zawsze jest ryzyko wyminięcia się z realnymi potrzebami ludzi. Wszyscy przecież czujemy, jak wiele jest nieprzewidywalnych zmiennych, kształtujących nasze nawyki i zachowania. Bo pandemia sprawiła, że papierniom bardziej się opłaca produkować karton na paczki z zakupami ze skle-



pów internetowych, więc papier gazetowy musiał niebotycznie podrożeć. Pandemia okazała się wielką promotorką sieci. Nasza nowa strona jest odpowiedzią na Wasze nowe oczekiwania. Teraz niewspółmiernie łatwiej będzie Wam zaprenumerować „Tygodnik” (także – co symboliczne – łącznie w wersji papierowej i cyfrowej), niewspółmiernie łatwiej będzie znaleźć wszystko na dowolny temat w dawnych materiałach. A to pozwoli przy okazji potwierdzić, że „Tygodnik” nie zmieniał sympatii w zależności od aktualnej koniunktury.

O udoskonaleniach tych piszę, żeby poinformować czytelników i pewnie trochę po to, żeby pokazać, że bez tego wychodzenia do przodu nie da się istnieć, choć sam techniczny rozwój nie jest jeszcze gwarancją spokojnego istnienia. Zawsze na dłuższą metę istotne będzie, co mamy do powiedzenia. Historia naszego pisma jest przyczynkiem do historii naszego czasu, a nasz czas jest... powiedzmy to skrótowo – bardzo interesujący.

I jeszcze o tym muszę wspomnieć: w numerze „Tygodnika Powszechnego” z datą 30 lipca Lektor zajął się książką Mikołaja Gryńberga „Jezus umarł w Polsce” („Sprawiedliwi z Podlasia”). Przeczytałem ją i myślę, że mało jest książek tak ważnych jak ta. Gryńberg – starannie unikając podawania nazwisk i adresów – opisuje coś, co dzieje się w Polsce, dzieje się chyba poza wiedzą większości Polaków. Mało jest książek tak aktualnych, tak bardzo pisanych wbrew dość powszechnemu myśleniu. Bo wiedza o tym, co dzieje się na granicy z Białorusią, jest utkana z uprzedzeń i schematów. Gryńberg jest powściągliwy, pisze o tym, co sam widział, słyszał i przeżył. „Trudno się czyta tę książkę”, pisze Lektor. Jest to „historia przyzwolenia większości na usankcjonowane odgórnie przeraźliwe okrucieństwo”. I to nie kiedyś, dawno, ale teraz, dziś. Dla takich spraw robimy to pismo. ©P

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PREMIERĘ NOWEJ ODSŁONY SERWISU
TygodnikPowszechny.pl
uczciliśmy dwoma nowymi serialami dziennikarskimi.

Pierwszy z nich to „Nowości z przeszłości” Agaty KAŹMIERSKIEJ, która zanurzyła się w archiwum „Tygodnika Powszechnego”, „przepastne źródło zaskoczeń, odkryć i znalezisk – które, czytane dziś, okazuje się mówić nam więcej, niż można by się spodziewać”. Odcinek pierwszy: **Gdy Kisiel pytał, co to jest komputer.**

W cyklu drugim, „Życie w Układzie Słonecznym”, Wojciech BRZEZIŃSKI zabiera czytelników w podróż po kosmosie: „Życie we Wszechświecie? To pytanie już od dawna nie przynależy do sfery science fiction. Ale życia nie trzeba szukać w odległych galaktykach czy na powierzchniach pozasłonecznych planet”.

Odcinek pierwszy: **Enceladus. Co tętni pod lodem**

Czytaj i oglądaj na TygodnikPowszechny.pl





20 Bez taryfy ulgowej

ANNA GOLUS

Rodzice twierdzą, że oddali młode gwiazdy w dobre ręce. Czy świat dorosłych znieczulił się na niszczącą seksualizację dzieci w show-biznesie?



30 Matki chłopki

SABINA
JAKUBOWSKA

W połowie
jestem ze wsi.
A może w trzech
czwartych. Jak
my wszyscy.
Czytając
o surowym życiu
naszych babek
i prababek,
przyglądamy się
sobie.

36 Maryja

wyobrażona

ROZMOWA

Z PROF. ERIKIEM

M. VANDENEM

EYKELEM,

HISTORYKIEM,

RELIGII:

W Ewangeliiach
jest bardzo
mało informacji
o matce Jezusa.
Historia jej życia
była wymyślana
zgodnie
z potrzebami
wczesnego
Kościoła.



46 Afryka: coraz więcej słabej Rosji

WOJCIECH JAGIELSKI

Wojsko przejęło władzę w Nigrze. Putin wspiera pucze, bo śniąc o odbudowie dawnych wpływów w Afryce, niewiele więcej ma jej do zaoferowania.



72 Narodziny cywilizacji

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Pomimo globalnego zasięgu hip hop pozostaje wierny lokalności, jaka towarzyszyła jego narodzinom w pewnej świetlicy.



86 Potwór jest głodny

ŁUKASZ NAJDER

Kto nie szedł przez to miasto, ten nie jest w stanie choćby sobie wyobrazić, jak nieskończona jest przestrzeń zwana Neapolem.

6 Łukaszenka prowokuje na granicy
WOJCIECH KOKOŃCZUK

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

20 Bez taryfy ulgowej
ANNA GOLUS

24 Niesforny świadek koronny
STEFAN SĘKOWSKI: *Prezes NIK niezależny od władzy? To tylko wypadek przy pracy*

27 Ziemia się mści
ANNA DUDZIŃSKA
o zapadliskach w Trzebini

■ ■ **15 SIERPNIA**

30 Matki chłopki
SABINA JAKUBOWSKA

■ ■ **WIARA**

36 Maryja wyobrażona
ROZMOWA Z PROF. ERIKIEM
M. VANDENEM EYKELEM,
HISTORYKIEM RELIGII

40 Islamem dobrze się straszy
KAROL WILCZYŃSKI

42 Polski katolik spotyka Buddę
PIOTR SIKORA *o nowych przekładach ważnych tekstów Wschodu*

■ ■ **ŚWIAT**

46 Afryka: coraz więcej słabej Rosji
WOJCIECH JAGIELSKI

50 Wojna dronów
ANTONINA PALARCZYK
Z ORICHIWA I ZAPOROŻA
(UKRAINA)

TEMAT TYGODNIKA

12 Misterium obfitości

MAREK RABIJ

Żniwa zawsze były świętem, ale teraz to także święto odzyskanej po latach tożsamości. Wieś nie chce już być miastem. Czuje się od niego ważniejsza i silniejsza.

16 Polska się wyżywi



MIKE MAREEN / STOCK.ADOBE.COM

■ **DODATEK** ■

63 80. ROCZNICA POWSTANIA W GETCIE BIAŁOSTOCKIM

■ **FELIETONY** ■

35 TOMASZ STAWISZYŃSKI
45 ZUZANNA RADZIK 57 ELIZA KĄCKA
84 OLGA DREND 85 PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
91 BARTOSZ MINKIEWICZ

ZDJĘCIE NA OKŁADCE:
OLENA RUBEN / GETTY IMAGES

Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

53 Porty ostatniej nadziei

TADEUSZ IWAŃSKI:
Ratunkiem dla eksportu ukraińskiego zboża może być Dunaj

56 Jeden Izrael to za mało

KAROLINA PRZEWROCKA-
-ADERET *o nietypowym pomysle na przewyciężenie podziałów*

■ ■ **HISTORIA**

58 Pół wieku na francuskich papierach

ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM
POMIANEM, FILOZOFEM
I HISTORYKIEM

■ ■ **NAUKA**

68 Kiedy życie było prostsze

ROZMOWA Z PROF. JERZYM
DZIKIEM, PALEO BIOLOGIEM,
o tym, co jest zapisane w skałach

■ ■ **KULTURA**

72 Narodziny cywilizacji

FILIP ŁOBODZIŃSKI

76 Nie Rosja

ZBIGNIEW ROKITA
o Wasylu Bykau i jego walce o język białoruski

79 Co on zmalował

PIOTR KOŚCIEWSKI:
Jan Matejko jest wciąż nieopowiedziany

82 W białych rękawiczkach

ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Reality”*

83 O śmierci bez przesady

LEKTOR *o książce Antoniego Kroha „Anioł śmierci z kilku stron”*

■ ■ **ZMYŚŁY**

86 Potwór jest głodny

ŁUKASZ NAJDER

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Życie w Układzie Słonecznym**

Nowy, kosmiczny cykl „Tygodnika”. W pierwszym odcinku odwiedzamy Enceladus, maleńki księżyc Saturna
| tygodnikpowszechny.pl/enceladus

➔ **Koledzy Putina zarabiają na wojnie miliardy**

Jak rosyjscy oligarchowie zarabiają na inwazji?
– odpowiada **ANNA ŁABUSZEWSKA** w cyklu Rosyjska Ruletka
| tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



ŁUKASZENKA PROWOKUJE NA GRANICY

Białoruski reżim prowadzi operację psychologiczną, która ma podgrzewać przedwyborczą atmosferę w Polsce i państwach sąsiednich. Kolejne incydenty graniczne mogą być kwestią czasu.

WOJCIECH KONOŃCZUK

POWYŻEJ:

Białoruski helikopter nad Białowieżą,
widziany z ul. Mostowej.
1 sierpnia 2023 r., godz. 8.43.

NARUSZENIE PRZEZ DWA BIAŁORUSKIE śmigłowce polskiej przestrzeni powietrznej oraz rosnąca liczebność Grupy Wagnera na Białorusi zwiększają zaniepokojenie Polski możliwym rozwojem sytuacji na granicy białoruskiej. Nakłada się na to również trwający już ponad dwa lata kryzys migracyjny, którego intensywność w ostatnich tygodniach także rośnie. Straż Graniczna odnotowuje codziennie nawet po 300 prób nielegalnego przekroczenia granicy polsko-białoruskiej. Jest oczywiste, że gdyby nie działania Mińska na tym odcinku granicy unijnej, nigdy nie doszłoby do

otwarcia nowego szlaku przerzutu migrantów.

Nic dziwnego, że sytuacja na granicy z Białorusią stała się jednym z ważnych tematów w europejskich dyskusjach na temat bezpieczeństwa, do czego walenie przyczynili się przede wszystkim wagnerowcy. Ich przybycie do obozu pod Osipowiczami w obwodzie mohylewskim jest bezpośrednią konsekwencją tzw. buntu Prigożyna, czyli nieudanej próby zamachu stanu w Rosji sprzed kilku tygodni. Elementem zawartego wówczas porozumienia z Kremlm było przerzucenie na Białoruś tych wagnerowców, którzy nie zechcą podpisać kontrak-

tów z armią rosyjską. Według szacunków od 5 do 7 tys. z nich wybrało taką opcję. Od tego czasu sąsiednie państwa UE i NATO zadają sobie pytanie, czym to potencjalnie może im grozić.

Według najbardziej optymistycznego scenariusza – niczym. Wagnerowcy mieliby bowiem wykorzystać Białoruś jedynie do tranzytu do państw afrykańskich, gdzie tradycyjnie zarabiają pieniądze. A jak wiadomo, najemnicy po to są najemnikami, aby zarabiać. O przyszłym przerzucie do Afryki mówił zresztą w lipcu Jewgienij Prigożyn, szef Grupy Wagnera. Co najwyżej część z nich pozostałaby dla szkoleń armii białoruskiej.

Ale jest też inny scenariusz, którego obawiają się państwa sąsiadujące z Białorusią. Mianowicie, że wagnerowcy mogliby zostać wykorzystani do różnego rodzaju prowokacji – nawet o charakterze zbrojnym – na granicy z Polską, Litwą i Łotwą oraz Ukrainą. To, że ta opcja jest niewykluczona, wskazywali w ostatnich dniach przedstawiciele tych krajów, ale również NATO. Mocno wybrzmiał także głos amerykańskiej ambasador przy ONZ, która stwierdziła, że „jakiegokolwiek atak ze strony Grupy Wagnera będzie równoznaczny z atakiem ze strony Rosji”. Jest bowiem jasne, że to nie reżim Łukaszenki kontroluje wagnerowców, ale są oni narzędziem w rękach Kremla. Trzeba też pamiętać, że gdyby władze w Mińsku chciały zdestabilizować granicę, to mają do tego własne siły, w tym choćby ASAM, jednostkę specjalną białoruskiej straży granicznej.

Obserwując narrację Łukaszenki widać, że świadomie przyczynia się do wzrostu napięcia wokół granicy, czego przykładem są jego niedawne słowa, że najemnicy Wagnera „chcą jechać na wycieczkę do Warszawy i Rzeszowa”. Naruszenie polskiej przestrzeni powietrznej przez dwa białoruskie śmigłowce, które nie mogło być przypadkowe, jest elementem tej trwającej kampanii, bez wątpienia wspieranej przez Moskwę. I o to właśnie chodzi Łukaszence oraz stojącemu za nim Kremlowi – aby Polska i inne państwa NATO nie czuły się bezpiecznie, aby nieustannie podgrzewać atmosferę, szczegól-

nie w kontekście przedwyborczym w Polsce. Można to traktować także jako swoistą zemstę ze strony białoruskiego dyktatora, który jest przekonany, że nie byłoby masowych protestów Białorusinów w sierpniu 2022 r., gdyby nie inspiracja i wsparcie ze strony Polski oraz innych państw zachodnich.

Wszyscy unijni sąsiedzi Białorusi na wszelki wypadek zwiększają obecność wojskową przy granicy z problematycznym sąsiadem. Ukraińcy zrobili to już wiele miesięcy temu, nie wykluczając możliwości agresji ze strony białoruskiej. Granica ukraińsko-białoruska jest całkowicie zamknięta i odpowiednio umocniona. Ani wagnerowcy, ani siły białoruskie nie stanowią dla niej poważnego zagrożenia.

Ważna jest szybka koordynacja działań między Polską, Litwą i Łotwą, czego dobrym przykładem było czwartkowe spotkanie w Suwałkach premierów Mateusza Morawieckiego i Gitanasa Nausėdy i ich słowa o niezbędnych zabezpieczeniach, aby „wroć nie miał żadnej myśli czy pokusy, żeby testować poziom przygotowania do prowokacji”. Już wcześniej Warszawa, Wilno i Ryga wyraźnie zakomunikowały, że w razie jakiegokolwiek prowokacji są gotowe do całkowitego zamknięcia granicy białoruskiej. Litwini zapowiedzieli, że w najbliższym czasie zamkną dwa z sześciu funkcjonujących przejść granicznych. Gdyby doszło do pełnego odcięcia się od Białorusi, oznaczałoby to przede wszystkim uderzenie w gospodarkę białoruską, która i tak ma liczne problemy związane z zachodnimi sankcjami. Szczególnie dotkliwe dla Mińska byłoby jednak nie tyle wstrzymanie białoruskiego eksportu, co importu z Unii, którego Białoruś potrzebuje.

W kolejnych tygodniach, a pewnie i miesiącach należy się zatem spodziewać dalszego podgrzewania przez reżim Łukaszenki sytuacji na granicy. Konfliktu zbrojnego z tego nie będzie, ale kolejne prowokacje mogą być kwestią czasu. Moskwa pokazuje w ten sposób, że dopóki nie dojdzie do uregulowania na rosyjskich warunkach jej konfliktu z Ukrainą, dopóty państwa zachodnie muszą liczyć się z ciągłymi problemami. ©

RUSSELL EMM / ARCHIWUM PRYWATNE



PETER CADDICK-ADAMS:

Putin boi się stracić Białoruś

PATRYCJA BUKALSKA: Grupa Wagnera, białoruskie helikoptery nad Polską – czy mamy powody do niepokoju?

PETER CADDICK-ADAMS: Putin od dłuższego czasu stara się wchłonąć Białoruś. Rozlokowanie tu wagnerowców jako piechoty, bez ciężkiego sprzętu, tylko to potwierdza. Z punktu widzenia Rosji to stabilizuje Białoruś, a zwiększa zagrożenie wzdłuż polskiej granicy. Mówiąc najkrócej: nie będzie żadnej inwazji na Polskę, choć wysuwanie takich gróźb odpowiada Putinowi.

Z punktu widzenia Zachodu jest to groźba wobec NATO. W ciągu ostatnich trzech miesięcy brytyjskie lotnictwo wielokrotnie przechwytywało rosyjskie samoloty w pobliżu przestrzeni powietrznej państw bałtyckich. Putin chce zapewne zmusić Sojusz do rozciągnięcia jego zasobów broni i personelu, tak by zabezpieczał Bałtów i Polskę.

Inwazji nie będzie, a co z prowokacjami i atakami hybrydowymi?

Ataki hybrydowe – czyli te w cyberprzestrzeni – zdarzają się każdego dnia, ale Zachód radzi sobie z nimi bardzo dobrze. Powiedziałbym nawet, że wojnę w cyberprzestrzeni aktualnie wygrywamy.

Putin bardziej martwi się o to, żeby Białoruś nie stała się zagrożeniem dla Rosji. Jestem przekonany, że prawdziwym celem wysłania wagnerowców na Białoruś jest dla niego właśnie jej zabezpieczenie – a nie atak na Zachód.

A zatem jeśli chodzi o sytuację na granicy oraz tzw. przesmyk suwalski, czasem określany jako potencjalnie najniebezpieczniejsze miejsce na świecie, powinniśmy zastosować brytyjskie powiedzenie „Keep calm and carry on”?

Zdecydowanie tak. Co więcej, powiedziałbym, że przesmyk suwalski jest teraz bezpieczniejszy niż kiedykolwiek. Rosja wycofała z Kaliningradu prawie cały swój garnizon, najlepszych żołnierzy oraz dużą część floty. W eksklawie ma obecnie niewielkie siły i trochę wyrzutni rakietowych. Zagrożenie dla Polski jest czysto hipotetyczne. ©

PETER CADDICK-ADAMS jest brytyjskim analitykiem wojskowym i historykiem.



ŚDM – esencja pontyfikatu

ARTUR SPORNIAK

GDYBY KTOŚ CHCIAŁ SIĘ SZYBKO zorientować, o co chodzi Franciszkowi, jakim jest człowiekiem i na czym mu zależy, mógłby po prostu przyjrzeć się zakończonemu w niedzielę w Lizbonie Światowym Dniom Młodzieży. To była esencja tego pontyfikatu, ukazująca jego spontaniczność, radość ze spotykania ludzi, prosty ewangeliczny przekaz, niestandardowe gesty – ale też niosąca rozczarowanie.

Oprócz Lizbony papież odwiedził Fatimę. Wielu się spodziewało, że Franciszek wykorzysta to miejsce (w którym Maryja wzywała do nawrócenia Rosji) do przekazania mocnego apelu o pokój na Ukrainie. Nic takiego nie nastąpiło. Podczas powrotu z Portugalii papież tłumaczył dziennikarzom w samolocie, że pojechał do Fatimy modlić się o pokój, a nie „robić reklamę”. Z kolei na pytanie, na czym polega otwartość Kościoła, o której tak wiele mówi, skoro kobiety nie mają dostępu do sakramentu święceń, a osoby LGBT+ do sakramentu małżeństwa, Franciszek wskazał, że należy odróżnić porządek sakramentalny, którym Kościół się kieruje, od towarzyszenia każdemu.

Potwierdziły się słowa samego papieża, że nie potrafi funkcjonować bez kontaktu z ludźmi. Mimo

kłopotów z poruszaniem się (większość czasu spędzał na wózku inwalidzkim) Franciszek wśród ludzi czuł się znakomicie. Przemawiając do tysięcy młodych, odkładał przygotowane przemówienia i prowadził improwizowany dialog. Mówił młodym, że spotkanie z Jezusem przynosi radość, której nie da się zatrzymać dla siebie. Z politykami dzielił się swoim marzeniem o Europie otwartej na migrantów i pomysłów w gaszeniu ognisk wojny. Papież wykorzystał te pięć dni (od 2 do 6 sierpnia) także na wiele prywatnych spotkań. Godzinę rozmawiał z osobami wykorzystanymi seksualnie w Kościele, przyjął uchodźców z Ukrainy, na prywatną mszę zaprosił rodzinę katechетки, która zginęła w wypadku podczas ŚDM. Był też sobą, kiedy ominął przygotowany dla niego konfesjonał z białym krzyżem i siadł w zwykłym.

Lizbona pokazała, że formuła Światowych Dni Młodzieży się nie wyczerpała – przyjechało dwukrotnie więcej osób, niż się spodziewano. W sobotnim czuwaniu z papieżem i w niedzielnej mszy uczestniczyło 1,5 mln osób. Kolejne spotkanie w 2027 r. w Seulu, a wcześniej papież spotka się z młodzieżą w Rzymie, obchodząc Rok Święty 2025. ©P



Pielgrzymi na mszy otwierającej Światowe Dni Młodzieży 2023. Lizbona, 1 sierpnia 2023 r.



Ślepa uliczka?

MAREK KĘSKRAWIEC

TRZECIA DROGA NIGDY NIE BYŁA W TAK ZŁYM STANIE, jak mogłoby wynikać z doniesień, które od tygodnia wieszczą rozwód PSL z Polską 2050. Fakt, Szymon Hołownia źle zareagował na pomysł dokooptowania do koalicji Agrounii Michała Kołodziejczaka oraz polityków Porozumienia. Jednak ani on, ani Władysław Kosiniak-Kamysz nie są aż takimi ryzykantami, by na dwa miesiące przed wyborami rozwać projekt, który mimo kryzysu sondażowego po 4 czerwca i ciągłych oskarżeń o odgrywanie roli pożytecznego idioty Jarosława Kaczyńskiego wyszedł z kłopotów i w kolejnych badaniach opinii regularnie przekracza 10 proc.

Obecność Agrounii dawałaby PSL szansę na wspólne odzyskanie wsi z rąk PiS, ale z drugiej strony czyniłaby Trzecią Drogę jeszcze bardziej egzotyczną koalicją. Retoryka siłą rzeczy stałaby się bardziej antyukraińska (w związku z kryzysem zbożowym), a to raczej kłóci się z intencjami miejskiego elektoratu Polski 2050. Otwiera zarazem pytanie o lojalność Agrounii po wyborach, w obliczu ewentualnego kuszenia jej posłów przez PiS.

Problemem Trzeciej Drogi jest brak jasnej tożsamości.

Duża część wyborców Polski 2050 traktuje ją jak odnowioną wersję dawnej PO, z jej lekko konserwatywnym sznytem z lat 2005-11.

No i oczywiście bez Donalda Tuska, który dla zwolenników Hołowni jest elementem duopolu, z którym raczej woleliby już skończyć. Niekoniecznie jednak w towarzystwie nowego trybuna ludowego, nawet jeśli nie przypomina on Andrzeja Leppera.

Kosiniak-Kamysz i Hołownia wiedzą, że startując osobno osiągną w wyborach gorszy wynik – i to zadziało trzeźwiaco podczas ostatniego sporu. Ważny był też zapewne niekonfrontacyjny charakter lidera PSL, który po prostu ustąpił Hołowni. Kłopot w tym, że nadal wyraźnie widać, iż ten związek jest zimnokrwisty, niespójny, programowo nieczytelny. Nie pomaga mu też sam Hołownia, który przyznał się ostatnio do promowania Romana Giertycha jako kandydata na wspólną listę opozycji do Senatu, co staje w sprzeczności z jego deklaracjami o nowej jakości w polityce. Jakby zapominał, że w Polsce wciąż żyje wielu ludzi, którzy pamiętają mecenasowi nacjonalizm, rządy z PiS-em i wojnę z Gombrowiczem. ©P

NA PUNKTY



Trump: więcej zarzutów

MARTA ZDZIEBORSKA

GRZYB

Gwałtowne burze i groźne alerty, Jarosław Kaczyński zaś w trakcie podróży po kraju przypomina, że ogromna część Polaków chodzi na grzyby. „To część naszej wolności i nie damy sobie tej wolności zabrać” – mówi. „Trochę dziwnie się czuję, mając takiego rywala” – komentuje Donald Tusk.

ZARAŻA

À propos wolności: „Nikogo nie chciałem obrazić. Natomiast domagałem się, by wolność każdego, w tym każdego katolika, była uszanowana” – tłumaczy abp Marek Jędraszewski słowa sprzed czterech lat o „tęczowej zarazie”. „Te marsze tzw. równości, te publiczne kpiny z Najświętszego Sakramentu, z Matki Bożej, bez jakiegokolwiek żenady, jakiegokolwiek sprzeciwu. Czy można było milczeć?” – pyta na spotkaniu w trakcie Światowych Dni Młodzieży w Lizbonie.

KARA

À propos milczenia: „Warto pamiętać, że przedwojenna Warszawa była prawdziwą stolicą prostytucji i aborcji. I że kara za te grzechy była zapowiadana” – czytamy na Twitterze katolickiego czasopisma „Polonia Christiana” w rocznicę powstania warszawskiego. Wpis ten odbiera mowę bardziej niż widok wiceministra Kowalskiego z powstańczą opaską. ©C

CALY ŚWIAT PAMIĘTA KADRY Z 6 STYCZNIA 2021 r., gdy na Kapitol wdarł się tłum zwolenników Donalda Trumpa. W minionym tygodniu wielka ława przysięgłych w Waszyngtonie zarzuciła byłemu prezydentowi USA, że mimo przegranej w wyborach chciał pozostać przy władzy i 6 stycznia oraz w okresie poprzedzającym ten dzień spiskował w celu zmiany ich wyników. Miał działać we współpracy z sześcioma osobami, jednak ich nazwiska nie padają w akcie oskarżenia. Trump usłyszał cztery zarzuty: spisku przeciwko Ameryce, m.in. poprzez szerzenie powyborczych kłamstw oraz naciski na urzędników stanowych i wiceprezydenta Mike'a Pence'a, by pomogli mu zmienić wynik wyborów; spisku w celu wstrzymania w Kongresie procedury certyfikacji wyborczego zwycięstwa Joego Bidena oraz prób niedopuszczenia do tej procedury, podejmowanych w okresie od dnia wyborów do 7 stycznia 2021 r. Trumpowi zarzucono także udział w spisku mają-

cym pozbawić Amerykanów prawa do głosowania.

Polityk nie przyznał się do winy, oświadczył, że padł ofiarą nagonki politycznej i że to „smutny dzień dla Ameryki”. Jego prawnicy twierdzą, że akt oskarżenia jest atakiem na jego wolność wypowiedzi: Trump rzekomo dzielił się jedynie swoimi wątpliwościami na temat uczciwości wyborów i miał do tego święte prawo, gdyż chroni go pierwsza poprawka do konstytucji. Eksperti są jednak zgodni, że to najmocniejsze zarzuty karne postawione do tej pory Trumpowi, dotyczą bowiem okresu, w którym był jeszcze prezydentem USA.

Z drugiej strony trudno liczyć, że kolejne problemy prawne osłabiają jego notowania jako lidera w walce o nominację Partii Republikańskiej. Jeśli Trump stanie do walki z Joem Bidenem (a może to zrobić, nawet jeśli zostanie skazany), czeka go rywalizacja z prezydentem mającym rekordowo niskie, 39-procentowe poparcie. ©

Autorka jest dziennikarką „Press”.



Lekarze domagają się dymisji ministra

MAŁGORZATA SOLECKA

TRWAJĄCY OD PONAD miesiąca spór ministra zdrowia z lekarzami wszedł na nowy poziom. 2 sierpnia pojawiły się przepisy regulujące wystawianie recept na leki psychotropowe i odurzające (przeciwbólowe). Miesiąc wcześniej, bez podstawy prawnej, minister ograniczył liczbę recept, jaką można wystawić: 300 w ciągu 10 godzin. Nie udało się mu jednak zważyć

receptomatów – nadal udostępniają one substancje, które mogą być używane do celów innych niż medyczne. A nawet stosowane zgodnie z przeznaczeniem mogą uzależniać, dlatego powinny być pod ścisłą kontrolą.

Jednak sposób wdrożenia ograniczeń sprawił, że 3 sierpnia lekarze zaczęli alarmować, iż system blokuje wystawianie recept nawet podczas wizyt osobistych, m.in. pacjentów

onkologicznych. Ministerstwo uspokajało, że pracuje nad problemami, a gdy już się wydało, że sprawa może się rozjeść po kościach, minister zdrowia zamieścił tweeta, w którym ujawnił, że krytykujący resort zdrowia lekarz – wymieniony z nazwiska – skłamał, twierdząc, że nie mógł wypisać pacjentom recept, bo sam sobie wystawił receptę na lek z grupy objętej ograniczeniami. Lekarz nie skłamał,

ponieważ wystawiając ją dla samego siebie, korzystał z innej ścieżki. Ale to „drobiazg”, bo nawet gdyby skłamał, to minister i tak złamał konstytucję, gwarantującą obywatelom prawo do prywatności. Złamał ustawę o ochronie danych osobowych, ustawę o informacji w ochronie zdrowia, ale naruszył też coś ważniejszego – tajemnicę pacjenta. Miarą „sukcesu” Adama Niedzielskiego jest zasięg jego wpisu, który przez weekend zanotował niemal 4,5 mln wyświetleń. Efekt? Samorząd lekarski w sobotę powiadomił premiera, że lekarze odmawiają dalszej współpracy z Niedzielskim. ©



KONRAD KOZŁOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wyniki rekrutacji w II Liceum Ogólnokształcącym w Krakowie. 27 lipca 2023 r.

Ponadpodstawowy ścisk

LICEA ■ Warszawa: cztery i pół tysiąca; Kraków: ponad dwa i pół tysiąca; Wrocław: przeszło tysiąc – to przykładowe liczby tegorocznych absolwentów podstawówek, którzy nie dostali się w swoim mieście do żadnej szkoły ponadpodstawowej. Przynajmniej do tej pory, czyli w ramach odbywającego się w lipcu pierwszego etapu rekrutacji do liceów, techników i szkół branżowych.

Problem niedoboru miejsc, dotyczący głównie wielkomiejskich liceów, to pokłosie tzw. kumulacji roczników. W 2014 i 2015 r. do podstawówek poszło po półtora rocznika sześciolatków i siedmiolatków, którzy we wrześniu ubiegłego oraz we wrześniu tego roku przypuścili (lub przypuszczają) szturm na szkoły ponadpodstawowe. Kto poza władzą centralną (rządem PO-PSL, który wprowadził nieprzygotowaną reformę wysyłającą sześciolatków do szkół PiS-u, który po wygranych wyborach zastąpił ją kolejną reformą) jest winny drugiem z rzędu wakacjom, w czasie których rodziny czternasto- i piętnastolatków więcej myślą o wnioskach, odwołaniach i innych dokumentach niż o odpoczynku? Spierają się o to samorządowcy: ci z dużych miast dowodzą, że przygotowali w szkołach ponadpodstawowych nawet więcej miejsc, niż wynosi liczba absolwentów podstawówek, tyle że „ich” licea

oblegają też uczniowie z ościennych miasteczek, których władze nie poszerzyły własnej puli.

Lada moment problem powinien się częściowo rozwiązać. W najbliższych dniach (Warszawa 9-11 sierpnia, Kraków 14-22 sierpnia) szkoły będą podawać wyniki tzw. rekrutacji uzupełniającej, w której biorą udział wspomniane dzieci „bez szkoły”, a także te, które z przydziału na pierwszym etapie nie były zadowolone (nie dostały się do placówki swojego pierwszego wyboru). Ale to nie koniec: ci, którzy także w sierpniu nie dostaną się do wymarzonej – albo i żadnej – szkoły, będą liczyć na ostatnie, wrześniowe już przegrupowania (np. ktoś wycofa w ostatniej chwili papiery ze szkoły X, a placówka Y wygospodaruje dodatkowe miejsca).

Za kilka tygodni mogą się więc powtórzyć sceny z września ubiegłego roku, kiedy to licea były – jak mówił wówczas „Tygodnikowi” Dariusz Domajewski z Wydziału Edukacji Urzędu Miasta Krakowa – niczym tramwaje: „Jedni wsiadali, drudzy wysiadali, dyrektorzy nie mieli pojęcia, ilu będzie uczniów”. Te tramwaje, dodajmy, są wyjątkowo w skali ostatnich dwóch dekad zatłoczone – 4 września w polskich szkołach ponadpodstawowych znajdzie się rekordowe 1,8 mln uczniów.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Cała Polska chodzi do pracy, nawet emeryci

ZATRUDNIENIE ■ Nigdy w historii pomiarów naszej aktywności zawodowej nie padły jeszcze takie wartości: w Polsce pracuje już ponad 17 mln osób – podliczył serwis Business Insider na podstawie danych Eurostatu. W porównaniu z pierwszym kwartałem ubiegłego roku oznacza to wzrost o 236,9 tys. osób, ale na przestrzeni trzech ostatnich lat przybyło aż 790,5 tys. pracujących. Polska, która w zestawieniach aktywności zawodowej mieszkańców od lat plasowała się na końcu europejskiej stawki, awansuje o kilka oczek, ale nie chodzi o rankingi. Gospodarka, budżet i system emerytalny potrzebują więcej rąk do pracy, zwłaszcza w obliczu zapaści demograficznej, która za kilkanaście lat da o sobie znać także na rynku pracy.

Statystyki odzwierciedlają oczywiście rosnący udział emigrantów i migrantów zarobkowych na polskim rynku pracy (z danych ZUS wynika, że na koniec maja pracowało ich w Polsce 1,85 mln, co oznacza, że tylko w obecnym roku przybyło ich ok. 22 tys.), ale nie tylko oni odpowiadają za ten skok. Z danych Eurostatu wynika, że do przeszłości zaczyna przechodzić również inny polski problem z pracą, jakim jest niska aktywność zawodowa seniorów. W ciągu ostatnich dziesięciu lat liczba mieszkańców Polski pozostających na rynku pracy pomimo nabytych praw emerytalnych wzrosła aż o 293 tys. – do 826 tys. osób.

Według wstępnych danych Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej stopa bezrobocia w Polsce w lipcu 2023 r. wyniosła 5 proc. Oznacza to, że nie zmieniła się w porównaniu do czerwca. Prognozy resortu zakładają, że już po przyszłorocznych wakacjach liczba zarejestrowanych w urzędach bezrobotnych spadnie poniżej 500 tys., co oznaczałoby, że wskaźnik bezrobocia wyniesie ok. 4,7-4,8 proc.

W wymiarze ilościowym polski rynek pracy ma się więc dobrze jak nigdy dotąd. Pozostaje za dbać jeszcze o jego jakość, czyli o pensje, formy zatrudnienia i warunki samej pracy.

© MAREK RABIJ



**DZIENNIKARZE
I AUTORZY „TP”**

co tydzień goszczą w programie

„Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Stuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole
97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

– www.tokfm.pl

Erytrea w Skandynawii, czyli polityka z importu

DIASPORY ■ Jeśli nie zainteresujesz się światem, świat sam zainteresuje się tobą. Ta zasada coraz częściej sprawdza się w Europie – ostatnio, na dwa sposoby, w Danii i Szwecji.

Pierwsze z tych państw rozważa wprowadzenie zakazu palenia Koranu (oraz świętych ksiąg innych religii) podczas demonstracji ulicznych. Miało by to zapobiec narażaniu bezpieczeństwa i ważnych interesów kraju przez rodzimych ekstremistów lub agentów zagranicznych wywiadów. Duński rząd zastrzega wprowadzić, że warunki zastosowania zakazu byłyby ściśle określone i nie ograniczałyby prawa do wolności wypowiedzi, jednak nie wiadomo, jak miałyby to wyglądać w praktyce.

Szwecja – gdzie przypadki palenia Koranu (i podobizn Recep Tayyipa Erdoğan, prezydenta Turcji) podczas kurdyjskich demonstracji przyczyniły się do kilkumiesięcznego opóźnienia



Po zamieszkach w czasie erytrejskiego festiwalu kulturalnego Eritrea Scandinavia. Sztokholm, 3 sierpnia 2023 r.

procesu akcesji do NATO – bo ryka się z jeszcze większymi wyzwaniami. Przez lata prowadziła ona dość liberalną politykę migracyjną, otwierając granice uchodźcom i prześladowanym dysydentom. Uratowało to życie tysiącom ludzi, jednak zwłaszcza w miastach doprowadziło też do powstania zwartych i silnych diaspor. I nie chodzi tu o mityczne „strefy bezprawia”, w których bałaby się interweniować policja (do pewnego stopnia są one wytworem wyobraźni środowisk antymu-

zułmańskich), lecz o środowiska quasi-polityczne. „Quasi” – bo, inaczej niż np. w Stanach Zjednoczonych, bardziej niż do uczestnictwa w życiu politycznym w państwie przyjmującym, są one skłonne przenosić na nowy teren swoją politykę krajową.

Ostatnim przykładem jest „druga Erytrea”, czyli liczna diaspora przybyła do Szwecji z państwa, którego reżim do niedawna porównywano z Koreą Północną. Tylko w ostatnim tygodniu w Sztokholmie aresz-

towano kilkadziesiąt osób, gdy zwolennicy erytrejskiej opozycji zaatakowali festiwal organizowany przez zwolenników rządu. Zdaniem opozycji coroczna impreza służy nie tyle promocji erytrejskiej kultury, ile zbieraniu funduszy dla autorytarnego rządu w Asmarze. Po ostatnich wydarzeniach szwedzki rząd jest w trudnej sytuacji: dotąd zagraniczne zaangażowanie ograniczał do pomocy humanitarnej – teraz powinien rozwiązywać „obce” problemy u siebie.

©© MARCIN ŻYŁA



VEGOR LARIN / ADOBE STOCK

Łaskotane szczury piszczą ze śmiechu

NEURONAUKA ■ Istota szara okołowodociągowa (PAG) to występująca u wielu grup zwierząt część mózgu, która bierze udział w licznych automatycznych zachowaniach i reakcjach. Wiadomo było, że u szczurów

uczestniczy m.in. w podejmowaniu decyzji o walce lub ucieczce, wykazuje aktywność podczas zabawy zwierzęcia i kontroluje jego spontaniczne wokalizacje, u ludzi zaś aktywuje się podczas śmiechu i doświadczania łaskotania. Dlatego właśnie tej strukturze przyjrzał się zespół Michaela Brechta z Uniwersytetu Humboldtów w Berlinie podczas badania, w którym łaskotano szczury i bawiono się z nimi w berka.

Autorzy eksperymentu opisanego w „Neuronie” najpierw potwierdzili, że część komórek PAG aktywuje się, gdy szczury są delikatnie dotykane po grzbiecie, większa liczba neuronów – gdy są łaskotane po grzbiecie, a struktura jest najsilniej aktywna, gdy szczura łaskota się po brzuchu. Aktywacjom PAG towarzyszą także coraz silniejsze wokalizacje – wysokiej częstotliwości piski sygnalizujące zadowolenie – a więc funkcjonujące jak śmiech.

Następnie badaniem szczurom zablokowano obszar PAG, wstrzykując im jedną z dwóch substancji (związek psychoaktywny występujący w muchomorach lub środek na znieczulenie ograniczający komunikację między neuronami). Po takim zabiegu szczury słabiej reagowały na łaskotki i były mniej skłonne do zabawy w berka. Blokada PAG okazuje się wywierać znacznie silniejszy wpływ na skłonność do zabawy szczurów niż opisane wcześniej w literaturze naukowej uszkodzenia kory mózgowej.

Wygląda więc na to, że szczury – a zapewne i inne zwierzęta – posiadają mózgowy „ośrodek zabawy”, zlokalizowany w ewolucyjnie starszej części mózgu. I że śmiech jest kluczowym elementem tego zachowania – bez niego trudno rozróżnić, czy mamy do czynienia z zabawą, czy walką.

©© ŁUKASZ KWIATEK

MISTERIUM OBFITOŚCI

Żniwa zawsze były świętem, ale teraz to także święto odzyskanej
po latach tożsamości. Wieś nie chce już być miastem.
Czuje się od niego ważniejsza i silniejsza.

MAREK RABIJ



WIELKI, NIE? – KRYSTIAN PŁUS MRU-ży oczy, spoglądając z zadowoleniem w stronę nowego aluminiowego silosu na zboże. – Dziewięć koma siedem metra wysokości. Osiemdziesiąt ton ładowności! Kosztował majątek. Ale nic to. Ważne, żeby pogoda dopisała. Zobaczmy, ile w tym roku sygnie – kończy tonem wyrażającym mieszaną obaw i nadziei.

Prognozy mówią, że sygnie obficie. Według ostatnich szacunków Izby Zbożowo-Paszej do końca pierwszego tygodnia sierpnia zebrano już ponad 80 proc. zasianego jęczmienia. Plony są bardzo wysokie – rolnicy często pozyskują powyżej 7 ton z hektara. W gospodarstwie Krzysztofa Krawca ze Stróżewa w Zachodniopomorskiem padł nawet nowy rekord Polski w plonach jęczmienia ozimego: 11,628 tony z hektara. Dobrze zapowiadają się także plony rzepaku. Hektar takich upraw daje średnio 3–4 tony ziarna o zawartości tłuszczu powyżej 43 proc. Na pola obsiane pszenicą kombajny dopiero wjeżdżają, ale pierwsze szacunki mówią o zbiorach na przyzwoitym poziomie – ok. 6 ton z hektara.

Martwią się tylko plantatorzy żyta. – Czy się denerwuję? – powtarza pytanie Płus. – Dwudziesty szósty rok sam gospodarzę. Wcześniej pracowałem z ojcem. I powiem tak: do tego się przyzwyczaić

nie da. Żniwa to zawsze nerwówka. Krąży człowiek od prognozy do prognozy, próbuje tak zaplanować robotę, żeby się złapać na dobrą pogodę. Ale wszystkiego i tak nie przewidzi.

Czego nie wiedzą miastowi

Krystian do dziś wspomina pewne żniwa sprzed kilkunastu lat.

– Pogoda jak drut. Upał od rana do wieczora, chmurki na niebie chyba przez dwa tygodnie. Kombajn mieliśmy zamówiony na piątek. I w czwartek w nocy telefon. Kombajnista wracał wieczorem zmęczony z pola, przysnął, złapał poboche i ściągnęło go do rowu. Nagarniacz, ten walec z przodu, trafił szlag. Maszyna wypadła z grafika i na koszenie musiałem poczekać aż do wtorku. A w niedzielę przyszła burza. Wszystko, aż po horyzont, się położyło. Przez te dwa dni, co zostały do koszenia, myślałem, że osiwieję z nerwów – opowiada.

– Ludzie w mieście – ciągnie Płus – nie zdają sobie sprawy z wagi żniw. Nie wiedzą, co to wyległy łan, czyli zboże z ciężkim, gotowym do żęcia kłosem, położone przez pierwszy większy deszcz. Nie rozumieją, jakim zagrożeniem dla plonów jest porastanie, kiełkowanie ziaren w kłosach, kiedy położone zboże nie trafi na czas pod dach i złapie w polu wilgoć. Koszenie takiego zboża trwa o wiele dłu-

żej, a ryzyko porastania rośnie z każdą kolejną niepotrzebną godziną na polu.

Rolnik świdruje mnie wzrokiem. – Wyobraź sobie – mówi – że przez rok harujesz nad czymś, od czego zależeć będzie los twojej rodziny w kolejnym roku. I że ten cały wysiłek w kilka dni może zniweczyć coś, na co nie masz wpływu. Czujesz to? No to witamy na żniwach.

Pogoda dla posiadaczy

Kiedyś w żniwach przeszkadzał sralabartek. Ewentualnie Srała Bartek lub stroła – zależnie od regionu. Jakoś trzeba było nazwać tę siłę, która w upalne dni zstępowała nagle z bezchmurnego nieba i w postaci wiru pędziła polnymi drogami tabuny piasku albo przewracała snopy zboża przygotowanego już do młócki. Meteorolodzy mówią dziś na to „wir piaskowy” albo „lej kondensacyjny”, ale wciąż słabo radzą sobie z jego przewidywaniem. Nie mówiąc o zapobieganiu. Ludowa tradycja kazała tymczasem cisnąć w wir sierpem dla przegonięcia demona. Proste.

Krystian Płus o sralabartku nie słyszał, ma za to w komputerze i smartfonie aplikację jednej z firm dostarczających mu nawozy, która oferuje w pakiecie szczegółowe prognozy pogody dla rolników. Podaje informacje o parowaniu, natężeniu →



→ promieniowania słonecznego czy temperaturze gruntu. Rzecz bezcenna na każdym etapie prac w polu, choć najbardziej przydaje się podczas zasiewów i przy nawożeniu.

– Tyle że ja nawet z tym arsenałem czuję się rolnikiem gorszym od ojca, któremu jeden rzut oka na łan wystarczył do oszacowania, za ile dni zboże będzie się nadawało do żęcia – zauważa Krystian. – Tata uczył mnie, jak łamać ziarno na paznokciu, żeby ocenić jego dojrzałość i stopień wypełnienia. Teraz to też się robi automatycznie, można nawet z drona. Ale ojciec pracował na pięciu hektarach. Ja mam już sześćdziesiąt osiem – wylicza.

Plus wyświetla mi w smartfonie film, który nad swoimi polami nakręcił w maju z drona. Po obu stronach ekspresówki S3, która na tym odcinku przecina malownicze Wzgórza Dalkowskie, niemal wszędzie w zasięgu kamery faluje jednolita zielona płaszczyna obsiana głównie pszenicą. Na horyzoncie majączy żółta plama pola rzepaku.

Obraz tego terenu, jaki zapamiętałem z dzieciństwa, o tej samej porze roku przypominał pstrokaty patchwork. Niewielkie prostokątne poletka, gęsto poprzecinane drogami dojazdowymi, stykały się ze sobą krótszymi i dłuższymi bokami, a soczysta zieleń pszenicy i żyta raz za razem kontrastowała z intensywną żółcią rzepaku.

Ten świat zniknął wraz z wejściem Polski do Unii Europejskiej, a znikać zaczął już na kilka lat przed akcesją, kiedy stało się jasne, że ziemia rolna będzie gwałtownie drożeć. Ruszyło wielkie skupowanie leżących często odłogiem pól. W 2003 r. aż 67 proc. polskich gospodarstw dysponowało maksymalnie pięcioma hektarami użytków rolnych (z czego 44 proc. gospodarowało najwyżej na dwóch hektarach). Już siedem lat później ten sam odsetek spadł do 55 proc. Udział gospodarstw o powierzchni do dwóch hektarów stopniał do 24 proc.

Szybko, choć ze szczątkowego pulapu, rosnać zaczęły też pierwsze polskie latyfundia. W 2003 r. powyżej stu hektarów miało do dyspozycji zaledwie 0,3 proc. gospodarstw wiejskich. W 2010 r. – już dwa razy więcej. W roku 2008 wieś mogła pochwalić się pobiciem swego rekordu: po raz pierwszy w dziejach statystyczny polski rol-

Wieś bogaci się
szybciej od miasta.

W latach 2004-2018
dochód rozporządzalny
na osobę na wsi
zwiększył się o 158 proc.,
natomiast w mieście
– o 119 proc.

nik uprawiał więcej niż 10 hektarów. Obecnie na jedno gospodarstwo przypada średnio 11,2 hektara, choć między poszczególnymi regionami wciąż występują kolosalne różnice. W województwie zachodniopomorskim, które przysięgło z wolnym rynkiem zaczynało z ciężarem nierozwiązanego problemu pegeerów, koncentracja własności ziemi rolnej poszła najsprawniej. I najdalej – średnia wielkość gospodarstwa rolnego wynosi tu obecnie aż 33 hektary. W Małopolsce, gdzie na gospodarza przypada statystycznie 4,28 hektara, w kwestii własności gruntów nie zmieniło się natomiast praktycznie nic. Gdyby szukać środka między tymi skrajnościami, trzeba by wybrać się właśnie w okolice Polkowic i Głogowa, w pobliże gospodarstwa Plusów, którzy z 68 hektarami ziemi rolnej wystają mocno poza aktualną średnią 18 hektarów dla województwa dolnośląskiego.

– Jeszcze za życia ojca kupiłem okazyjnie cztery hektary od sąsiada – wylicza Krystian. – Gospodarz nie miał już sił ich uprawiać, jego syn pracował w kopalni, dwie córki po studiach zostały we Wrocławiu. Mój ojciec był tym nawet początkowo zgorszony. „Ziemie się sprzedaje, jak już nie ma na chleb”, sarkał pod adresem rodziny sąsiada. Ale ja czułem, że to ma sens, że trzeba zwiększać skalę działalności, bo wtedy stałe koszty gospodarstwa rozłożą się na większą powierzchnię upraw. Z ośmiu hektarów z trudem byliśmy w stanie się utrzymać. Gdyby nie pensja żony w urzędzie, nie starczyłoby nawet na rachunki. Za ziemię sąsiada grosze zapłaciłem, a i tak musieliśmy się rozliczać w kilku ratach. Ale potem już

było łatwiej. Tak naprawdę złapaliśmy oddech, dopiero jak przekroczyliśmy 30 hektarów.

Lepiej być nie musi

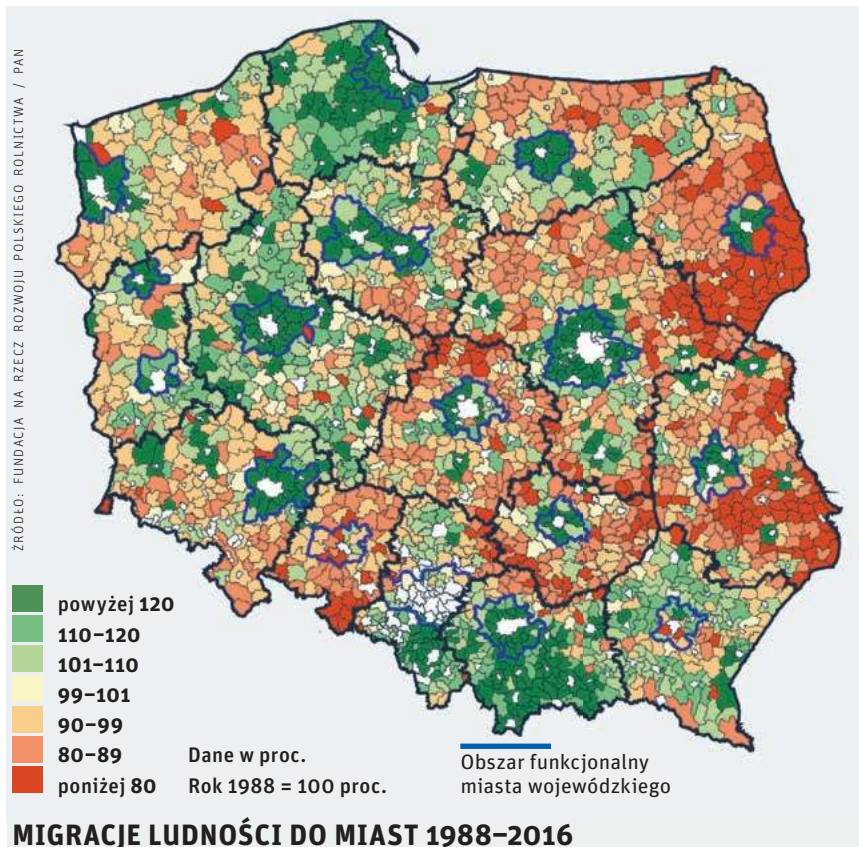
W gospodarstwie Plusów prócz Krystiana pracuje dziś żona, która ostatecznie porzuciła okienko w urzędzie, i 22-letni syn Piotr, studiujący zaocznie inżynierię rolniczą. W okresie nasilonych prac w polu wspomagają ich najemni pracownicy. Na tegoroczne żniwa zatrudnią czterech Ukraińców, którzy zamieszkają w pokojach na strychu, urządzonych dla pracowników sezonowych.

Siadamy w cieniu bżów przy starej studni. Pani Agnieszka stawia na stoliku talerz czereśni. Gdybym przyjechał miesiąc wcześniej, załapałbym się jeszcze na truskawki z jej ogrodu.

– Mam nadzieję, że synowi się nie odmieni i zostanie tu z nami – Krystian Plus podaje talerz z owocami. – Piotrek mówi, że lubi wieś i pracę w polu, ale najbardziej ceni poczucie sensu, jakie jej towarzyszy. Wstaje rano, siada na traktor, jedzie w pole, wpuszcza lemiesz w ziemię i żeby zobaczyć efekty swojej pracy, musi tylko spojrzeć za siebie. Tego nie zapewni żadna praca w biurze. No i niczego mu nie brakuje. Milionerami nie jesteśmy i raczej nie będziemy, ale osiągnęliśmy taki etap, że nie muszę się martwić o przyszłość rodziny. Modłę się tylko o to, żeby nie było gorzej. Lepiej być już nie musi.

Ich miejscowość (Plus prosi, żeby nie wymieniać jej nazwy) to typowa dla tej okolicy poniemiecka wieś. Pod dwa tysiące numerów, ceglane domy pamiętające jeszcze Rzeszę, od niedawna dopiero regularnie remontowane, odkąd mieszkańcy tej części Polski uwierzyli, że nie są tutaj tylko tymczasowo. Przy głównej ulicy porządek, nawet wiata przystanku, na którym nie zatrzymuje się już żaden autobus, doczekała się ostatnio malowania. Za płotami zadbane trawniki, przycięte żywopłoty, równe linie ogródkowych grządek.

– Tak, to nie ta sama wieś co 20 lat temu – dodaje z satysfakcją Plus spoglądając w stronę sąsiednich zabudowań. – Ci, którzy mogli wyżyć z rolnictwa, zajmują się nim nadal, ale reszta poszła pracować do miasta, do huty albo do kopalni. Pewnie, że ludziom różnie się wiedzie, ale biedy ogólnie nie ma. Za to trzy



nowe rodziny się w ciągu ostatnich kilku lat wprowadziły. Z miasta.

Z danych GUS wynika, że dochody ludności mieszkającej na wsi od kilkunastu lat rosną szybciej niż w mieście. W latach 2004–18 tzw. dochód rozporządzalny na osobę na wsi zwiększył się o 158 proc., natomiast w mieście o 119 proc. W 2004 r. przeciętna rodzina na wsi dysponowała budżetem w wysokości zaledwie 66 proc. średniego dochodu w mieście. W 2018 r. było to już 77 proc.

Te liczby korespondują ze wstępnymi danymi z ostatniego spisu powszechnego, które wskazują, że w dekadzie 2011–21 liczba mieszkańców miast spadła o 3 proc., natomiast liczba ludności wiejskiej zwiększyła się o 1 proc. GUS wciąż analizuje te dane, ale nawet wstępne opracowania pokazują, że nie można wyciągnąć z nich uproszczonego wniosku o spadku dzietności w miastach przy jednoczesnym wzroście na wsi. Pod tym względem podział na wieś i miasto uległ zatarciu. Jeszcze w 1990 r. szacowano, że przeciętna Polka zamieszkująca obszary wiejskie urodzi w trakcie swojego życia statystycznie 2,6 dziecka, podczas gdy

Obserwowany od kilku lat spadek liczby ludności miast na rzecz terenów wiejskich poprzedziły dekady migracji w przeciwnym kierunku. Mapa powyżej obrazuje skalę odpływu ludności wiejskiej do miast w poszczególnych polskich gminach.

w przypadku kobiet z miast współczynnik ten nie przekraczał 1,8. A 20 lat później w obu przypadkach wskaźniki dzietności spadły już poniżej 1,5 dziecka na kobietę – w 2020 r., po raz pierwszy w dziejach pomiarów statystycznych, kobiety w miastach rodziły dzieci częściej niż panie ze wsi.

Demografia to jedno. Drugim zjawiskiem jest „przelewanie się” miast poza ich granice administracyjne, czyli formalnie na tereny wiejskie. Suburbanizacja nie ma jednak nic wspólnego z przeprowadzkami z miasta na wieś. Przeciwnie, tworzy enklawy miejskiego stylu życia tam, gdzie do tej pory królowało wiejskie. Rolnictwo także schodzi na dalszy plan. Jak wynika z raportu „Polska wieś 2020”, przygotowanego przez Instytut Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN, z uprawy własnej roli na wsi żyje dziś niespełna 11 proc. mieszkańców.

Pozostali albo nigdy nie mieli z nią do czynienia, albo zmienili profesję na czysto miejską, pracując np. w usługach, bądź codziennie dojeżdżają do pracy w polu u któregoś z bogatszych sąsiadów.

Wieś dwóch prędkości

W ten oto sposób żniwa, które kiedyś jednoczyły wieś we wspólnym wysiłku, teraz dzielą ją na tych, którzy mają ziemię rolną, oraz resztę.

– Czas zbiorów to moment, w którym silnie daje o sobie znać typowa dla wsi duma z posiadania ziemi i z tego, że ciężka praca w polu daje namacalne efekty w postaci żywności dla rodziny – mówi Magdalena Zych z Muzeum Etnograficznego w Krakowie. – Mówimy o kilku, czasem kilkunastu dniach, które na wsi od wieków stanowią naturalny łącznik pomiędzy minionym rokiem a tym, który się zacznie zaraz po dożynkach. Od obfitości tegorocznych plonów z ostatniego zasiewu zależał nie tylko los rodziny gospodarza, ale też kolejny zasiew, bo przecież tylko część plonu można było zostawić na ziarno siewne. Dzisiaj ta zależność zniknęła, rolnicy mogą ziarno po prostu dokupić, ale kalendarz rolniczy nadal nie istnieje bez żniw – tłumaczy etnografka.

Problem w tym, że ten kalendarz na wsi już nie dominuje. „Drodzy mieszkańcy wsi – nie przeszkadzajcie rolnikom w ich pracy!”, piszą w wystosowanym kilkanaście dni temu apelu przedstawiciele Wielkopolskiej Izby Rolniczej. W dalszej części tekstu wręcz proszą o wyrozumiałość dla gospodarzy podczas tych kilkunastu dni, kiedy wielu z nich musi pracować w nocy, żeby wykorzystać każdą godzinę dobrej pogody.

Podobne apele nie są dziś na wsi rzadkością, podobnie jak awantury o zakłócanie ciszy nocnej pracami rolnymi czy o aromat obornika, który nowo przybyłym na wieś psuje rustykalne doznania. Nowością jest protekcyjny ton, z jakim autorzy zwracają się do adresatów apelu, poczynawszy od zarysowania wyraźnego podziału na „rolników i mieszkańców wsi”, aż po przypomnienie, że chleb na stołach tych ostatnich powstaje z ziaren, których dostarczają ci pierwsi.

Coraz częściej podziały wychodzą zresztą poza sferę retoryki. Badacze samorządowi alarmują, że w polityce inwestycyjnej wielu wiejskich gmin, które →



TOMASZ KAWKA / EAST NEWS

Tereny rolnicze na Opolszczyźnie. Lipiec 2022 r.

Polska się wyżywi

CZY DZIĘKI tegorocznym zniwom możemy liczyć na większe spowolnienie inflacji? Do takich wniosków można łatwo dojść po przeczytaniu informacji GUS o dynamice cen żywności w lipcu, które spadły w porównaniu z czerwcem. To jednak zbyt uproszczona diagnoza.

NIECO TAŃSZE niż miesiąc wcześniej zakupy rzeczywiście zawdzięczamy efektowi sezonowej nadpodaży. Wiele produktów, które wcześniej przyjeżdżały do nas zza granicy, głównie warzywa i owoce, teraz można kupić taniej od krajowych plantatorów. W przypadku zbóż i roślin oleistych wygląda to jednak inaczej. Pszenicę czy rzepak spożywamy w przetworzonej formie, jako składniki produktów, a to oznacza, że dostarcza nam ich głównie przemysł spożywczy, dla którego ceny produktów rolnych stanowią tylko ok. 20-35 proc. kosztów

produkcji. Poza tym wielki biznes nie kupuje na bazarach. Punktem odniesienia dla dokonywanych przez niego zakupów są ceny na światowych giełdach towarowych, na które wpływ ma już gra podaży i popytu na całym świecie, nie tylko wielkość krajowych plonów.

CO STAŁOBY SIĘ jednak z polskim przemysłem spożywczym, gdyby nagle musiał działać wyłącznie w oparciu o produkty dostarczane przez rodzimych rolników? Odpowiedzi na to pytanie poszukali na początku 2023 r. analitycy banku Credit Agricole. Na podstawie danych Organizacji NZ ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) oszacowali poziom samowystarczalności dla państw Unii. Pod lupę wzięto zboże, tłuszcze roślinne, tłuszcze zwierzęce, mleko, jaja, mięso, owoce, warzywa oraz ryby i owoce morza. Polska – jak pokazały analizy – okazała się samowy-

starczalna w produkcji żywności aż w 7 z 9 analizowanych kategorii.

Po sparaliżowaniu handlu międzynarodowego odczulilibyśmy jedynie problemy z dostępnością tłuszczów roślinnych (głównie oliwy) oraz ryb i owoców morza. Druga po Polsce Holandia okazała się samowystarczalna w produkcji żywności z 6 z 9 analizowanych kategorii.

W PODSUMOWANIU autorzy raportu zwracają jednak uwagę, że mimo wysokiej nadwyżki handlowej (eksport polskiej żywności w 2022 r. ustanowił nowy rekord i wyniósł 47,6 mld euro, sprowadziliśmy zaś surowce spożywcze za 32,1 mld euro) Polska może jeszcze wzmocnić potencjał swojego rynku spożywczego. Najważniejszym celem powinno być uniezależnienie się od importu pasz, nawozów i środków ochrony roślin. © MR

→ obrosły miejskimi peryferiami wskutek suburbanizacji, widać już coś na kształt szowinizmu. Władze gmin koncentrują inwestycje i remonty na obszarach zajmowanych przez mieszkańców żyjących tam od pokoleń. Nowe tereny przy granicach miast przez niektórych wójtów są natomiast uznawane za obce i niewarte zachodu.

Rolnicy istotnie mogą czuć dziś coś na kształt *Schadenfreude*, kiedy obserwują nagle zainteresowanie miasta kwestiami żywnościowymi i słowa uznania pod swoim adresem. Jeszcze 10 lat temu w polskich mediach obowiązywała zupełnie inna narracja. „Hasło (...), że rolnicy nas »żywią i bronią«, najwyższy czas porzucić. Rozdrobnione polskie rolnictwo nie potrafi dostarczyć Polakom ani dość zboża, ani mięsa, ani nawet warzyw. Co raz więcej towarów rolnych musimy sprowadzać” – pisała w 2012 r. w „Polityce” Joanna Solska.

11 lat, które upłynęły od tamtej publikacji, było jednak na wsi czasem wielkiej zmiany (patrz: ramka obok). Efektywność produkcji rolnej w Polsce wzrosła w tym okresie zaledwie 30 do ponad 51 proc. średniej dla 15 krajów tzw. starej Unii. Wciąż jest wiele do poprawy, bo za trudniące aż 8,4 proc. dorosłych Polaków rolnictwo przynosi zaledwie 3 proc. PKB. Duże gospodarstwa, wytwarzające towary warte co najmniej 100 tysięcy euro rocznie, odpowiadają nad Wisłą za nieco ponad 40 proc. krajowej produkcji rolnej, podczas gdy we Francji, Niemczech i krajach Beneluksu, z udziałem w rynku na poziomie 90 proc., takie podmioty stanowią zdecydowaną większość.

Największe w Polsce gospodarstwo rolne niebędące spółdzielnią należy obecnie do braci Romanowskich z Bartoszyc w województwie warmińsko-mazurskim. 8 tysięcy hektarów to własność rodziny, a 4 tysiące kolejnych bracia dzierżawią od Agencji Nieruchomości Rolnych. Jeśli przemnożyć to przez podawany co roku przez GUS przeciętny dochód z pracy w indywidualnych gospodarstwach rolnych, który w 2021 r. wyniósł 3288 zł rocznie, wyjdzie prawie 40 mln zł. W porównaniu z latyfundiami, jakie działają w krajach ościennych, to jednak wciąż niewiele.

– W mieście ludzie nie powinni się oburzać, że na wsi wyrastają latyfundia, bo innej drogi nie ma – wzrusza ramionami

Krystian Płus. – Jeśli miasto ma być syte i bezpieczne, bogata musi być polska wieś. Nie ma co sobie zaglądać do kieszeni, przeliczać, ile mercedesów można kupić za jeden kombajn. Wszyscy jedziemy na jednym kombajnie – śmieje się rolnik.

Przez kilkanaście ostatnich lat rynek rolny przeżywał tymczasem swój własny „koniec historii”. Analitykom wydawało się, że przemysł spożywczy znalazł rozwiązanie dla niemal wszystkich problemów z aprowizacją szybko powiększającej się populacji globu, a jedynym wyzwaniem pozostaje znalezienie sposobu na dostarczenie nadwyżek z bogatych zachodnich stołów niedojadającemu globalnemu Południu. Ale wtedy do gry weszły najpierw pandemia, a potem wojna w Ukrainie, i okazało się, że ceny i dostępność żywności mogą być tematem, który podnosi ciśnienie nawet zamożnym Europejczykom.

– A teraz przypomnij sobie, o co wieś walczyła przez ostatnie lata – Krystian znów podsuwa talerz z czereśniami. – O zmniejszenie uzależnienia krajowej produkcji spożywczej od importu. O ochronę naszych producentów żywności. O bardziej partnerskie układy między wielkimi sieciami handlowymi a rolnikami. I miała rację. Historia teraz to przyznaje. Tylko nie wiem, czy nie jest za późno, żeby te złe trendy zatrzymać.

Wystarczy, mówi Krystian, rozejrzeć się po polskich polach, na które właśnie

Kiedyś w zniwach
przeszkadzał sralabartek.
Meteorolodzy mówią
dziś na to „wir piaskowy”
albo „lej kondensacyjny”,
ale wciąż słabo
radzą sobie z ich
przewidywaniem.
Nie mówiąc
o zapobieganiu.



MIKE MAREEN / STOCKADOB.COM

wjeżdżają kombajny. Wciąż królują na nich zboża, ale areal takich upraw kurczy się od kilku dekad. W 1950 r. powierzchnia obsiana zbożami wynosiła w Polsce 9,5 mln hektarów. Ponad 2,5 mln hektarów zajmowały uprawy ziemniaków, resztę zaś, w śladowych ilościach, stanowiły plantacje rzepaku i buraków cukrowych. Obecnie do produkcji zbóż polskie rolnictwo wykorzystuje tylko 7,5 mln hektarów. Znacząco wzrósł za to areal upraw oleistych, głównie kukurydzy i rzepaku, skurczyły się natomiast plantacje ziemniaka, którego sadi się obecnie na powierzchni zbliżonej do tej, jaką tuż po wojnie zajmowała w Polsce uprawa buraka cukrowego. Rodzime rolnictwo stało się ważną częścią przemysłu spożywczego, pracuje w wyznaczonym przez niego trybie, ale w coraz mniejszym stopniu zaspokaja bieżące potrzeby społeczne samych rolników.

– Ja też już ziemniaków nie sadzę, szkoda mi czasu, wymieniam się na nie z sąsiadem za zboże – mówi Płus. – Jak sąsiadowi też się to przestanie opłacać, zaczną je kupować w sklepie. Tylko że jak w okolicy ziemniaki nie będą się już opłacać nikomu, wtedy o ich cenie będzie decydował sklep. I zadba, żeby nie była niska. To co, jeszcze czereśni?

– Własne?

– Ze sklepu.

– To ja podziękuję.

© P MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński,
Marek Rabiń, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński,
Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller,
Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardys,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Dziurdzikowska, Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielewski, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kačka, Hanna Krall, Stanisław Manciewicz,
Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło,
Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński

Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziółek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Nagiorkowski,
Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Adert,
Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Sumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA

REKLAMA
S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne dla
„Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Próba głodu*



PIĘTNASTY DZIEŃ MIESIĄCA IJAR ROKU 2448. Chętnie podałabym datę dzienną według kalendarza gregoriańskiego, ale mam wątpliwości, jak zastosować wytyczne zawarte w bulli „Inter gravissimas” dla tak zamierzchłej przeszłości. Zadowolmy się więc ro-

kiem 1313 przed erą chrześcijańską. 30 dni wcześniej Izraelici wyszli z Egiptu i właśnie skończył im się zapas macy. Są na pustyni, więc widmo głodu przybiera realne kształty. Zwracają się do Mojżesza i Aarona tymi słowami: „Gdybyśmy też pomarli byli z ręki Wiekuistego w ziemi Micraim, gdyśmy bywało siadali przy garnku mięsa, gdyśmy jadali chleb do syta! Boście wszak wywiedli nas na tę puszcze, aby zamorzyć cały ten tłum głodem!” (Wj 16, 3; Cyllkow). Trudno uwierzyć, że niewolnicy w państwie faraona jadali mięso bądź nawet „chleb do syta”, ale obywateli bez polemiki. Wiekuisty reaguje na bieżącą potrzebę: na obóz spadają przepiórki i najbliższa wieczerza składa się z pieczonego. Pada też zapowiedź kolejnych posiłków: „Oto spuszczę wam deszczem chleb z nieba, i będzie wychodził lud, a zbierał potrzebę dzienną każdego dnia, abym go doświadczył: czy postąpi wedle nauki Mojej, czy nie” (kolejny wers). Z manną wiąże się pewne ograniczenie: „Niechaj nikt nie zostawia z tego do rana!” – poucza Mojżesz (wers 19). Ci, którzy ignorują jego polecenie, znajdują rano robactwo i zgniliznę.

Potomkom tych, którzy w czasie wojny nie byli pewni, kiedy i jak uda im się zjeść kolejny posiłek, nie trzeba tłumaczyć, jakie to było wyzwanie. Co najmniej ostatnich 86 lat (na podstawie wieku Miriam, która była 6 lat starsza od Mojżesza i otrzymała swoje imię ze względu na gorycz niewoli [mar – hebr. gorzki], oraz wieku Mojżesza, Wj 7, 7) z 210 lat zamieszkiwania na egipskiej ziemi Dzieci Izraela spędziły w niewoli naznaczonej głodem, niedostatkiem i wieczną niepewnością jutra. To bez wątpienia odbiło się na ich psychice. Teraz co wieczór kładą się ze świadomością, że lodówka jest pusta. Po przebudzeniu, niezmiennie przez co najmniej 40 lat (zob. Joz 5, 12), czeka na nich świeża porcja manny. Dzień za dniem uczą się ufać Najwyższemu.

Interesujący wydaje mi się równy przydział manny bez względu na płeć, wiek i charakter wykonywanej pracy. „Zbierajcie z niego każdy w miarę zapotrzebowania swojego, po omerze na głowę” (Wj 16, 16), czyli w przeliczeniu na znane nam jednostki ok. 1220 g. Nie chodzi raczej o to, że „żołądki [są] jednakowe” i wszystkich trzeba dopasować do modelu dziennego zapotrzebowania na 2000 kcal. Widocznie manna stanowi też pokarm dla duszy, a potrzeby duchowe są uniwersalne. „Nie samym chlebem żyje człowiek, ale i przez każde wyrzeczenie ust Wiekuistego” (Pwt 8, 3). Dyscyplina wypracowana przez spożywanie manny miała nam to dobitnie uświadomić. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Ogródki św. Franciszka*



ELIASZ, PRZEŚLADOWANY PRZES IZEBEL, szuka schronienia na pustyni, dociera do Horebu i postanawia zanoć w grotcie. A ponieważ Horeb to „góra Boga”, Bóg dał znać o sobie, postawił mu pytanie, którego Wszechwidy, podobnie jak Ada-

mowi i Ewie, Kainowi, Maryi matce Jezusa, Judzie Iskariocie i wielu innym, nie powinien był postawić: „Co ty tu robisz, Eliaszu?”. Żydowski egzegeci każą nam takie zachowanie Boga rozumieć jako przejaw najpiękniejszej cechy Bożego charakteru – czułej delikatności. „Kochasz wszystko, co istnieje – mówi o Bogu autor Księgi Mądrości – nie brzydzisz się żadnym swoim dziełem, bo gdybyś miał nienawidzić któregoś z nich, to byś go nie stworzył. (...) Troszczysz się o wszystko, gdyż wszystko należy do Ciebie, Władco, Przyjacielu życia!”. Po wiekach Tomasz z Celano powie o Franciszku z Asyżu, że „braciom drwalom” zabraniał wykorzeniać pniaki, żeby ścięte drzewa nie utraciły nadziei na odrośnięcie. Kazał też w ogrodzie wydzielić miejsce dla ziół i kwiatów, żeby patrzącym dawały posmakować „błogość wiekuistą”. A tak na marginesie, jak tu polubić wystrzyżone trawniki, weekendowy warkot kosiarzek i uprawy monokulturowe?

Wszystko pięknie, ale „błogość” tych Franciszkowych ogródków, jak też piękność całego Bożego świata nie jest znowu taka oczywista. Trwa tutaj nieustanna, bezwzględna, krwawa walka o istnienie. Stąd czy chcemy, czy nie, żyjemy na pobożowisku, skrywającym niewyobrażalny ogrom cierpienia. Żyjemy na cmentarzu i jeśli jest w tym coś dziwnego, to fakt, że bywamy szczęśliwi. Co z kolei pozwala nam marzyć, wierzyć, mieć nadzieję, że ten niemożliwy do rozerwania splot życia i śmierci zawiera w sobie jakąś dobrą nowinę i nie musi być bezsensownym kłębem, skoro wciąż, przy całym niszczycielskim wysiłku bogów i ludzi, świat istnieje i wygląda na to, że jeśli czymś jest wypełniony, to życiem, dla którego nie ma żadnych granic. Naszymi rodzicami są, ponoć nie do pogodzenia, ogień i woda.

Jeśli pod tym kątem popatrzeć na Biblię, to wygląda na to, że jest ona zapisem wysiłku Boga i ludzi, by nie żyć, jak mówi papież Franciszek, według logiki ofiary, ale według logiki daru. Chcąc uchwycić różnicę, wystarczy porównać obiad domowy z restauracyjnym. Jeśli ten domowy, choć skromny, wygrywa, to dlatego, że dosmaczają go słowa: „Ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość” lub „[przysięgam] zachowywać celibat ze względu na królestwo niebieskie, służąc Bogu i ludziom”. A jak się dobrze wsłuchać, można usłyszeć i te słowa: bierzcie i jedzcie moje ciało, i pijcie moją krew, jako że „szczęście polega bardziej na dawaniu niż na braniu”. Chodzi o to, żeby do upadłego nie gonić za szczęściem, ale je stwarzać. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Twarz dziewczyny

Kontemplacja
i poznanie
z natury stają się
przewodnikami
właściwego życia.

HEZYCHIUSZ Z SYNAJU



Skupiony,
medytujący
osiąga szczęście
bez miary.

BUDDA



PISZĘ TEN „OKRUCH” z Lizbony. Właśnie wróciłem do hotelu po pierwszym spotkaniu i przemówieniu papieża Franciszka do młodych.

Można je streścić w trzech punktach:

1. Bóg was kocha. Kocha każdego – takiego, jaki jest (nie swoje marzenie o nim czy o niej...); każdego zna i woła po imieniu, bo każdy indywidualnie jest dla Niego skarbem.

2. Tak jak w Sercu Boga – również w Kościele musi być i jest miejsce dla każdego. Franciszek kazał nam wszystkim wielokrotnie wykrzyczeć słowo „*todos*”. Krzychałem, a w sercu miałem twarz dziewczyny, która po porannej katechezie podeszła do mnie, i – płacząc – mówiła, że czuje się z Kościoła wykluczona... Jutro w południe odpowiem w jej intencji mszę świętą.

3. Miłość Boga jest zaskakująca – Bóg kocha nas w sposób niespodziewany. Tak jak Krzyż jest niespodziewaną „twarzą” miłości Boga do nas. W każdym razie On kocha nas zaskakiwać, nie jest przewidywalny i obliczalny, wymyka się regułom (nawet przez siebie samego ustanowionym), jest spontaniczny.

Słuchałem tego przemówienia – z uwagą i otwartością, zaufaniem i przekonaniem. Aż nagle...

Aż nagle w moim raczej umyśle niż sercu pojawiła się wątpliwość: czy to nie za łatwe słowo? Papież właściwie niczego od tych młodych nie wymaga! „Bóg kocha was takich, jakimi jesteście”, „w Kościele jest miejsce dla każdego i każdej – dla takich,

jakimi jesteście...”. Tego się dobrze słucha. Owacjom nie było końca. Ale: czy to właściwe? Dopuszczalne? Czy to Ewangelia? Czy Ewangelia niczego nie wymaga? Zadowolona się nami – takimi, jakimi jesteśmy?

Po chwili – dzięki Bogu – przyszło na mnie opamiętanie.

To, co Franciszek mówi, jest Ewangelią, i jest wymagające. Nie od młodych. Od nas, od Kościoła!

Czy Kościół, jaki my-dorośli tworzymy, ma właśnie taką „twarz” wobec młodych? Czy oni naprawdę mogą doświadczyć Kościoła, który ich przyjmuje? Nie dlatego, że jest „otwarty”, ale że jest zapatrzony w Jezusa – i po prostu nie potrafi inaczej niż On funkcjonować.

Czy tworzymy – dla młodych – Kościół głęboko personalistyczny? W którym każdy znany jest po imieniu. Cieszy się uwagą i zainteresowaniem innych. A to zainteresowanie przekłada się na konkret pomocy w sytuacji każdego braku.

Czy nie jest z reguły tak, że młodym chętnie stawiamy wymagania, z których sami się zwalniamy? Czy nie jest tak, że od nich wymagamy więcej niż od siebie? Od kleryka wymagamy radykalizmu, z którego łatwo zwalniamy księdza? Od nowicjusza wymagamy znacznie więcej niż od profesora wieczystego? Małżonkom wybaczymy rzeczy, których narzeczonym się nie wybacza?

Papież mówi do młodych o najważniejszych sprawach; ale to my – dorośli i bardzo dorośli – potrzebujemy rachunku sumienia i nawrócenia!

©

CZYTANIA LITURGICZNE (13 – 20 VIII)

19. niedziela zwykła: 1 Krl 19, 9a. 11-13a; Ps 85; Rz 9, 1-5; Mt 14, 22-33; Czwartek: Joz 3, 7-10a. 11. 13-17; Ps 114; Mt 18, 21 – 19, 1;
Poniedziałek: Pwt 10, 12-22; Ps 147; Mt 17, 22-27; Piątek: Joz 24, 1-13; Ps 136; Mt 19, 3-12;
Wtorek, uroczystość Wniebowzięcia NMP: Sobota: Joz 24, 14-29; Ps 16; Mt 19, 13-15;
Ap 11, 19a; 12, 1-6a. 10ab; Ps 45; Łk 1, 39-56; 20. niedziela zwykła: Iz 56, 1. 6-7; Ps 67;
Środa: Pwt 34, 1-12; Ps 66; Mt 18, 15-20; Rz 11, 13-15. 29-32; Mt 15, 21-28.

Wybrał PIOTR SIKORA

BEZ TARYFY ULGOWEJ

Rodzice twierdzą, że oddali dzieci w dobre ręce.
Wytwórnice muzyczne, że wszystko jest w porządku.
Rzecznik Praw Dziecka nie chce o tym rozmawiać.
Czy świat dorosłych znieczulił się na niszczącą
seksualizację dzieci w showbiznesie?

ANNA GOLUS

VIKI NIE JEST Z PLASTELINY, TO JEST bardzo ukształtowana dziewczyna” – mówiła Kayah o 12-letniej wówczas Wiktorii Gabor w odpowiedzi na słowa Tomasza Raczkę, który zwracał uwagę na niebezpieczeństwa zbyt wczesnej kariery w show-biznesie. Nagrywając z Wiktoria jej trzeci utwór, piosenkarka zapewniała, że dziewczynka „ma bardzo dobrą opiekę, mama jej nie opuszcza, mama jest bardzo rozsądną osobą. (...) Ma ogromną życzliwość w wytwórni płytowej, która raczej nie traktuje jej jako artystki, którą można wydoić i wycisnąć jak najwięcej. Ja też nie pozwolę skrzywdzić”. Niestety, już pierwszy utwór Wiktorii dowodzi, że nikt jej nie ochronił, a dorośli tworzący dziecięce gwiazdy są w stanie posunąć się bardzo daleko, by wycisnąć z nich jak najwięcej.

Ten dzieciak robi show

„Twój dotyk podtrzymuje mnie przy życiu (...) Czeakałam całą noc, mam coś, co może ci się spodobać, mmmm / Mogę sprawić, by to było warte twojego czasu, kochanie” – śpiewała (po angielsku) Wiktoria Gabor w utworze „Time”, wyprodukowanym przez Universal Music Polska i po raz pierwszy zaprezentowanym w TVP2, w finale drugiego sezonu

„The Voice Kids” z 2019 r. Dziewczynka miała wówczas 11 lat i choć nie wygrała programu, jej rodzice podpisali kontrakt z wytwórnią.

„Nie wygrała, ponieważ nie było to kierowane bezpośrednio targetowo do dzieci, ale było to już targetowo kierowane do branży: że ten dzieciak zrobi coś więcej i nie będzie śpiewał o stokrotkach i o kwiatkach, i o ptaszkach, tylko zrobi show” – wyjaśniał jeden z jurorów „The Voice Kids” Tomasz „Tomson” Lach w serialu dokumentalnym „Viki Gabor. Mój świat” (TVP, reż. Kinga Płachecińska). W kwietniu 2023 r. w serwisie vod.tvp.pl rozpoczęła się jego emisja, reklamowana słowami Wiktorii: „Dotychczas wszyscy mówili o mnie, a ja chciałam teraz coś opowiedzieć o sobie”. Tuż przed premierą w internecie opublikowano fragment, w którym dziewczyna mówi o przykrości, jaką sprawił jej nauczyciel WF-u: „Kazał mi nagrać 5 minut ćwiczeń. Nagrałam to, wysłałam mu i super fajnie wszystko, a potem się dowiaduję, że on był na jakimś weselu i to puścił. Dlatego ja już nigdy nic nie wysłałam”.

W sieci zawrzało, więc Wiktoria z rodzicami wystąpiła w „Pytaniu na śniadanie”. Dorośli starali się wmówić jej oraz widzom, że nic się nie stało. Ojciec powiedział, że media źle zinterpretowały wy-



powieź dziecka, matka, że to była „taka śmieszna sytuacja”, prowadzące: „Nie chciał nic złego zrobić”, „Wszystko jest w porządku”. Wiktoria nie odezwała się ani słowem. W dostępnym na vod.tvp.pl serialu nie ma jej wypowiedzi na ten temat, a TVP nie odpowiedziała na pytanie, dlaczego była w zwiastunie, ale nie znalazła się w samym dokumencie.

Niechciana nagroda

Wbrew zapowiedzi, w serialu nie ma zbyt wielu słów Wiktorii o niej samej – tym bardziej warto wsłuchać się w te, które (jeszcze) są i nie brzmią jak czytane z kartki. Można się z nich dowiedzieć, że matka zgłosiła ją do „The Voice Kids” bez jej wiedzy. Dziewczyna mówi: „Nie wiedziałam, że w ogóle jestem w castingach, i było tak śmiesznie, przyjechalismy do



TADEUSZ WYPYCH / REPORTER

Trzynastoletnia wówczas Viki Gabor podczas festiwalu w Opolu, wrzesień 2020 r.

Warszawy i mama mi powiedziała, że »o, są castingi, masz się nauczyć dwóch piosenek (...) i zobaczymy, czy się dostaniesz«.

Opowiada też, że źle sypia, że ciągle ma koszmary, a ostatnio często płacze. Najbardziej ją dotknęło, gdy przeczytała w jakimś serwisie plotkarskim, że jest w ciąży. Wyznaje również, iż na początku kariery pracowała z ludźmi, którzy traktowali ją jak produkt. Nie wyjaśnia, na czym to polegało, ale z innych jej wypowiedzi można dowiedzieć się, że np. nie pozwalano jej zrezygnować z gryzki, choć bardzo tego chciała.

– Ja również nie mogłam zmieniać swojego wizerunku, np. obciąć włosów, bez konsultacji z wytwórnią – mówi Anna „AniKa” Dąbrowska, która jako 14-latką wygrała drugą edycję „The Voice Kids” i w nagrodę otrzymała kontrakt

z Universal Music. – Dzisiaj tego nie pochwalam, ale byłam dzieckiem, cieszyłam się, że mogę robić to, co kocham, czyli śpiewać i występować na scenie. Do pewnego momentu nie zdawałam sobie nawet sprawy, że to nie ja decyduje, który utwór ma być singlem promującym dany album, tylko z góry jest mi to narzucane. Początkowo mi to nie przeszkadzało, bo miałam ogromną radość z występowania na scenie i nie widziałam negatywnych stron. Zaczęłam je dostrzegać z czasem, nabierając doświadczenia. Po prostu dojrzewałam. Bardzo chciałam tworzyć tylko taką muzykę, jaką osobiście czuję, więc po wydaniu dwóch płyt i konsultacji z managementem rozwiązałam kontrakt z wytwórnią.

Wbrew temu, co czytamy w regulaminie „The Voice Kids”, nagrodą nie jest

kontrakt „o nagranie i wydanie singla”, lecz od razu nagranie i wydanie pięciu płyt. AniKa Dąbrowska ma dziś 18 lat i nie jest jedyną zwyciężczynią tego programu, która zrezygnowała z nagrody – również Roksana Węgiel, która jako 13-latką wygrała pierwszą edycję, rozwiązała kontrakt z Universal Music, podobnie jak Wiktoria Gabor.

To się sprzeda

„Osoby, które ze mną pracowały, stały się w pewnym momencie wyęgzekować we mnie dużo takiej kobiecości, w piosenkach ton bardzo seksualny, o teledyskach nie wspomnę, aczkolwiek stawiałam jakieś swoje granice – mówiła niedawno Roksana Węgiel, już pełnoletnia, w wywiadzie dla serwisu NaTemat.pl. – Ale też wydałam jeden numer w sumie

→ – »Lay Low« (mogę o tym powiedzieć, bo wszyscy wiedzą, o czym to było) – który nie do końca był spójny ze mną na tamten moment, bo ja miałam wtedy 14 lat i próbowano ze mnie zrobić kogoś, kim nie jestem. (...) Byłam młodą kobietą, ale nie miałam potrzeby tak emanować tą seksualnością».

Utwór „Lay Low” wzbudził kontrowersje nie tylko ze względu na seksualizację wizerunku 14-latki w teledysku (niejednolitym, w którym zastosowano tę metodę utrzymywania uwagi widzów kosztem uprzedmiotowienia dziewczynki), ale również ze względu na tekst (np. w refrenie „*wanna put it on you*”, czyli „chcę cię przelecieć”). Krytyka oraz hejt, z którym ciężko jej było sobie poradzić, skierowane były jednak w kierunku Roksany, a nie wytwórni. To 14-latka sama musiała „tłumaczyć się” mediom, a także położyć się na podłodze i spojrzeć w obiektyw aparatu, by można było opublikować jej zdjęcie na Instagramie i napisać, że tekstu utworu „nie należy tłumaczyć tak dosłownie. »Lay Low« to piosenka o pierwszym zauroczeniu”.

We wspomnianym wywiadzie Roksana mówiła, że gdy miała 14 lat, „mężczyźni, z którymi pracowałam, byli za tym, żeby pójść w odważniejszy wizerunek, bo to się lepiej sprzedaje”, „patrzac na mnie jak na produkt, stwierdzili, że lepiej sprzeda się kobieta niż dziecko”.

Milczący rzecznik

– Dzieci nie są aseksualne, ale ich seksualność jest inna niż dorosłych – mówi dr Monika Zielona-Jenek, seksuologka z Zakładu Seksuologii Społecznej i Klinicznej Wydziału Psychologii i Kognitywistyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. – Rozwój psychoseksualny to długi proces, w którym dziecko stopniowo uczy się rozumieć swoje uczucia i pragnienia oraz znaczenie seksualności. To złożone zadanie, które wymaga edukacji, ochrony i czasu. Nawet gdyby dzieci lub młode nastolatki same stworzyły takie utwory jak „Lay Low” czy „Time”, dorośli nie powinni pozwolić na ich upublicznienie. Powinni wyjaśnić im, że takie piosenki w ich wieku nie są dobrym pomysłem. Odbiorcy na takie materiały mogą zareagować seksualną ekscytacją lub oburzeniem, a dziecko nie jest gotowe, by mierzyć się z takimi reakcjami, szczególnie u dorosłych. Dlatego

Dziecko
uczy się rozumieć swoje
uczucia, pragnienia oraz
seksualność – stopniowo.

To zadanie wymaga ochrony ze strony dorosłych.

potrzebna jest ochrona. Natomiast narzucanie takich treści dzieciom i czerpanie z nich korzyści to ewidentne nadużycie. Naraża młodą osobę na trudne doświadczenia i niesie ryzyko dla jej rozwoju. Nie mówimy o jednorazowym występie.

Dorośli napisali teksty i wyprodukowali teledyski, a dzieci wykonywały utwory na koncertach i w stacjach telewizyjnych. Wideo do „Time” ma dziś 5,5 mln wyświetleń na YouTube, a „Lay Low” – 15 mln. Czy nikt nie widział w nich niczego złego?

„Do Dyżurnet.pl nie wpłynęły zgłoszenia dotyczące wskazanych filmów ani tych konkretnych twórców” – informuje nas państwowy instytut NASK, zajmujący się cyberbezpieczeństwem. W jego piśmie czytamy jednak: „Opiekunowie powinni zwracać szczególną uwagę na wizerunek dziecka publikowany w internecie, aby nie rozpowszechniać treści, które pokazują dziecko w seksualnym kontekście. Dzieci, naśladując zachowania dorosłych, nie rozumieją szerokiego kontekstu przekazu, dlatego tak ważne jest poszanowanie praw dziecka”.

Rzecznik praw dziecka Mikołaj Pawlak (w 2020 r. wraz z Universal Music wydał płytę z piosenkami dzieci z „The Voice Kids”) przez miesiąc nie odpowiedział na pytanie, czy do RPD zgłaszano problem seksualizacji 11-letniej Wiktorii w utworze „Time” i 14-letniej Roksany w utworze „Lay Low”, ani na inne pytania „Tygodnika”: np. czy rzecznik widział ten problem przed podjęciem współpracy z wytwórnią i podjął jakieś działania mające na celu ochronę tych dziewczynek i innych dzieci pracujących w branży muzycznej?

W wytwórni dowiaduję się, że jej dyrektor (i przewodniczący zarządu Związku Producentów Audio Video) Maciej Kutak jest na urlopie, ale mimo próśb przez miesiąc nie otrzymuję możliwości rozmowy z żadnym innym przedstawicielem Universal Music Polska.

Od rana do nocy

– Jeśli pani Roksana i pani Wiktoria poczuły się skrzywdzone seksualnym uprzedmiotowieniem w utworach i teledyskach, będą mogły żądać zadośćuczynienia nie tylko od konkretnych osób, które je skrzywdziły (w sądzie karnym i cywilnym), ale również od wytwórni, która zarabiała na ich krzywdzie (w sądzie pracy i cywilnym) – mówi Katarzyna Warecka, adwokatka specjalizująca się m.in. w prawie europejskim i antydyskryminacyjnym. – W polskim systemie prawnym nie istnieje kategoria molestowania seksualnego dzieci z motywacją komercyjną, a w przepisach dotyczących pracy osób poniżej 16. roku życia jest mnóstwo luk, więc możliwe, że sprawa skończyłaby się przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka.

Przepisy regulujące zatrudnianie dzieci poniżej 16. roku życia zostały wprowadzone do kodeksu pracy w 2003 r., w ramach dostosowywania polskiego ustawodawstwa do wymogów unijnych. W odróżnieniu od szczegółowo uregulowanej pracy tzw. młodocianych, którym poświęcony jest cały dział tego kodeksu, problemu pracy dzieci poniżej 16. roku życia dotyczy tylko jeden artykuł. Zgodnie z nim wykonywanie pracy przez dziecko w tym wieku jest dozwolone wyłącznie na rzecz podmiotu prowadzącego działalność kulturalną, artystyczną, sportową lub reklamową i wymaga zgody nie tylko rodzica lub opiekuna, ale też właściwego inspektora pracy.

– Rodzaj i charakter pracy nie mogą zagrażać życiu, zdrowiu i rozwojowi psychofizycznemu dziecka ani kolidować z jego obowiązkami szkolnymi – mówi Przemysław Worek, rzecznik prasowy Okręgowego Inspektoratu Pracy w Warszawie. – Za tym, że praca nie jest sprzeczna z powyższymi założeniami, przemawiają opinie i zgody, które trzeba dołączyć do wniosku kierowanego do inspektora pracy. Podmiot, na rzecz którego dziecko ma ją świadczyć, musi uzyskać pisemną zgodę przedstawiciela lub opiekuna dziecka, opinię poradni psychologiczno-pedagogicznej oraz orzeczenie lekarza, stwierdzające brak przeciwwskazań do podjęcia prac zarobkowych. Ustawodawca nie określił ani dobowego wymiaru czasu pracy, ani też nie określił pory nocnej dla dziecka poniżej 16. roku życia, pozostawiając je decyzji inspektora pracy.



Roksana Węgiel, trzynastoletnia zwyciężczyni „The Voice Kids”, Warszawa, luty 2018 r.

„Pamiętam takie dni, gdzie od samego rana do samego wieczoru musiałam nagrywać i kończyłam chyba w studiu o trzeciej, o drugiej. Najgorsze było to, że potem na drugi dzień musiałam szybko wstawać” – mówiła Onetowi 13-letnia Wiktoria Gabor. Pytam więc w Okręgowym Inspektoracie Pracy w Warszawie, czy inspektor pracy wyraził zgodę na zatrudnienie Wiktorii (i zwycięzców „The Voice Kids”: Roksany Węgiel, Anny Dąbrowskiej, Marcina Maciejczaka, Sary Egwu-James, Mateusza Krzykały i Martyny Gąsak) dla Universal Music Polska, a także dla jej drugiej wytwórni Sony Music Entertainment Poland oraz dla Telewizji Polskiej (gdzie występowała podczas Sylwestra Marzeń, podobnie jak Roksana Węgiel i Sara Egwu-James).

Choć w maju otrzymałam odpowiedź na podobne pytanie o zezwolenie na pracę dzieci-influencerów, tym razem dowiaduję się, że ze względu na RODO nie mogę uzyskać tej informacji. Dowiaduję się jednak, że TVP i Sony składały wnioski o zezwolenie na pracę dzieci. Dopytuję o Universal – w rejestrach nie ma wniosków tej firmy.

W najlepszych rękach

„Z moimi rodzicami za bardzo nie gadam o takich rzeczach, bo moi rodzice nie wiedzą, jak w tym świecie jest, ale moja mama troszkę się o mnie boi w tym całym świecie show-biznesu i w ogóle. Ale ja wiem sam, że jestem na tyle dojrzały, że niektórym rzeczom się po prostu nie dam” – stwierdził 14-letni Marcin Maciejczak, zwycięzca trzeciej edycji „The Voice Kids”, w odpowiedzi na pytanie dzienni-

karza viva.pl, jakie wskazówki dają mu rodzice. Reporter dopytał, czego mama się boi, a gdy usłyszał, że chyba złego towarzystwa, zapewnił, że chłopiec jest „w najlepszych rękach, wszystko się okaże za kilka lat, ale my jesteśmy pewni, że wszystko pójdzie zgodnie z planem”. W innych wywiadach Marcin podkreślał, jak jest dojrzały i samodzielny (np. sam jeździ do Warszawy) i ma wpływ na swój wizerunek (od początku zmysłowy, niebinarny, seksowny).

„Jak się pierwszy raz zetknąłem z twoją muzyką, a dopiero potem się dowiedziałem, w jakim jesteś wieku, to sobie pomyślałem: »k...a, leć mi w ch...a«. Absolutnie byłem przekonany, że ten koleś, który do mnie śpiewa, jest co najmniej z 7-8 lat starszy od ciebie” – powiedział do wówczas 15-letniego Marcina dziennikarz muzyczny Artur Rawicz, po czym zapytał: „Kazik Staszewski (...) zadawał takie retoryczne pytania, które pasuje w wielu miejscach (...)»: »ta k...a taka głupia jest czy taka cwana?«. I teraz parafrazując to pytanie, to czy Marcin jest taki cwany, czy mu to przypadkowo wyszło? Albo innymi słowy, jak duży ty miałeś wpływ na to, z czym my teraz obcujemy w głośnikach?”.

Chłopiec odpowiedział, że zgadzał się ze wszystkim, co przygotowywali dla niego dorośli. Nieco ponad rok później w innym wywiadzie stwierdził natomiast, że gdy nagrywał swoją pierwszą płytę, był „jeszcze dzieckiem (...). Miałem wtedy jakieś 14-15 lat i nie wiedziałem, co się wokół mnie dzieje”. Czy jego rodzice wyrazili zgodę na te rozmowy i autoryzowali wypowiedzi swojego syna? Nie udało mi się z nimi skontaktować. Za to mogłabym bez

ich zezwolenia porozmawiać z Marcinem. Według jego menedżera, którego poprosiłam o kontakt do rodziców, ich zgoda nie jest potrzebna, bo nie współpracują z Marcinem zawodowo. Myli się, taka zgoda jest potrzebna.

Właścicielem firmy zajmującej się managementem Marcina jest Michał Majak, jeden z dorosłych, którzy od początku z nim współpracują, autor niektórych śpiewanych przez niego tekstów i reżyser programu „The Voice Kids”. Jego firma współpracuje z fanklubem, którego członkinie wielbią chłopca jak bōżyszcze, wyznają mu miłość, tworzą jego ołtarzyki, spotykają się na zlotach i jeżdżą nie tylko na wszystkie koncerty, ale nawet do jego rodzinnej wsi. Marcin ma obecnie 17 lat, a większość jego fanek to dorosłe kobiety, które mogłyby być jego matkami albo babkami. Wśród najwierniejszych miłośników są też mężczyźni.

Dorosłych fanów mają również dziewczęta, których rodzice podpisali kontrakt z Universal Music. Roksana wspomina np., że gdy skończyła 15 lat, znalazła na Facebooku grupę „Roxie Węgiel jest już legalna”. Weszła tam, myśląc, że tworzą ją młodzi chłopcy, i skreśliła ją z obrzydzenia, gdy zobaczyła wielu żonatych i dzieciętych mężczyzn. W jednym z wywiadów narzekała też na „starszych panów”, którzy na koncertach „za bardzo próbują dążyć do kontaktu fizycznego”.

– Zdarzały się nieprzyjemne, czasem niebezpieczne sytuacje – mówi z kolei AniKa Dąbrowska. – Nawet pod moim domem zjawiali się fani, którzy natarczywie chcieli się ze mną spotkać. Mój niepokój wzbudziły także wydarzenia po koncertach w Krakowie, gdzie zachowania agresywnej kobiety zagrażały mojemu bezpieczeństwu. Każda osoba publiczna się z tym mierzy.

Dzieci również. Bo w show-biznesie – jak podkreślał Tomasz Raczek – nie ma taryfy ulgowej dla młodych ludzi. Krytyk apelował do rodziców dziecięcych gwiazd, by je chronili. Ale co może zrobić rodzic dziecka, które wygrało program telewizyjny publicznej i w nagrodę otrzymało kontrakt, którego pod groźbą kary finansowej nie może zerwać? W jaki sposób może je chronić rodzic, który niczego nie wie o świecie show-biznesu i ufa dziennikarzom twierdzącym, że jego dziecko jest w najlepszych rękach?

© ANNA GOLUS



Prezes NIK Marian Banaś i współprzewodniczący Konfederacji Sławomir Mentzen. Warszawa, 27 lipca 2023 r.

Niesforny świadek koronny

STEFAN SĘKOWSKI

Prezes NIK miał być potulnym nominatem PiS, a stał się symbolem niezależności od władzy. To jednak wypadek przy pracy, który paradoksalnie jeszcze bardziej uwikłał w politykę kluczową dla naszej demokracji instytucję.

PREZES NAJWYŻSZEJ IZBY KONTROLI Marian Banaś zaprezentował projekt ustawy, która ma poszerzać kompetencje tej instytucji. Chce większego budżetu, uprawnień prokuratorskich

i zagwarantowania możliwości kontroli wszystkich państwowych spółek i ich fundacji. Szef z założenia apolitycznej instytucji przedstawiał swe pomysły w towarzystwie lidera Konfederacji, Sławomira Mentzena.

Konferencja była kompromitacją NIK. Izba nie jest od pisania ustaw, tylko od kontrolowania organów państwa i samorządu. Prezes Izby nie powinien występować wspólnie z politykiem, bo można to odczytać jako wyrażenie poparcia dla niego i jego partii, a nie – jak twierdzi rzecznik NIK – za przejaw wsparcia polityka dla tej instytucji i „wzmocnienie jej niezależności”. Tym bardziej że syn Banasia, Jakub, startuje w tegorocznych wyborach właśnie z list Konfederacji. Gdyby Banaś chciał rzeczywiście poprzeć zmiany w prawie, mógłby wcześniej wyrazić się przychylnie (choć to też byłoby naganne) o propozycji Lewicy, która również chce wzmocnić NIK.

Zbłatowanie Banasia z liderem Konfederacji nie różni się jakościowo od postawy prezesa Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej czy Adama Głapińskiego, szefa Narodowego Banku Polskiego. Różnica polega na tym, że oni

wspierają władzę, a beneficjentem działań prezesa NIK jest partia opozycyjna.

PiS wybrał Banasia według tego samego klucza, co innych szefów instytucji, które mają być niezależne i patrzeć władzy na ręce. Do TK, Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji czy NBP wysyła ludzi związanych od lat z partią Jarosława Kaczyńskiego. Oczywiście nigdy już tego nie sprawdzimy, ale nie jest wykluczone, że Banaś grzmiałby podczas konferencji prasowych przeciwko dawnym rządowi Donalda Tuska i samorządowcom powiązanym z opozycją, gdyby nie pokłócił się ze swoim politycznym mocodawcą. A pokłócił się, gdy wyszły na jaw problemy prawne jego i jego syna, a władze PiS zaczęły domagać się jego dymisji. Osią sporu stały się również próby wpływania na nominacje personalne w NIK, na co Banaś nie chciał się zgodzić. Zauważył wtedy, że pozycja, jaką uzyskał dzięki wyborowi na prezesa Izby, daje mu realną niezależność do końca kadencji, a także – póki czuje się kryty przez opozycję – bezkarność w sprawach, w których jest posądzany o łamanie prawa. Chodzi o nieprawidłowości w oświadczeniach majątkowych z czasów, gdy był ministrem finansów.

Dobre złego owoce

W efekcie zadziwiającego splotu okoliczności człowiek PiS stał się rzeczywiście niezależnym szefem NIK. Także dlatego, że i opozycja patrzy na niego nieufnie. Konfederacja jeszcze cztery lata temu domagała się jego dymisji, a w tzw. bloku senackim przez ostatnie lata widać było spory dystans do Banasia.

Rolę, jaką pełni w przestrzeni publicznej szef NIK, opisał obrazowo Donald Tusk, określając go mianem „świadka koronnego rządów PiS”. Określenie to jest zarezerwowane dla gangsterów, którzy w celu uniknięcia wyroku godzą się ujawniać szczegóły działalności swoich dotychczasowych kolegów. W zamian za to państwo gwarantuje im bezkarność. W przypadku Banasia, w ramach nieformalnego dealu opozycja zobowiązuje się nie zgadzać na odebranie mu immunitetu, gdyby taki wniosek stanął na obradach Sejmu. W zamian za to Banaś wykorzystuje instytucjonalne zaplecze NIK do odkrywania patologii obecnej władzy.

Jak wynika z nieopublikowanego jeszcze (ale już przedstawionego posłom z Komisji ds. Kontroli Państwowej) sprawozdania z działalności Najwyższej Izby Kontroli w roku 2022, w instytucji tej pracuje prawie 1600 osób, w tym ok. 1150 kontrolerów. To zazwyczaj wysokiej klasy specjaliści, głównie prawnicy, ekonomiści i technicy różnych specjalności. Większość z nich trafiła do NIK jeszcze zanim zaczął ją prowadzić Banaś. Tylko w ubiegłym roku przeprowadzili oni 1896 kontroli, które dotyczyły działalności rządowej i samorządowej, infrastruktury państwa oraz wymiaru sprawiedliwości i więziennictwa – i dały nam ogromną wiedzę o państwie PiS.

Najbardziej spektakularnym ruchem był wniosek o nieudzielenie absolutorium rządowi za wykonanie budżetu w 2022 r. – miało to miejsce pierwszy raz od 1994 r. Izba wykazała, że różnica między długiem publicznym wyliczanym według unijnej (1,512 mld zł) i krajowej (1,209 mld) metodyki – wyniosła 302,6 mld zł. Natomiast dysproporcja w przypadku deficytu budżetowego osiągnęła 101 mld; rząd chwali się, że wyniósł 12 mld zł, według metodyki unijnej – było to 115 mld.

To efekt przede wszystkim wypychania wydatków publicznych do różnego rodzaju funduszy celowych, takich jak

Fundusz Przeciwdziałania COVID-19 czy Fundusz Patriotyczny. Czyni to finanse publiczne nieczytelnymi i pozbawia obywateli kontroli nad nimi. Sejm oczywiście rząd obronił, jednak ocena wystawiona przez NIK jest druzgocąca i na nieść szczęście PiS trafiła do opinii publicznej.

Raporty NIK są szczególnie cenne w bulwersującej społeczności kwestii funduszy celowych. Z informacji pokontrolnej opublikowanej w 2021 r. wynika, że w latach 2020-2021 jedynie 34 proc. wydatków z Funduszu Sprawiedliwości przeznaczono na pomoc dla ofiar przestępstw i ich najbliższych, a 4 proc. na pomoc postpenitencjarną. Wprowadzenie bardzo ogólnego celu „przeciwdziałania przyczynom przestępczości”, na co poszło 25 proc. dotacji, ułatwiało nadużycia i wydawanie pieniędzy na konferencje bądź kursy luźno związane z założonym celem lub wręcz na „promowanie kwestii światopoglądowych” zgodnych z celami PiS. W ten sposób łatwiej było przekazać środki klientom polityków kierujących Ministerstwem Sprawiedliwości oraz wesprzeć ich własną promocję. Np. kupując Kołom Gospodyń Wiejskich garnki i lodówki.

Pieniądze przy władzy

NIK zwraca uwagę, że nie tylko fundusze celowe rozdają pieniądze osobom bądź organizacjom bliskim władzy. Kilka miesięcy temu Izba ujawniła, że Ministerstwo Edukacji i Nauki wydało niezgodnie z prawem 6 mln zł na wsparcie organizacji pozarządowych przy zakupie i remoncie przez nie nieruchomości w ramach programu ochrzczonego publicznie mianem „Willa plus”. Prokuratura nie miała innego wyjścia niż wszcząć postępowanie w tej sprawie. Nawet jeśli nie zakończy się ono aktami oskarżenia, koszty wizerunkowe dla ludzi władzy są ogromne.

NIK sygnalizował też ogromny problem z plagą płonących składowisk odpadów. Pewnie byłoby ich mniej, gdyby państwo i samorządy realizowały wskazania zawarte w raportach NIK o zapobieganiu pożarom miejsc gromadzenia odpadów (marzec 2023) oraz o usuwaniu nielegalnych składowisk odpadów niebezpiecznych (maj 2023). Zdaniem kontrolerów brakuje koordynacji działań różnych instytucji, przez co nierzadko nawet nie wiadomo, na czym terenie znajdują się składowiska. Ponadto samorządy nie

zostały przez państwo wyposażone w odpowiednie środki finansowe potrzebne do usunięcia toksycznych substancji.

Kłody pod nogi

Rządzący robią wiele, by utrudnić działalność NIK, i nie jest to tylko opinia Mariana Banasia. W czerwcu raport na temat ograniczania niezależności Izby przedstawiła Międzynarodowa Organizacja Najwyższych Organów Kontroli grupująca odpowiedniki NIK z prawie 190 krajów. Jej eksperci skrytykowali m.in. sabotowanie przez państwo szeregu kontroli, a także wstrzymywanie przez marszałek Sejmu Elżbietę Witek procesu wyboru członków władz Izby.

Najgłośniejszą sprawą było uniemożliwienie kontrolerom zbadania procesu fuzji Orlenu z Lotosem i PGNiG. Orlen ich do siedziby firmy po prostu nie wpuścił i nie udostępnił dokumentów – za to złożył na nich zawiadomienie do prokuratury. Daniel Obajtek tłumaczy to tym, że NIK ma kontrolować środki publiczne, tymczasem Skarb Państwa jest tylko jednym z wielu udziałowców Orlenu (obecnie ma bezpośrednio 49,9 proc. akcji) i dlatego kontroli nie podlega. W przestrzeni publicznej można co prawda znaleźć merytoryczne głosy wspierające stanowisko prezesa spółki, problem jednak w tym, że ten sam Obajtek wpuścił kontrolerów do Orlenu w 2018 r., kiedy to jeszcze za poprzedniego szefa NIK, Krzysztofa Kwiatkowskiego, badali działalność sponzorowaną, charytatywną oraz korzystanie z usług doradczych przez koncern.

Orlen nie jest jedyną instytucją, która odmówiła NIK współpracy w ostatnim czasie. Podobnie uczyniły m.in. GPW Benchmark, Sigma Bis i Energa, choć tę ostatnią spółkę NIK kontrolował raptem w 2021 r. – wtedy negatywnie ocenił jej udział w budowie bloku energetycznego w Ostrołęce.

Politycy PiS utrudniają też powołanie członków 14-osobowego Kolegium Izby oraz jej dyrektora generalnego. Kolegium opiniuje m.in. programy inspekcji oraz odnosi się do zastrzeżeń, jakie mogą wnosić przedstawiciele kontrolowanych organów. Z kolei dyrektor generalny zajmuje się operacyjną obsługą NIK. Formalnie obu powołuje prezes NIK, ale musi to robić za zgodą marszałka Sejmu. Kłopot w tym, że Elżbieta Witek jest w tej kwestii zadziwiająco pasywna. Jak

→ wskazuje Banaś, od 2019 r. wnioskował o powołanie członków Kolegium aż 40 razy, z czego marszałek pozytywnie rozpatrzyła jedynie 7 kandydatur. Jeśli do września wakaty nie zostaną wypełnione (wtedy upływa kadencja urzędujących członków Kolegium), może dojść do paraliżu całej instytucji.

Ale sam Marian Banaś nie jest w tym sporze jedynym sprawiedliwym. Jego działania wpisują się w pisowską logikę myślenia o instytucjach, tyle że służą jego własnym celom, a nie partii rządzącej. Przykładowo w lutym 2022 r. sejmowa Komisja ds. Kontroli Państwowej rekomendowała marszałek Sejmu niepowoływanie Jarosława Melnarowicza na stanowisko dyrektora generalnego NIK. Jednym z argumentów było to, że bez konkursu od 1,5 roku pełni obowiązki szefa Biura Organizacyjnego NIK. To poważny zarzut, gdyż zgodnie z ustawą o NIK dyrektorów jednostek organizacyjnych, w tym szefów departamentów, biur i delegatur, obsadza się na 5 lat w wyniku konkursu. Tymczasem p.o. dyrektora nie musi brać udziału w surowym konkursowym przesiewie i można go w każdej chwili odwołać. To o tyle ważne, że pod koniec 2015 r. PiS zniósł zakaz „powierzania obowiązków” w służbie cywilnej. Jak szybko się przekonał, zrobiono tak po to, by łatwiej móc wymieniać urzędników na „swoich” ludzi.

Nie tylko Marian Banaś ma problem z prawem.

Krzysztof Kwiatkowski pełnił przez trzy lata funkcję prezesa NIK z uchylonym immunitetem.

Sam Banaś też chętnie z tego prawa korzysta. Efekt? 11 na 14 departamentów, 3 na 4 biura i 11 na 16 delegatur NIK – kierowanych jest przez p.o. dyrektorów. Zmiany te wprowadzał od razu, jeszcze w czasach dobrych układów z PiS, wymieniając ludzi zajmujących większość kierowniczych stanowisk na bliskich sobie, głównie takich, z którymi współpracował w Ministerstwie Finansów. Nawiasem mówiąc, Melnarowicz pełni obowiązki szefa Biura Organizacyjnego do dziś. Banaś się tym nie przejmuje, tak jak nie przejmuje się krytyką swej polityki personalnej na zapleczu, choćby decyzji o mianowaniu własnego syna Jakuba doradcą społecznym.

Bywa też, że spór z dawnymi mocodawcami przybiera wymiar karykaturalny. Banaś potrafił oskarżyć służby specjalne o śledzenie jego i podległych mu kontrolerów za pomocą systemu Pegasus, choć organizacja Citizen Lab nie potwierdziła takich przypadków, a on sam na potwierdzenie zarzutów nie przedstawił żadnych dowodów, które mogłyby realnie wiązać „atak” na NIK ze sprawą nielegalnej inwigilacji polityków opozycji i prokuratorów. Wspólna konferencja z Mentzem wpisuje się w tę kompromitację jak wisienska na torcie.

Dobrze naoliwiona maszyna

Tego typu działania podważają autorytet Izby, ale – merytorycznie – nie muszą psuć jej funkcjonowania. NIK pod kierownictwem Banasia okazał się sprawną maszyną, która wprawiona w ruch u zarania polskiej demokracji spełnia swoją funkcję. I to mimo kontrowersji związanych z jej prezesami, mocno związanymi z partiami, którym zawdzięczali stanowisko.

Sama instytucja ma aż 104-letnią historię, z tym że obecną rolę pełni od upadku komunizmu. Sejm kontraktowy wybrał na pierwszego niekomunistycznego szefa NIK posła Komitetu Obywatelskiego Wa-

leriana Pańkę. W 1991 r. zaczął on organizować na nowo Izbę i zatrudniać w niej ludzi niezwiązanych z aparatem komunistycznym. Kilka dni przed terminem przedstawienia Sejmowi wyników kontroli w głośnej sprawie Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, określonej mianem pierwszej wielkiej afery polskiej transformacji, Pańko zginął w wypadku samochodowym. Choć zdaniem sądu winę ponosił nieostrożny kierowca prezesa, to do dziś o śmierć Pańki podejrzewa się osoby trzecie. Jego następcą został Lech Kaczyński, który kontynuował misję Pańki i starał się obsadzać NIK niezależnymi fachowcami.

Do dziś kolejni prezesi z dwoma wyjątkami (Jacka Jezierskiego w 2007 r. i Mariana Banasia) wybierani byli spośród posłów. Jednak już na stanowisku szefa NIK okazywali się zaskakująco niezależni i rządzący nie mogli liczyć na ich pobłażliwość. Być może dlatego, że zazwyczaj ich kadencje przypadały w większości na czas rządów politycznej konkurencji: Kaczyński kontrolował głównie rządy SLD-PSL, Janusz Wojciechowski z PSL był prezesem przede wszystkim za rządów AWS-UW, poseł AWS Mirosław Sekuła – za rządów SLD i PSL oraz koalicji PiS-LPR-Samoobrona, z kolei Krzysztof Kwiatkowski (były poseł PO) – głównie za rządów PiS.

Banaś nie jest też pierwszym prezesem NIK, który ma problemy z prawem. Kwiatkowski pełnił swoją funkcję przez 3 lata z uchylonym immunitetem. Wniosek prokuratury trafił do Sejmu w 2015 r., jeszcze za rządów PO-PSL. Śledczy zarzucali mu wpływanie na wyniki konkursów na stanowiska kierownicze w NIK; sprawa sądowa jest w toku.

Prawna niezależność Izby i jej prezesa (można go odwołać tylko po prawomocnym skazaniu), pamięć instytucjonalna NIK, a także swoiste szczęście, dzięki któremu zazwyczaj prezesi wybierani są pod koniec kadencji Sejmu i później nadzorują poczynania politycznej konkurencji – sprawiają, że NIK nadal pełni swą funkcję skutecznie. Kłopot w tym, że dzieje się to nieco wbrew intencjom wybierających prezesa. Obecne polityczne obyczaje utrudniają bowiem realną niezależność całej instytucji i obniżają jej autorytet w oczach obywateli. Dobrze byłoby to zmienić, by w przyszłości nie trzeba było liczyć na szczęśliwe zbiegi okoliczności.

© STEFAN SĘKOWSKI

OGŁOSZENIE



KĘDZIERZYN KOŹLE: Szukamy własnej drogi, chodź z nami. Klub „Tygodnika Powszechnego” w Kędzierzynie Koźle zaprasza.

 Koordynator
Marcin Tumulka
kędzierzynkoze@klubtygodnika.pl

Więcej informacji o Klubach „TP”
na klubtygodnika.pl





JAKUB WŁODEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

Zapadlisko na terenie ogródków działkowych przy ul. Odkrywkowej w Trzebini, 25 listopada 2021 r.

Ziemia się mści

ANNA DUDZIŃSKA

Na mapach okolicy zaznaczono pół tysiąca potencjalnych zapadlisk. Wszystko stało się tymczasowe i podszyte katastrofą. Natura wystawia Trzebini rachunek za dwa wieki wyrywania węgla spod ziemi.

WZACIERANIU ŚLADÓW POMAGAŁA latami przyroda. Teren obok maszyny wyciągowej szybu „Zbyszek” porósł trawą, a na wyrównanym gruncie rozpleliły się perz i akacje. Nie ma już kotłowni, warsztatów, ani sąsiedniego szybu „Paula”. Dwadzieścia dwa lata po zamknięciu zakładu tylko emerytowani górnicy potrafią wskazać miejsce, gdzie znajdowała się brama wjazdowa do

KWK Siersza, gdzie odbijali karty pracy i schodzili do cechowni.

Gdy ludzie już niemal zapomnieli kopalnię, upomniwały się o nią podziemne korytarze. Chodnikami, którymi wwożono kiedyś węgiel, popłynęła woda. Tak intensywnie, że zaczęła wymywać piaszczysty grunt, przez co od dwóch lat w Trzebini zapada się ziemia. Na mapach Państwowego Instytutu Geologicznego

zaznaczono ponad pół tysiąca miejsc, w których może dojść do potencjalnych zapadlisk.

Aż zawalił się cmentarz

Tajemniczy ogród w stylu francuskim znajduje się na tyłach domu przy ul. Jana Pawła II w Trzebini. Nikt tu nie śpi spokojnie. Zaraz za płotem zapada się ziemia, pozostawiając po sobie gładko uformowany lej. Czerwono-białe taśmy wyznaczają przestrzenie, po których można się poruszać, oraz strefy zakazane.

W ogrodzie Wojciecha Kramarza rosną geometrycznie przystryżone tuje, bukszpany, azalie japońskie i piwonie. W pobliżu pękającej ściany ogrodnik amator ustawił ogromne baniaki na deszczówkę. Używa jej do podlewania roślin.

Emerytowany górnik pracował w Sierszy aż do jej zamknięcia. Dokładnie pamięta, gdy 30 października 1999 r. wyjechała stąd ostatnia tona węgla. – To było brutalne zamknięcie. Nic go nie zwiastowało, bo kopalnia zainwestowała w remont – wspomina z żalem. – Potem wyrwano z ziemi wszystko, co mogło się przydać w innych zakładach, a resztę zostawiono. Silniki, maszyny, całe to żelastwo. Chodziłem wtedy jeszcze do pracy i serce mi się krajało. Kilka miesięcy później stanęły pompy odwadniające pod ziemią.

Kramarz podkreśla, że Trzebinia to zachodnia Małopolska, a nie Śląsk. Tam od jednej kopalni zależy funkcjonowanie drugiej, więc wszystko jest połączone centralnym systemem odwadniania. – My byliśmy na uboczu i wydawało się, że można bezkarnie zasypać szyby i zalać kopalnię. Ale już wtedy byli tacy, którzy zadawali pytanie: „A co będzie, gdy woda podejdzie do góry?”.

Na przełomie wieków w Polsce zamknięto w sumie 23 kopalnie, przez co zatrudnienie w górnictwie zmniejszyło się o 100 tys. ludzi. – Zamykaliśmy je ze względów ekonomicznych, na podstawie obowiązującego prawa, a każdy szczegół techniczny wynikający z geologii i konieczności zabezpieczenia i złoza, i powierzchni musiał być zapisany w programie likwidacji kopalń – powtarza, jak dwadzieścia lat temu w czasie rozmów ze związkowcami, Janusz Steinhoff, minister gospodarki i wicepremier w rządzie Jerzego Buzka. →

→ Mieszkańcy Trzebini uważają inaczej. Sądzą, że nikt nie pomyślał ani o ich przyszłości, ani o tym, że wyeksploatowana ziemia upomni się o swoje. Dziesięć metrów od równo przyciętego trawnika pana Wojciecha, tuż za ogrodzeniem zapada się grunt. Dokładnie są tam cztery dziury. Jest i tak lepiej niż u sąsiada po prawej, u którego biało-czerwoną taśmę dzielącą przestrzeń na zabronioną i tę, po której można się poruszać, rozwieszono na środku podwórka.

Rok temu „wypadła” tu pierwsza duża dziura. – Zadzwoniłem po straż pożarną, przyjechali, zasypali i cisza. Potem dziury wypadły na terenie ogródków, więc zapelnili je piaskiem. Dopiero gdy zawalił się cmentarz, to przyjechały kamery, dziennikarze i sprawa nabrała rozpędu – emocjonuje się Kramarz. Czterdziestu nagrobków i sześćdziesięciu pochowanych nie dało się już przemilczeć.

Spółka Restrukturyzacji Kopalń, prawny spadkobierca KWK Siersza, prowadzi w tej okolicy badania, monitoruje wpływ zatapiania kopalni na środowisko, organizuje zespoły eksperckie, przetargi, sprowadziła nawet georadar spektralny. Rzecznik SRK Mariusz Tomalik chwali się, że jedno z zaledwie trzech takich urządzeń na świecie pracowało na Marsie, a dwa w Trzebini. Jednak dla samych mieszkańców spółka nie ma dobrych wieści: bo nie ma na świecie naukowca, który podpisałby się pod opinią, że prowadzone działania załatwią sprawę raz na zawsze – to pierwszy tak skomplikowany i złożony przypadek w kraju. – Nie jesteśmy w stanie dać stuprocentowej gwarancji zabezpieczenia terenu – podkreśla rzecznik SRK.

Jednak prof. Mariusz Czop, geolog z krakowskiej AGH, nie rozumie, skąd bierze się teza o wyjątkowości sytuacji w Trzebini. – To było oczywiste, że zapadliska kiedyś powstaną. Wiadomo, że gdy woda się podnosi i podgryza od spodu piasek, rozpoczyna się wymywanie. Nie wiem, dlaczego decydenci starają się nadać zapadliskom w Trzebini jakiś wyjątkowy charakter, wystarczy przecież pojechać do niedalekiego Olkusza. To, co wydaje się nietypowe, to ich duża intensywność na małym obszarze, ale to może zaskoczyć laika, a nie specjalistów. Można było to wszystko przewidzieć i przygotować się na obecną sytuację. SRK

Dopiero gdy zawalił się cmentarz, sprawa nabrała rozpędu. Czterdziestu nagrobków i sześćdziesięciu pochowanych nie dało się już przemilczeć.

chwali się kolejnymi badaniami, ale na nie brak już czasu. Trzeba zacząć działać! – uważa geolog.

Ludzie w Trzebini mają poczucie porzucenia. Przez lata borykali się z konsekwencjami wydobywania węgla; trzęsły się ich domy, pękały ściany, ale wydawało się, że nad siłami natury ktoś panuje. – Kopalnia przyjeżdżała, likwidowała szkody i szybko wypłacała odszkodowanie – tłumaczy Mateusz Król, przewodniczący Rady Osiedla Siersza w Trzebini.

Jednocześnie ten sam zakład gwarantował bezpieczeństwo: w czasach prosperity pracowało tu ponad sześć tysięcy ludzi. Tak było w przypadku rodziny pana Mateusza, która – jak większość mieszkańców osiedla – związała się z przemysłem górniczym. Ojciec pracował w kopalni do jej zamknięcia, podobnie jak brat taty i mężowie siostr. – Po zamknięciu zakładu przez jakiś czas był spokój, potem pojawiły się pojedyncze dziury. Na początku tego roku ziemia zapadała się właściwie codziennie – opowiada.

Wszystko dzieje się na niewielkim obszarze, gdzie podziemia eksploatowano od dwustu lat. Dziewiętnastowieczni górnicy początkowo wydobywali węgiel z pokładów położonych płytko, zaledwie dwadzieścia, trzydzieści metrów pod ziemią – trudno oczekiwać, by skutecznie, na wieki, zabezpieczyli wyrobiska.

Ptaki głośniejsze od pomp

Natura „mści się” w jeszcze jeden sposób. W 1922 r. doszło w kopalni Artur (poprzedniczka Sierszy) do największej w historii tragedii. Życie straciło dwadzieścia ośmiu górników, bo potok Kozi Bród wdarł się do płytkich wyrobisk. Wtedy pierwotne koryto rzeki zabetonowano i zmieniono jej bieg. Dzisiaj rzeka pozbawiona kontroli ze strony kopalni próbuje wrócić do dawne miejsce.

Mateusz Król prowadzi mnie do lasu, w którym jednostajnie szumią pompy głębinowe. Przekrzykują się z ptakami. Jeszcze przed zamknięciem kopalni tłoczono tu piasek w ziemię, by zlikwidować pustki głęboko pod powierzchnią; dzisiaj odwrotnie – z podziemia odpompowuje się wodę. Specjaliści z SRK mają nadzieję, że uda się w ten sposób obniżyć jej poziom.

Profesor Czop uważa inaczej: – Trudno oprzeć się wrażeniu, że spółka prowadzi działania pozorowane. Żeby skutecznie odpompować wodę, należałoby to robić w kilku miejscach jednocześnie. Skoncentrowanie tego w jednym punkcie może doprowadzić do rezultatów odwrotnych niż spodziewane, choć sam pomysł wydaje się racjonalny. Gdyby poziom wody opadł do tego sprzed czterech, pięciu lat, zyskalibyśmy na czasie. Być może wodę trzeba by pompować aż do końca świata, ale przecież tak się robi na Śląsku i nikt z tego powodu nie rozpacza.

– Ziemia pod Trzebinia i wszędzie tam, gdzie wydobywa się węgiel, wygląda jak wielkie kretowisko – obrazowo dopowiada Mateusz Król. – Idzie taki kret przed siebie i zostawia za sobą wydrążony korytarz. Po jakimś czasie przechodzi do kolejnego traktu i znowu idzie do przodu, pieczołowicie, metr po metr. Jeszcze lepiej użyć porównania z mrowiskiem, w którym wszyscy wiedzą, kto ma jakie zadania. Tak wyglądał podziemny świat pod Trzebinia, aż pewnego dnia wszystko się skończyło.

Profesor Tadeusz Sławek, poeta, tłumacz, były rektor Uniwersytetu Śląskiego, wsłuchuje się w opowieści z Trzebini z troską. Wie, że ta sama historia może pewnego dnia się powtórzyć tuż obok, na jego Śląsku. Pod ziemią wije się tam megakretowisko z korytarzami o długości tysięcy kilometrów, z których wydobyto setki milionów ton węgla.

– Trzeba wszystko opisać jeszcze precyzyjniej. Śląsk to mrowisko zbudowane na terenie wyeksploatowanym przez kreta. Gdyby to było tylko kretowisko, nie mówilibyśmy dzisiaj o tak dramatycznych konsekwencjach. Pech jednak chciał, że pracowite ludzkie mrówki właśnie tutaj zbudowały siedzibę. Tymczasem kret przestał się poruszać swoimi korytarzami. Kiedyś zabezpieczał je również w trosce o własne istnienie, teraz jednak toczą się tam procesy niezależne od ni-



LUKASZ GAGULSKI / PAP

Na osiedlu Gaj ziemia zapadła się pod zbiornikiem z materiałem do zasypywania zapadlisk, Trzebinia, 7 kwietnia 2023 r.

kogo, takie, nad którymi mrowisko nie może zapanować – mówi były rektor.

Prof. Sławek ogląda archiwalne zdjęcia KWK Siersza, przygląda się czarno-białym fotografiom kasyna i stadionu. Wszystko to należało do kopalni, która nie tylko dawała ludziom pracę, ale też porządkowała ich życie. Wpływała na to, gdzie pracowano, ale też na to, gdzie i jak spędzano czas wolny. Kopalnie tworzyły silne więzi. – A potem w sensie dosłownym i metaforycznym tym ludziom ziemia zarwała się pod nogami – dopowiada profesor.

To wszystko mocno rzutuje na psychikę mieszkańców. Nie tylko dlatego, że wpływa bezpośrednio na ich zapadające się ogródki i trawniki, że tworzy dziury w boisku, zagraża budynkom. Wyrwanie ziemi spod nóg burzy w człowieku poczucie zaufania do czegośkolwiek, co z pozoru stałe i stabilne, jak np. dom. – Obawiam się, że ci ludzie nawet po przeprowadzce będą śnili o zapadliskach i zadawali sobie pytanie: „Czy jakiś korytarz jest pod mną?”

Dorodna jabłonka

Na ile wspólne mogą być sny o zapadliskach? Czy mają w nich te same rozmiary? Czy towarzyszy im deszcz i pogoda jak z katastroficznych filmów? W środku nocy o zapadającej się ziemi tuż za płotem myśli Wojciech Kra-

marz, miłośnik francuskich ogrodów. Inny emerytowany górnik, z domu przy ul. Górniczej 11, budzi się z myślą o wnuczkach. – Gdy wszystko się zaczęło, nie chciały chodzić do szkoły. Bały się, że wpadną do dziury. Teraz już wszyscy przywykli, ale myślimy o tym nieustannie. Nierzadko wstaję w nocy i sprawdzam, czy coś nie trzeszczy – mówi mężczyzna.

Dom zbudował jeszcze jego ojciec, w latach 60. W ogrodzie kwitną drzewa owocowe, stoi plac zabaw i różowa, rzadko używana dzisiaj zjeżdżalnia. Dziesięcioletnia Kornelia i młodsza Rozalka mogą z niej korzystać tylko pod nadzorem. Na podjeździe nowa kostka, dom otacza też nowe ogrodzenie, ale dziadek dziewczynki nie wie, czy warto było inwestować. I tak jak sąsiedzi cały czas czeka zniecierpliwiony, by ktoś mu odpowiedział rzetelnie na pytanie: co będzie dalej?

Najmniej wystraszony wydaje się właściciel pobliskiego zakładu samochodowego. Żartuje nawet, że mógłby zmienić szyld na „Warsztat nad zapadliskiem”. Może wtedy przyjeżdżaliby do niego turyści robić zdjęcia. Specjalistyczne badania georadarem pokazały, że dokładnie pod środkiem podwórka znajduje się wielka pustka. Rozłożyła się pod betonowymi płytkami. – Ludzie o tym wiedzą i wielu zrezygnowało z moich usług. Drogiego

mercedesa sam zresztą nie przyjmę, bo gdyby wpadł do dziury, to kto klientowi zapłaci odszkodowanie? To wszystko kiedyś się zapadnie – wieszczą właściciel warsztatu. – Bo skoro wiadomo, że ta pustka pod nami jest i nikt z nią nic nie robi, to pewnego dnia wszystko runie. O, tutaj, przy ogrodzeniu, gdzie stoją auta, rosła kiedyś dorodna jabłonka. Cała wpadła do dziury.

Na razie życie w Sierszy toczy się normalnie, mechanik w warsztacie przyjmuje samochody, ludzie zbierają czereśnie, koszą trawę w ogródkach. Czekają. Profesor Sławek nie ma jednak wątpliwości, że to życie na krawędzi. I że mimo naszej techniki i nowoczesnych przyrządów, o których dziewiętnastowieczni górnicy nie mogli nawet pomarzyć, jesteśmy tak samo bezradni wobec natury.

– Uwierzyliśmy w błyskotliwość współczesnej myśli technicznej i założyliśmy, że nic nie jest w stanie jej zachwiać. Tymczasem tutaj nie tylko wszystko się zachwiało, ale i zapadło – mówi profesor dodając, że w wielu literackich opisach świata podziemnego znajdziemy przekonanie, iż w kopalni kryje się zło. Pisał o tym Gustaw Morcinek, ale też siedemnastowieczny jezuita Athanasius Kircher w podręczniku „Mundus Subterraneus” („Świat podziemny”). W książce znajdują się ryciny ukazujące, jak wyglądało prymitywne kopalnictwo, jest też kolekcja przedstawień smoków. Kryją się pod ziemią i nie można ich bezkarnie obudzić, a potem porzucić. One i tak wrócą i upomną się o swoje.

– Zostawmy jednak symbole i wróćmy do Trzebini. To, co się tam dzieje, jest nauką dla tych, którzy wyobrażają sobie, że kopalnie można tak po prostu zamknąć. To tak nie działa. Nie wystarczy poszukać nowych miejsc pracy dla ludzi. Kopalnie są bytami długiego trwania i właściwie ciągle pracują, nawet zamknięte. Dziś widzimy tylko efekty naszego braku umiaru i zadufania, że to my panujemy nad światem, bo gdzieś zatknęliśmy flagę albo zbudowaliśmy szyb – uważa prof. Sławek.

Wojciech Kramarz, który pieczętowiście wycina geometryczne wzory na ogrodowych tujach, mówi podobnie: – Jeśli wytniemy las, to też będziemy kiedyś tego żałować. Każdy zna to powiedzenie: dobro wraca. I zło też.

© ANNA DUDZIŃSKA

15 SIERPNIA

GRAŻYNA MAKARA

MATKI CHŁOPKI

W połowie jestem ze wsi. A może
w trzech czwartych. Jak my wszyscy.
Czytając o surowym życiu naszych babek
i prababek, przyglądamy się sobie.

SABINA JAKUBOWSKA

WIEJSKIE BABY W NASZEJ KULTURZE STANOWIĄ SYMBOL kłótności, pazerności, zawiści, może jeszcze niechlujności. Reprezentują wady. Samo zło. „Goń stare baby do lasa” – radzi piosenka biesiadna.

A tymczasem okładka głośnej ostatnio książki Joanny Kuciel-Frydryszak „Chłopki” stawia w centrum starą kobietę, pochyloną pod ciężarem nosideł z wiadrami wody, a może pod ciężarem własnej pokory. Nieprzypadkowo aureolą tej świętej w wiejskiej chustce staje się tarcza słońca. Słońce jest przecież naocznym świadkiem jej codziennej pracy. Gdy pojawia się ponad horyzontem, ona już dawno jest na nogach.

– Wstawałam o trzeciej w nocy, ledwo się rozwidniło, okopałam ziemniaki, osiekałam buraki, oplewiłam proso – opowiedziała mi niegdyś pani Anna, rocznik 1925. – Trzeba było tak urządzić, żeby największą robotę dać zaraz za domem, żeby było blisko, między pracami do chałupy zajrzeć, do dzieci, a zboże się siało w polach dalej położonych. Przez te pola się biegało, żeby obiad dać dzieciom, krowy wydoić,



71-letnia Janina Góra rozpoczęła żniwa w czasie powodzi latem 2001 roku. Wraz z mężem nie chcieli zostawić ziemi i gospodarstwa, które były zagrożone osuwającą się ziemią. Piątkowa, powiat nowosądecki, sierpień 2001 r.

się starych kobiet, czekających z rezygnacją na Łaskawość, Śmierć. Jeśli dożyły do starości, zwykle były wdowami. Nieumiejącymi odpocząć. Jedyną legalną chwilą bez pracy było siedzenie w kościelnej ławce. Do ostatnich świadomych dni pielęgnowały przekonanie, że miarą wartości ich życia jest bycie potrzebną. I to przekonanie przekazywały dalej.

Czy to jest moje

Książka Kuciel-Frydryszak to sama prawda. Historyczna, psychologiczna i emocjonalna. „Chłopki. Opowieść o naszych babkach”. Nie powieść. Opowieść oparta na faktach. Ogromnie wciągająca.

O babkach. Ponieważ dla większości czytelników bohaterowie, których poznajemy z imienia i nazwiska, a także nieprzedstawione rzesze wiejskie, to pokolenia babek i dziadków, prababek i pradziadków. I ich babek i dziadków.

O naszych. „Na początku lat dwudziestych – pisze autorka – warstwa obszarników liczy zaledwie 100 tysięcy osób – podczas gdy chłopów w Polsce żyje 17 milionów”. Z tej liczby przetrwała przede wszystkim wieś. Potomkowie szlachty wyginęli na wojnach. Komunizm też zrobił swoje. A co z miastem? Prawdziwie mieszczańskie rodziny o polskim pochodzeniu, z ciągłością osadniczą sięgającą co najmniej kilku pokoleń, to zdecydowana mniejszość. Przedwojenni mieszkańcy miast byli w przeważającej liczbie Żydami. Po Zagładzie miasta opustoszały. Opuściły miasta także niektóre rodziny o pochodzeniu niemieckim. Ich losy przeróżnie się potoczyły. I znów, na ruiny, pustostany przybyli chłopci, chłoporobotnicy.

A zatem Polska, jaką znamy, ma przede wszystkim pochodzenie wiejskie. Jesteśmy potomkami tych, którzy przeżyli – chłopów. Oraz chłopek. Naszych babek, którym Joanna Kuciel-Frydryszak oddaje głos, rekonstruuje historię wielu pokoleń. Ich przekonania, wartości, zwyczajów, od których te pokolenia wiejskie uciekały i jakie nam epigenetycznie przekazały. Dziedziczymy ich nieprzepracowane traumy. Realizujemy ich niespełnione marzenia. Zaczynamy zdawać sobie z tego sprawę. Zadawać pytania w głąb siebie, niczym w odległe od oczu ciemne dno wiejskiej studni. Czy to jest moje? Jeśli nie, czyje to jest?

I to jest właśnie tajemnica fenomenu tej znakomicie się sprzedającej książki. Ponieważ prawdopodobnie każdy z nas może tu znaleźć coś, co dobrze zna, pamięta z dzieciństwa. Z wizyty u babci czy cioci na wsi. Albo chociaż u babci koleżanki. I to nie zawsze są przyjemne wspomnienia.

Polaryzacja wrażeń i skojarzeń. Związanych z wsią, dotyczących wsi. Andrzej Bursa miał w dupie małe miasteczka. Czy ktoś ośmiela się tak pisać o wsi? Wyidealizowana miłość albo kompleksy przykryte nienawistną pogardą. Ale nie obojętność.

Bez korzeni

Na wsi toczy się większość wielkich polskich opowieści. „Żywoł człowieka poczciwego”, „Pan Tadeusz”, „Chłopi”,



świnie nakarmić. Teraz to ludzie nie wierzą, że tak było. Trzeba było z takim zapale latać i robić.

W południe słońce obserwuje z góry, jak praca wre.

– We żniwa cienia było tyle, ile dawał snopek, gdy się go podniosło – wspominała pani Zofia, rocznik 1929. Może właśnie po to w samo południe odmawiano Anioł Pański? Żeby odetchnąć choć te trzy zdrowaśki bez schylania się?

A wieczorem? „Nogi bolą chodzić, ręce bolą robić, zachodźże słońeczko, skoro masz zachodzić” – żaliły się nieprzeliczone pokolenia wiejskich kobiet.

Słońce szło spać, a kobiety? Na samym końcu, gdy już oporządziły całą gospodarkę, obejście, gadzinę, dzieci, wreszcie męża, którego nie one sobie wybrały. „Swaty to wyrok”. Rodząc kolejne dzieci, śpiewały im kołysankę: „Lulajże mi, lulaj, bo cię cisnę w Dunaj”. Ponury żart, ukryta skarga? Nieleczona depresja?

I proste marzenia. Cisza, sen, jedzenie. Święty spokój. „W trumnie sobie odpocznę” – słowa wiecznie krzątających

→ „Nad Niemnem”, „Noce i dnie” (nie myślałam o tym, pisząc „Akuszerki”, po prostu przeze mnie przepłynęły). Odbiorcami tych opowieści byli początkowo przede wszystkim przedstawiciele warstw wyższych. Dla nich wieś opisana pięknym literackim językiem miała posmak egzotyczności. Nabierała uroku i szlachetności w perspektywie bezpiecznej, że mimo wszystko „człek człekowi nie dorówna”, że niemożliwe jest całkowite zatarcie się społecznych różnic. Wykształconym dzieciom chłopskim ta idealistyczna wizja także się podobała, pozwalając zaczerpnąć z tego, co we wsi najczarniejsze czarem sentymentu, z pominięciem turpistycznych szczegółów.

Przeciwwagą dla postrzegania wsi „z góry” była potęga chłopskiej samoświadomości, zakotwiczona w ruchu ludowym i rosnąca w siłę na początku XX wieku. Dumna ze swego pochodzenia, niczym mityczny gigant, który odzyskiwał moc przy zetknięciu z Matką Ziemią. I podobny był jej los. Oderwana od korzeni, udusiła się w walce o byt. Jej przeciwnikiem nie był boski heros, lecz bezradność wobec wpędzającej w nędzę hiperinflacji. „Rachunki krzywd” z czasów procesu brzeskiego okazały się mniej dojmujące niż polityka cepeliady komunistycznego państwa i pozycja satelity w systemie monopartyjnym.

Powojenne miasta rozbudowywane na akord ulegały demograficznej ruralizacji, chociaż „dzicy zwyczajcy” natychmiast przyjmowali prymat kultury miejskiej. Miasto stało się wyznacznikiem wyższości cywilizacyjnej, dobrobytu, kultury i stylu, który obejmował wszystkie sfery życia. Charakter wykonywanej pracy, kultura masowa, urządzenie mieszkań i miastowe jedzenie, higiena, moda, nawet i miastowe imiona. Wszystko zaczynało się w mieście. Wybór miastowości wiązał się często z gorączkowym zacieraniem śladów wiejskiego pochodzenia. „Słoma z butów”, „wieśniak”, „cham” należały, i być może nadal należą, do najbardziej pogardliwych polskich obelg.

W muzeach obrazy Chełmońskiego. Szlachetne, pobudzające wyobraźnię. Ale to tylko obrazy. Tymczasem wieś to doświadczenie 5D.

Jak pachnie wieś

Pierwsze są zawsze zapachy. O tym w książkach rzadko piszą. Z wyjątkiem opisów łąk.

Zapach świeżo udojonego krowiego mleka, zapach siana, koziego sera, zboża w stodole, kurnika czy obornika rozwożonego na pola. Zapach kadzidła w wiejskim drewnianym kościele. Jabłka papierówki. Zapach kwiatów czarnego bzu, wdeptanego w drogę przez uczestników procesji. Kto raz poczuł, ten nie zapomni. Może zachwyt nad piwonią pozwoli przyjąć i zapach obornika z pokorą. Zapachy wsi uczą równowagi. Akceptacji świata takim, jakim jest. Bo niby co innego można zrobić?

Pianie kogutów o poranku i w południe. Odgłos klepania kosy. Porykiwanie krów. Przejmujące poszczekiwanie wiejskich psów, kundli wszelkiej maści, wraz z towarzyszącym temu często pobrzękiwaniem łańcuchów, którymi były przypięte do budy. Odgłosy ciągników i kombajnów. Śpiewanie rozwlekłych pieśni. Klótnie ludzi. Ucho miastowego wychwytyje niuanse, niesłyszalne, bo oczywiste

dla ludzi wychowanych na wsi. Dziś wszechobecny na wsi w lecie hałas kosiarki i zapach podpałki do grilla powodują przypływ melancholii, że dawniej wieś to była cisza. Nieprawda. Nie była.

Jeszcze bardziej przejmujący był dotyk. Upierdliwych musznych nówek, chodzących śpiącemu po twarzy. Wrażenia bosej stopy na klepisku. Nierówny siennik z prawdziwego siana pod plecami i pierzyna wypchana prawdziwym pierzem. Wykrochmalona pościel. Kłujące ściernisko, nawet przez sandały. Wszędobylskie pokrzywy. Dotykanie pośladkami drewnianej deski wychodka. Albo lęk przed tym. Wraz z doświadczeniem zapachu, płynącego silną falą z okrągłego otworu, w który nie chcesz spoglądać. Wychodek z pajakami na ścianach i brakiem prądu. Dobrze, że chociaż okienko w kształcie serduszka.

Świat śmietany

A smaki? Podobno ulubionym smakiem Polaków jest śmietana. Lody, sos, mizeria. Po latach odejmowania śmietany od ust, aby zanieść ją na targ i sprzedać, i za to kupić buty, naftę, węgiel. Wreszcie.

No i ziemniaki. Gotowane, odsmażone, pieczone, placki ziemniaczane, w „ruskich” pierogach. Mało znam takich, co nie lubią ziemniaków.

Dla wielu to najbardziej sielankowa część wsi. Rodzinny obiad w słoneczną niedzielę, pod jabłunką. Oczekiwanie umiła pobrzękiwanie pokrywek, zapach kompotu z gruszek i świeżo krojonej natki pietruszki, gotowanych ziemniaków, rosółu. Ale może nastąpić zupełnie nieoczekiwane odkrycie samotnej kurzej głowy. Albo kurzej nogi, pokracznej i obrzydliwej. Takie spotkanie ma moc przerodzenia się w koszmar dziecka z miasta. Co czują wiejskie dzieci, oswojone z widokiem kurobicia, świniobicia, krowobicia? Czy dusza mniej boli? A może dojrzewa do twardej decyzji ucieczki do krainy, gdzie mięso jest ze sklepu?

Na śniadanie biały barszcz. Dziwne, kwaśne, coś w tym pływa. Skwarki? Babcia śpiewa poranną pieśń. „Wielu snem śmierci upadli, / Co się wczora spać pokładli, / My się jeszcze obudzili, / Byśmy Cię, Boże, chwalili”. To można umrzeć, gdy się śpi? Babciu?

W połowie jestem ze wsi. A może w trzech czwartych. Równocześnie z miasta, ale głębiej – ze wsi. Chodzenie po tej ziemi sprawia, że jestem silniejsza. Czuję moje korzenie. Słyszę historie opowiadane przez babcię – mnie, najstarszej wnuczce. Opowiadane do skutku.

Jestem mostem. Niosę te historie dalej. Szukam znanej melodii w opowieściach innych starych kobiet. Szukam tej melodii w sobie. A może już znalazłam.

Utkane z wyobraźni

„Chustka chłopki to dużo więcej niż okrycie głowy” – pisze Joanna Kuciel-Frydryszak. Różne były te chustki. Paradne, znane z obrazów, filmów i muzeów. Codzienne, kolorowe i podniszczone, wiązane z tyłu. Do kościoła najpiękniejsze. Ciemne na pogrzeb, adwent, Wielki Post. Jasne na świętowanie. I te grube pledy – to też chusty. Kraciaste, pasiaste, na plecy w zimie i lecie, chroniły przed deszczem, przywiązywały dzieciaka, a gdy trzeba było, służyły jako tobołek. Wieś



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Kobieta wiejska z Małopolski, 1934 r.

jest sumą wielu doznań. Pamiętam zapach starej szafy i dotyk poukładanych w niej chustek tybetek. Każda miała inny wzór, a wszystkie niezwykle, baśniowe. Nadal mam te chusty. I ta jedna, gładka czarna po przekątnej, a po drugiej stronie haftowana w kwiaty przez jadownicze hafciarki, siostry Albinę i Adelę Kusiak, co to się uczyły wyszywać w Krakowie i kołnierzyki zamawiała u nich Rozalia Celakówna, a potem wyszywały obrusy i kapy na ołtarze.

Ta jedna chustka – inspiracja do okładki „Akuszerek”. Gdyby jej nie było, gdyby nie było tych wszystkich pytań do babci, czy powstałaby ta książka, utkana z wyobraźni nakarmionej wcześniej wsią? Opowieści starych kobiet i melodia ich języka tworzą przestrzeń prawdopodobieństwa dla wyobraźni. Czytelnicy tę przestrzeń prawdopodobieństwa potwierdzają. W ciągu minionego roku usłyszałam tak wiele prawdziwych historii i tęsknoty do przyjęcia swego wiejskiego dziedzictwa. Poszukiwania korzeni – tożsamości wiejskiej.

Kto poszukuje? Ludzie gotowi stanąć w prawdzie, czym ta wieś-matecznik była dla ich przodków.

Kobieta w roli

Czytając o surowym życiu naszych babek i prababek, przyglądamy się sobie, naszym potrzebom, nawykom i upodobaniom, z których część została ukształtowana tam właśnie.

Na przykład: narzekanie. Ile pokoleń po ustaniu pańszczyzny zdecydujemy się zrezygnować z nawykowo przyjmowanej roli ofiary? Z niewolniczej filozofii bezradności?

Bierność wobec przemocy. Zwłaszcza tej domowej. Była ona niegdyś powszechnym losem kobiet wydawanych za mąż za mężczyznę z morgami. Wszelako jesteśmy już gdzieś indziej.

Ocenianie i przejmowanie się oceną. Kuciel-Frydryszak pisze: „System, kultura, nazwijmy ją patriarchalną, katolicką lub wiejską, zaprogramowuje kobietę do odgrywania schematycznych ról, tłumiąc w niej poczucie prawdziwej bliskości i solidarności z własnym dzieckiem, pozabawiając instynktu chronienia i wspierania go. Kobieta – produkt tej kultury – nie zadaje sobie pytania, czy jest dobrą matką w ocenie swojego dziecka, lecz czy jest nią w oczach męża, księdza czy innych członków starszyny plemiennej”.

Naprawdę nadal to robimy. Czym jest bowiem większe zaufanie do osób oceniających nasze dziecko niż do naszego własnego dziecka? Ta historia nie zaczyna się w instytucjach edukacyjnych, lecz dużo wcześniej, na etapie obdarzania większą wagą zewnętrznych autorytetów rozmaitej proveniencji. Dziecko nie rodzi się manipulujące. Chce być wysłuchane, chce być blisko i wystarczy za tym podążać. Uczy się nieszczerości od nas, gdy jesteśmy nieszczerzy wobec siebie samych.

Autorka „Chłopek” wielokrotnie podkreśla, że wiejskie kobiety były zimne dla swoich dzieci. Robiły, co trzeba, ale nie przytulały, nie chwaliły. Dlaczego? Bo to były dzieci tych niechcianych mężów? Aby nie „zapeszać”, oszukać przeznaczenie, zabierając znaczną część dzieci w pierwszych tygodniach, miesiącach, latach? Nie przywiązywać się, aby jakoś przetrwać możliwe straty? Da się tak? Autorka podkreśla, że wyrazem miłości nie była bliskość emocjonalna, lecz karmienie bliskich. A ponieważ wreszcie nie brakuje nam jedzenia, to jako populacja jesteśmy przekarmieni. I nadal głodni bliskości.

Nierealne oczekiwania. Że tam, gdzie nas nie ma, trawa jest bardziej zielona. Marzenia setek „zbędnych” na wsi dziewcząt o „wyrwaniu się z domu”, o lepszym losie w bogatszej gospodarce, może w mieście, może za granicą. Aspiracje do bycia „panią”. Rachunek za spełnione w ten sposób marzenia był bardzo wysoki.

Pęd do wyrwania się ze wsi wiązał się z dążeniem do wykształcenia, stanowiącego rodzaj biletu do lepszego świata. A także niekiedy z głodem wiedzy. Ojcowie jako szefowie rodzinnych firm często uważali, że „kiedy dziecko idzie do szkoły, rodzina traci pracownika w gospodarstwie”. O wykształcenie dzieci wbrew stereotypom starały się raczej chłopki. „Najczęściej to matki organizują dziecku wszystko, co potrzeba do szkoły. Z nabią, który sprzedają, lnu, który wysiejają, jajek, które zaniósł na targ, starają się uciulać, żeby było na tabliczkę, rysik, zeszyt, ubrania, buty. Gdy się nie uda (...), oddają dziecku własne buty”. Tylko że ten bilet do lepszego świata to często *one way ticket*. Ono nie wróci, nie poda szklanki wody na starość, będzie się może wstydzić za matkę, jej wygląd, mentalność i zwyczaje. Zawzięta miłość matek wiązała się z koniecznością rezygnacji z dziecka. Te dramaty także są zapisane w naszym DNA.

Syndrom Boryny

Dawniej niewdzięczna starość zaczynała się wcześniej. Przyносиła zmarszczki, siwe włosy, nieutulony żal bezzębności i coś jeszcze, coś w zamian. Prawo do bycia autorytetem w świecie, gdzie młody jeszcze nie wie nic, nie ma prawa

→ się wypowiadać, podejmować decyzji. One wprawdzie należały do dojrzałych mężczyzn, głów rodzin, ale to te pogarbione kobiety w niepranych spódnicach tworzyły wszytkowiedzący grecki chór. Bez ich komentarzy, nauk moralnych podszytych lękiem o nowe pokolenia, nie działa się na wsi nic.

Syndrom Boryny. Nieumiejętność odpuszczenia kontroli nad otoczeniem. Niemożność przyjmowania innego punktu widzenia bez poczucia, że jest on zarazem krytyką naszych wyborów. Ale tu nie ośmieliłabym się powiedzieć, że jest to wyłącznie domena wsi.

Można uznać w nas to wiejskie dziedzictwo odpowiedzialności za przyszłość, dążące do wszytkowiedzy, z ambicją do posiadania jedynej słusznej racji. Uznać i wypuścić. Ta droga mogła być dobra przez wiele pokoleń. Teraz możemy sobie pozwolić na lżejsze podejście. Świat zmienia się bardzo szybko. Czy nasze doświadczenie jest-będzie w ogóle przydatne dla tych, co przyjdą po nas? Może naszym zadaniem jest odpuścić odziedziczony po przodkach nawyk harowaczki? I ten podskórny lęk, że nieróbstwo oznacza bycie zbędnym dla rodziny i społeczności? Zainwestować w uważność na siebie? Przepracować pokoleniowe traumy i uwolnić nie nasze marzenia? Pozwolić sobie czasem odpocząć – tu i teraz, nie w trumnie?

Uznać dziedzictwo wsi z wdzięcznością za wszystko, co nas ukształtowało i co niesiemy dalej. Na przykład głębokie przekonanie o świętości chleba. O grzechu marnowania jedzenia. Czasami przybierało ono karykaturalne wymiary, jak w „Konopielce” Redlińskiego, gdy usmażone przez nauczycielkę kotlety stają się dla wiejskiej rodziny symbolem marnotrawstwa, bo przecież na okrawkach z tego mięsa można było jeszcze przez długi czas gotować kaszę i kapustę. Ale w naszym obecnym świecie możemy wdrożyć to dziedzictwo dla

Dziecko nie wróci z miasta,
nie poda szklanki wody
na starość. Będzie się wstydić
za matkę, jej wygląd,
mentalność i zwyczaje.

**Zawzięta miłość matek
wiązała się z koniecznością
rezygnacji z dziecka.**

naszego przyszłego świata. Kupować mniej. Marnować mniej. Wcale.

Poradzimy sobie

Ciekawe rzeczy przed nami. Czekamy na film „Chłopi” w reżyserii Doroty Kobieli i Hugh Welchmana. W roku 2024 będzie setna rocznica przyznania Reymontowi literackiej Nagrody Nobla za „Chłopów”. Rok ten został też ustanowiony Rokiem Witosa, i nikt w Sejmie nie był przeciwny. Ale nie róbmy z tego wszytkowego szopki, cepeliady i jasełek.

Kiedy owijam się kraciastym płem albo na nim prasuję, czuję po-

łączenie z moim dziedzictwem. Czasami noszę chustkę. Jest czymś więcej niż nakryciem głowy. Ziemniaki i śmietana to moje smaki. Wegetarianizm jest łatwy, gdy się pamięta, że tyle pokoleń przede mną praktycznie nie jadło mięsa i żyło, pracowało, miało siłę. Najbardziej jestem wdzięczna moim przodkom ze wsi za wytrzymałość, w każdym sensie. Za skupianie się na rozwiązywaniu problemów. „Kobiety po doświadczeniach pierwszej wojny światowej, gdy wiele z nich w gospodarstwach zastępowało mężczyzn, wiedzą, że potrafią poradzić sobie same (...) one się zawsze poczuwają, że jeśli czegoś nie potrafią, to się nauczą” (Joanna Kuciel-Frydryszak). Dziękuję za to.

© SABINA JAKUBOWSKA

Autorka jest pisarką. Badaczka historii lokalnej, doula, archeolożka i nauczycielka. Wydała w 2022 r. bestsellerowe „Akuszerki” (nominacje do Nagrody Nike, Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza i Nagrody Literackiej Unii Europejskiej) – powieść o kobietach przyjmujących porody w XIX-wiecznej i XX-wiecznej Małopolsce.

Książka Joanny Kuciel-Frydryszak, **CHŁOPKI. OPOWIEŚĆ O NASZYCH BABKACH** ukazała się nakładem wydawnictwa Marginesy.

TP JUŻ W NASTĘPNYM WYDANIU DODATEK

CHOPIN I JEGO EUROPA

Warszawski festiwal „Chopin i jego Europa” jest wyjątkowym wydarzeniem muzycznym.

- **PO PIERWSZE:** jedynym, podczas którego można usłyszeć tak dużo Chopina, goszczącego – wbrew pozorom – na polskich estradach sporadycznie.
- **PO DRUGIE:** muzykę kompozytora otaczają utwory stanowiące dla jego twórczości zaskakujące konteksty.

W dodatku idee festiwalu przybliży nam jego twórca,
STANISŁAW LESZCZYŃSKI.



**chopin i jego
europa 2023**
19. międzynarodowy festiwal muzyczny
„Chopin i jego europa”
warszawa 10.08–1.09



„TYGODNIK” Z DODATKIEM W KIOSKACH OD ŚRODY 16 SIERPNIA

TOMASZ

Stawiszyński: Świat według Barbie



POWIEDZMY NA POCZĄTKU JASNO, ŻE święcący na całym świecie triumfy film „Barbie” (pisała o nim niedawno Anita Piotrowska) jest przede wszystkim jedną wielką reklamą firmy Mat-

tel. Owszem, zmyślnie ubraną w kostium emancypacji, feminizmu, społecznego zaangażowania i wszelkich słusznych lewicowych postulatów – ale, nie da się ukryć, reklamą.

Przy czym nie jest to wcale połączenie szczególnie egzotyczne. Nie od dzisiaj wiadomo, że wielkie korporacje stały się w ostatnich dekadach krzewicielkami progresywizmu: przeznaczają znaczne środki na propagowanie określonych postaw, wprowadzają wewnętrzne i zewnętrzne programy mające zwiększać równość, różnorodność i otwartość (w praktyce nie wygląda to tak, *nomen omen*, różowo, ale o tym kiedy indziej). I choć sukces filmu nie przełożył się automatycznie na skokowy wzrost sprzedaży lalki, to w czerwcu 2023 r. wskaźniki były wyraźnie lepsze niż 12 miesięcy wcześniej, a przedstawiciele Mattela spodziewają się pozytywnych długofalowych efektów. Niezależnie jednak od tego, jak się będą układać słupki, wizyrunek firmy – która w filmie inteligentnie poddaje samą siebie pozorowanej krytyce i równie inteligentnie na tym korzysta – z pewnością intensywnie się wzmocni. „To przełomowy moment dla firmy i wizytówka kulturowego rezonansu marki” – tak sukces hollywoodzkiej superprodukcji skomentował dyrektor operacyjny Mattela Richard Dickson i doprawdy nic tutaj więcej już nie ma potrzeby dodawać.

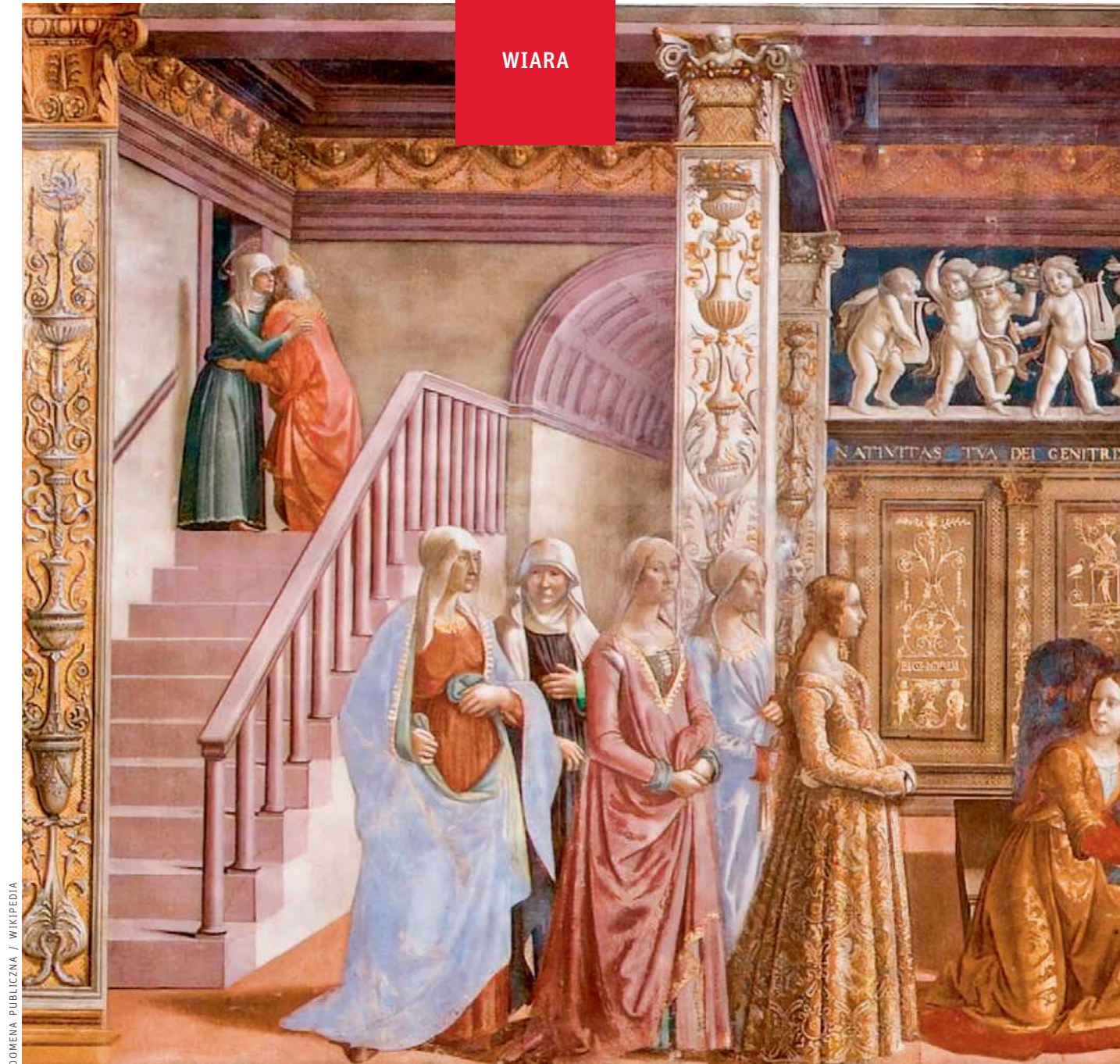
To powiedziawszy, warto również zauważyć, wisi film „Barbie” to rzecz z wyraźnym rysem edukacyjnym. Wpisuje się tym samym w specyficzny nurt współczesnego popularnego kina, które bawiąc uczy, ucząc zaś bawi – czy raczej: wpaja określone postawy i poglądy, także o zdecydowanie politycznym zabarwieniu. Innym klasycznym przykładem tego gatunku jest osławione „Nie patrz w górę”, niedawny hit Netfliksa z Leonardo Di Caprio i Jennifer Lawrence w rolach głównych. W obu tych przypadkach – „Barbie” i „Nie patrz w górę” – twórcy wyraźnie podkreślają, że idzie im o coś zdecydowanie więcej niż prostą rozrywkę. Że popkulturowa forma nie służy tu jedynie takiej czy innej satysfakcji, nie jest celem samym dla siebie, lecz ma być medium, z pomocą którego do serc i umysłów odbiorczyń i odbiorców wpłyną jakieś ważne, aktualne i zupełnie nie rozrywkowe przekazy. Znam to i dostrzegam – zarówno uwikłania progresywnych dyskursów w kapitalistyczną machinę, jak też intencje oraz założenia polityczno-ideowe

przyświecające twórcom i twórczyniom „Barbie”. I właśnie dlatego mam wobec tego filmu dwa zasadnicze zastrzeżenia, mniej więcej takie same zresztą, jakie miałem wobec „Nie patrz w górę”. Właśnie dlatego je formułuję, że twórcy tych dzieł deklarują ambicje pozaartystyczne – pragną formować nasze postawy i wpływać na nasz światopogląd. Otóż, tu pojawia się problem, a dokładniej rzecz biorąc – dwa problemy.

Po pierwsze więc, „Barbie” projektuje obraz świata, w którym kobiety i mężczyźni tworzą dwie odrębne zupełnie grupy, pomiędzy którymi panuje ontologiczny, fundamentalny antagonizm. Stawką tego antagonizmu jest bezwzględna dominacja i władza. Niczym innym – można odnieść wrażenie – kobiety i mężczyźni właściwie się nie zajmują i nigdy nie zajmowali, jak tylko nieustanną wzajemną konkurencją o to, kto kogo zdominuje, kto kogo sobie podporządkuje, kto nad kim będzie wszelkimi możliwymi sposobami panował. Od małżeństwa i macierzyństwa po sprawy estetyczne, od pracy po dom, od publicznego po prywatne – nic tylko władza, dominacja, *master and servant*, jedno na górze, drugie na dole. Postawą wobec tego właściwą – zwłaszcza dla kobiet, zwłaszcza dla dziewczynek i dziewczyn – jest aprioryczna nieufność wobec „tych innych”, drażliwość i wrażliwość na czające się dosłownie wszędzie zamiary zniewolenia oraz pułapki chytrze zastawiane w celu ich realizacji. Nie ma tu miłości, nie ma przyjaźni, nie ma wspólnoty – jest natomiast nieustanna podejrzliwość, rywalizacja, ucieranie nosa i podkreślanie swojej totalnej niezależności.

Po drugie, grupę konkurencyjną, czyli mężczyzn, portretuje się w tym filmie w sposób skrajnie karykaturalny, jako stado kompletnych półgłówków, całkiem pozbawionych rozeznania, inteligencji, połotu czy w ogóle jakichkolwiek pozytywnych cech. Są to niemal bez wyjątku osobnicy powodowani najniższymi instynktami, umysłowo ociężały, zainteresowani najbardziej banalnymi gratyfikacjami. To wszystko, ma się rozumieć, w przeciwieństwie do „nas”, czyli kobiet – „my” w tym filmie to jednostki i grupy cechujące się wyłącznie mądrością, subtelnością, wyczuciem, delikatnością i szlachetnością. „My” zatem musimy „tamtych” pokonać, przechrzyć i zdominować, na tym polega „nasze” dziejowe zadanie.

Niestety, jest to struktura myślowa, która w epoce polaryzacji tożsamościowych i światopoglądowych coraz bardziej się upowszechnia, w różnych zresztą politycznych odmianach, zarówno po lewej, jak i po prawej stronie („my” i „tamci” są w tych różnych odmianach po prostu odpowiednio inaczej definiowani). Nie zajmowałbym sobie (i Państwu) nią głowy, gdyby „Barbie” miała być czystą rozrywką. Rzecz jednak w tym, że do edukacji obywatelskiej tego typu koncepty nadają się mniej więcej tak samo, jak inne teorie spiskowe. Obraz świata jest tam równie czarno-biały, rozumienie złożonych procesów społecznych równie uproszczone, a potencjał konfliktogenny równie silny. „Wyobrażenie lekarstwa nader często bywa częścią choroby” – mawiał James Hillman i te słowa wydają mi się tutaj najlepszym podsumowaniem. ©



DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Domenico Ghirlandaia, Narodziny Maryi, ok. 1485-1490 r. Fresk w prezbiterium kaplicy Santa Maria Novella we Florencji

MARYJA WYOBRAŻONA

PROF. ERIC M. VANDEN EYKEL, HISTORYK RELIGII:

W Ewangeliach jest bardzo mało informacji o matce Jezusa.

Historia jej życia była wymyślana
zgodnie z potrzebami wczesnego Kościoła.



ważną postacią. A potem, po I wieku, docieramy do literatury apokryficznej, jak Protoewangelia Jakuba, która jest głównym przedmiotem moich badań – i Maryja ma tam już całą swoją historię.

Łukasz opisuje Maryję jako służącą, ale to słowo może mieć inne znaczenie.

Słowo *doúle* użyte w odniesieniu do Maryi u Łukasza oznacza po prostu niewolnicę (Mt 1, 38). Dziś lubimy myśleć, że żyjemy w czasach po niewolnictwie, mimo że ono istnieje w zmienionej formie. W starożytnych tekstach niewolnictwo jest częścią rzeczywistości społecznej. Możemy się skrzywić i pomyśleć, że nie chcemy, aby Nowy Testament mówił o niewolnictwie, zwłaszcza w pozytywnym sensie. Jednak kiedy Łukasz nazywa Maryję osobą zniewoloną, nie używa tego jako obelgi, tylko czerpie z głębszego znaczenia tego słowa. Większość komentatorów uważa, że Maryja nazywa siebie niewolnicą, podobnie jak czyni to Paweł, co znaczy, że jest całkowicie posłuszna Bogu. To nadal stawia ją w pozycji osoby będącej własnością, od której oczekuje się zgody. Czy chciałabyś urodzić moje dziecko? – pytana jest niewolnica. Ale tak naprawdę nie ma wyboru. Kobiety często są zmuszane do zgadzania się na rzeczy, których nie chcą robić.

Maryja zostaje „wrobiona” w powiedzenie „tak”?

Autor Ewangelii Łukasza podkreśla, że Maryja jest całkowicie dostępna dla Boga. Później, w tekstach takich jak Protoewangelia Jakuba, zostaje to rozwinięte i pojawia się opowieść o życiu, które ją do tej zgody przygotowało. Wychowuje się w świątyni i nigdy nie wychodzi na zewnątrz. Cały dzień spędza na przędzeniu. Jest doskonałą, pełną łaski istotą, która nie może oprzeć się Bogu.

Wpływ Protoewangelii Jakuba na teologię i tradycję jest ogromny. Widać go w ikonografii, w scenach zwiastowania, które odbywa się w świątyni. Joachim i Anna to jej rodzice, których znamy tylko z tego tekstu.

Macie w katolicyzmie święto Ofiarowania Najświętszej Maryi Panny w świątyni, które jest też bardzo ważne w prawosławiu, a także święto Narodzenia →

ZUZANNA RADZIK: Twierdzisz, że teologia chrześcijańska używa Maryi i jej ciała jako płótna, na którym przedstawia to, czego w danym momencie potrzebuje. Kiedy to się zaczęło?

PROF. ERIC M. VANDEN EYKEL: Właściwie na samym początku. Autor Ewangelii Łukasza, datowanej na lata 80. lub 90. I wieku, przedstawia Maryję jako osobę skrajnie posłuszną.

I daję nam o niej najwięcej informacji ze wszystkich kanonicznych Ewangelii.

Wspomina o niej Marek, jest też widoczna u Mateusza, ale on tak naprawdę jest zainteresowany raczej Józefem. Autor Ewangelii Jana chce ją widzieć tylko w Kanie Galilejskiej, a potem obok krzyża. Nigdzie nie jest wymieniona z imienia i tak naprawdę niczego nie mówi, poza zdaniem: „Skończyło się wino”. W Ewangelii Łukasza staje się

→ Najświętszej Maryi Panny. Cała ta tradycja pochodzi z Protoewangelii Jakuba. Katolicyzm bardzo wiele czerpie z tego tekstu – a większość katolików w ogóle o nim nie słyszała!

Historia Maryi w Ewangeliach jest pełna luk. Dlaczego chrześcijanie czuli potrzebę ich uzupełnienia?

W II wieku luki są uzupełniane: powstają historie o dzieciństwie Jezusa, o apostołach, których nie ma w tekstach kanonicznych. Maryja jest częścią tego trendu. Jest szczególnie ważna, bo skoro chrześcijanie głoszą, że Jezus jest Bogiem, to pojawia się pytanie, jakiego rodzaju kobieta rodzi Boga.

Niektóre tematy interesują ich szczególnie, jak jej nieskalane dziewictwo. Dlaczego?

Autorzy Ewangelii Mateusza i Łukasza twierdzą, że Maryja jest dziewicą w chwili poczęcia Jezusa. Jest to w obu tekstach bardzo ważne. Autorzy Ewangelii Marka i Jana o tym nie wspominają. Zatem przekaz o dziewiczym poczęciu jest wczesny, natomiast pomysł, że pozostała dziewicą po narodzinach Jezusa, pojawia się później, dopiero w II wieku.

A co z chrześcijańsko-żydowskim kontekstem Protoewangelii Jakuba?

Kiedy zaczynałem ją badać, byłem przekonany, że autor miał dużą wiedzę na temat judaizmu i był przyjazny Żydom. Im dłużej zajmuję się tym tekstem, tym bardziej myślę, że autor mógł uważać się za Żyda, ale miał swego rodzaju antagonistyczną relację z judaizmem. Przedstawia rządzących świątynią w bardzo negatywnym świetle, jako legalistów. Witają Maryję w świątyni, ale potem uważają, że zbezcześci ją, więc wyrzucają ją na ulicę i wyznaczają jakiegoś przypadkowego mężczyznę na jej męża. Są tacy, którzy twierdzą, że autor jest bardzo zakorzeniony w judaizmie II wieku.

Osadzenie Maryi w kontekście świątyni wydaje się sztuczne.

Pomysł, by ktokolwiek mieszkał w świątyni, jest dziwny. Wszystkie te historie są zmyślane.

Historia o Maryi mieszkającej w świątyni ma na celu skojarzenie jej z historią Samuela (zob. 1 Sm 1).

A jej matka staje się jak Hanna z Biblii hebrajskiej.

Dokładnie tak. Mamy więc Annę i Hannę. Autor nie jest zbyt subtelny. Podobnie jak Hanna, matka Samuela, idzie i modli się o dziecko, tak Anna modli się w swoim ogrodzie. Także Elkana i Joachim są bardzo podobni, obaj składają mnóstwo ofiar. Autor nie tyle wymyśla te historie, ile je zapożycza, używa na potrzeby budowy postaci Maryi.

Co chce w ten sposób przekazać?

Maryja w Protoewangelii Jakuba mieszka nie tylko w świątyni, ale także w Świętym Świętych (najświętszym miejscu, uświęconym obecnością Boga). Pojawia się to później w tekście, kiedy okazuje się, że jest w ciąży. Jeden z kapłanów mówi: „Jak mogłaś to zrobić? Ty, która wychowałaś się w Świętym Świętych?”. To interesujący szczegół. Nikt nie mieszka w Świętym Świętych, nikt nawet tam nie wchodzi, z wyjątkiem kapłanów, a dokładnie tylko jednego kapłana w jeden dzień w roku.

To dlaczego Maryja tam mieszka?

Autor twierdzi, że jest najczystsza i najświętszą istotą, jaka kiedykolwiek żyła. I to jest dowód, że żyła w największej czystości, bo mieszkała w najczystszej części na ziemi. Kapłani jej nie karmili, ale anioł przynosił jej jedzenie. Była wystarczająco czysta, aby żyć w Świętym Świętych na co dzień, podczas gdy czystości arcykapłana wystarczało tylko na jeden dzień. Niemożliwe jest pozostanie na tyle czystym, by przebywać tam przez cały czas! A jej się to udało. Poza tym, co znajduje się w Świętym Świętych? W Pierwszej Świątyni przechowywano tam Arkę Przymierza. Maryja w tym kontekście staje się nowym naczyniem dla nowego przymierza. Nową arką. Autor chce, by czytelnicy widzieli w niej wyjątkowe mieszkanie mocy Bożej.

Co jeszcze możemy powiedzieć o Maryi przedstawionej w Protoewangelii?

Maryja jest wykorzystywana do promowania idei idealnej kobiecości. W II wieku w kręgach chrześcijaństwa istnieją dwa ideały kobiecości: macierzyństwo i dziewictwo. Maryja paradoksalnie uosabia oba typy. Cały sens Protoewangelii Jakuba polega na tym, że dziewictwo

– a autor uważa dziewictwo i czystość za to samo – jest częścią jej tożsamości. Do tego została powołana. Ale jest także biologiczną matką. Jej postać ma potencjał, aby kobiety czytały tę historię i mówiły: Maryja jest wzorem niezależnie od tego, jakie jest moje powołanie.

Wśród chrześcijan II wieku nadal działają kobiety kaznodziejki i liderki. Jak atrakcyjny jest ten model dla kogoś, kto pełni inne role niż matka lub dziewczyna?

Czy we wczesnym chrześcijaństwie były kobiety przywódczyni i kaznodziejki? Bardzo chciałbym, aby tak było. Dorastałem jako metodysta, więc kobiecie przywództwo jest częścią mojego doświadczenia. Są dowody na istnienie kobiet ewangelizatorek i kobiet liderek w niektórych częściach chrześcijaństwa. Moim zdaniem źródła nie sugerują jednak, by było to powszechne. Interpretuję to tak, że istniały takie funkcje, ale większość wczesnego chrześcijaństwa przyjęło bardzo patriarchalny system.

Niemniej uważam, że nawet kobiety liderki mogły znaleźć potwierdzenie swojej roli w tekstach o Maryi – choćby w jej „Magnificat”, kiedy przemawia napełniona duchem, głosi o wielkich rzeczach, które Bóg uczyni przez Jezusa.

Czemu w Protoewangelii Jakuba po Maryi nie widać, żeby fizycznie urodziła?

Narodziny Jezusa są w tym tekście bezkrwawe. Każdy, kto był na sali porodowej, wie, że poród nie odbywa się bez krwi. Byłem przy trzech porodach moich dzieci, zawsze miałem wrażenie, że coś idzie nie tak. Jest krew, krzyk, to wydarzenie jest brutalne. Gdy wchodzisz do miejsca, gdzie odbył się poród, spodziewasz się kobiety, która wygląda na wyczerpaną. Tymczasem w Protoewangelii położna mówi, że ciało Maryi nie wykazuje żadnych dowodów na to, że rodziła. A potem Salome deklaruje, że nie uwierzy, póki nie sprawdzi. I bada genitalia Maryi. Po tem jej ręka staje w płomieniach.

Do czego autor potrzebuje bezkrwawych narodzin?

Jest kilka powodów. Po narodzinach Maryi Anna musi się oczyścić, zanim będzie mogła nakarmić dziecko. Powstaje

rodzaj automatycznego kontrastu między „krwawymi” narodzinami Maryi a narodzinami Jezusa. Możliwe też, że w Protoewangelii mamy do czynienia z formą chrześcijaństwa zwaną doketyzmem. Doketyści wierzyli, że ciało Jezusa nie było prawdziwym ludzkim ciałem, ale tylko sprawiało takie wrażenie. Tak więc Maryja rodzi, ale jej ciało pozostaje nienaruszone przez poród. Jeśli ciało Jezusa nie jest prawdziwym ludzkim ciałem, to może wchodzić i wychodzić z ciała matki, nie uszkadzając go ani nie wpływając na nie.

Myślałam, że trzymanie Maryi w świątyni służyło odpięciu zarzutu, że odbyła stosunek seksualny i stąd zaszła w ciążę. Umieszczenie jej pod strażą żydowskich kapłanów mogło być odpowiedzią na argumenty, że to zwyczajna historia o sploteniu nieślubnego dziecka. Ale po co miałyby zostać dziewczęta po urodzeniu?

Im dłużej czytam Protoewangelię, tym bardziej mam wrażenie, że wszystko w niej jest hiperbolą. Kapłan mówi do Joachima, że musi poczekać na swoją kolej, aby złożyć ofiarę w świątyni, bo nie ma dzieci. Joachim jest smutny i idzie sprawdzić w księdze, czy jest jedynym sprawiedliwym w historii Izraela, który nie ma dziecka. Potem wyrusza na pustynię na 40 dni. Mówi: „Będę żył tylko modlitwą”. Następnie Anna zakłada suknię ślubną i idzie do ogrodu, mówiąc: „Będę oplakiwać moją bezdzietność, a także moje wdowieństwo. Jestem teraz wdową. Mój mąż odszedł”.

Wszystko tu jest przesadzone.

Być może dziewictwo Maryi po narodzinach Jezusa też. Czy miała inne dzieci po Jezusie? Cóż, jeśli sprawdzić w ewangeliiach Nowego Testamentu, odpowiedź brzmi: tak. Są tam bracia i siostry Jezusa. Niektórzy tłumaczą, że chodzi o przyrodnych braci i siostry. Hieronim uważa, że to kuzyni. Ale u Mateusza czytamy, że Józef nie współżył z Maryją, dopóki nie urodziła Jezusa (Mt 1, 25), co wydaje się sugerować, że Maryja będzie miała inne dzieci. Ale w Protoewangelii pozostaje dziewicą. Pojawiają się tam dzieci Józefa z poprzedniego małżeństwa, co służy podkreśleniu, że Maryja i Józef nie uprawiali seksu po narodzinach Jezusa.



ERIC M. VANDEN EYKEL

jest profesorem nadzwyczajnym religioznawstwa w Ferrum College w Wirginii. Jego badania koncentrują się na literaturze wczesnochrześcijańskiej, z naciskiem na teksty apokryficzne lub niekanoniczne. Szczególnie interesuje go Protoewangelia Jakuba.

Pokazując, że ciało Maryi nie zostało dotknięte nawet przez narodziny Jezusa, autor używa hiperboli, żeby podkreślić całkowitą czystość Maryi.

A Józef w tej opowieści ma jej dziewictwo strzec.

Kiedy kapłani wydają ją ze świątyni i przydzielają Józefowi, mówią mu: „Bierzesz w swoje posiadanie dziewicę Pana”. Józef otrzymuje instrukcję, być może niewypowiedzianą, ale jasną: nie wolno z nią współżyć.

Co się stało, że ją wyrzucili?

Nie jest to powiedziane dokładnie. Maryja została oddana do świątyni, gdy miała trzy lata, pozostaje tam przez dziewięć lat. Kiedy ma 12 lat, nagle kapłani mówią: „Ma zamiar zbezcześcić świątynię Pana”.

Podtekst jest taki, że ona zaraz zacznie krwawić, a kapłani nie chcą, aby stało się to w świątyni?

Czytelnicy tego tekstu prawdopodobnie mieli uważać to za głupotę kapłanów. Maryja mieszkała w Świątym Świątym,

karmiona przez anioła, a teraz menstruacja miałyby sprawić, że zbezcześci świątynię?

Czyli autor chce powiedzieć, że to głupi żydowski zwyczaj, iż kapłani boją się krwi?

Chce pokazać kapłanów jako nadmierne legalistycznych. Mają w swojej świątyni najświętsze stworzenie, matkę Boga, i wypychają ją, ponieważ boją się, że zbezcześci świątynię. Albo nasz autor chce powiedzieć, że krew nie kała. Albo też próbuje zasugerować, że Maryja nie będzie miesiączkować.

Nie spodziewałam się takiego obrotu spraw. Ale skoro chcemy bezkrwawych narodzin, możemy mieć bezkrwawą ciążę i bezkrwawy okres dojrzewania. Wszystko jest możliwe. Ale co z późniejszym życiem Maryi? Czy apokryfy o nim opowiadają?

Pojawiają się historie o wniebowzięciu. Istnieje wspaniała historia zwana „Życiem Dziewicy”, która została rzekomo napisana przez wschodniego teologa z VII wieku Maksyma Wyznawcę. W tym tekście znajdują się historie z wczesnego życia Maryi, ale także z czasu ukrzyżowania i potem. Zainteresowanie późniejszym życiem Maryi jest charakterystyczne dla nowszych czasów. Niektóre współczesne powieści można czytać jak chrześcijańskie teksty apokryficzne, robią w końcu coś podobnego: próbują wypełnić luki, odpowiadając na nasze potrzeby i pytania. Dobry przykład to „Testament Marii”, którą napisał Colm Tóibín. W tej książce sędziwa Maryja mieszka w Efezie. To ona jest narratorką, zrządzającą, starzejącą się kobietą. Odwiedzają ją uczniowie, którzy chcą opowieści o Jezusie, a ona ma już dosyć.

A starożytnych nie interesowała starość Maryi?

Brakuje takich źródeł. Myślę, że pierwsi chrześcijanie byli zainteresowani tymi okresami jej życia, które wiązały się z Jezusem. To przez Jezusa była interesująca. Dopiero potem, wraz z rozwojem teologii i tradycji, budziła się dalsza ciekawość. Jeśli była wiecznie czysta, wiecznie bezgrzeszna, to w sposób naturalny pojawiły się pytania: czy umarła, co się stało z jej ciałem po śmierci? Wcześniejsze opowieści dały początek kolejnym.

© Rozmawiała ZUZANNA RADZIK

Islamem dobrze się straszy

KAROL WILCZYŃSKI

Podsycanie lęków przed „obcymi” może doprowadzić do dramatów – przestrzegają muzułmanie mieszkający w Polsce.

DOPIERO ÓSMA RANO, A JUŻ ZACZYNA doskwierać upał. Stoję przed hotelem Biała Gwiazda – to stary budynek znajdujący się za stadionem Wisły Kraków. Starsza kobieta w hidżabie, na wózku, zbiera datki. „Proszę o pomoc”, „zakat”, „please help” – czytam kartkę w trzech językach: polskim, arabskim i angielskim. Nic dziwnego, w hotelu właśnie zaczynają się uroczystości Eid al-Adha, Święta Ofiarowania, które polscy Tatarzy określają jako Kurban Bajram.

Jestem tu dzięki Ehabowi al-Otibiemu i Hudzie Awad, parze z Jordanii; oboje pracują w firmach informatycznych w Krakowie. Chcą mi pokazać, jak krakowscy muzułmanie upamiętniają miłosierdzie Boga, który zlitował się nad Ibrahimem i jego synem Izmaelem. Miliony wyznawców islamu w ten dzień pielgrzymują do Mekki (al-hadž) i przekazują *zakat*, datki na ubogich, wypełniając w ten sposób najważniejsze zobowiązania religijne.

Hala sportowa wewnątrz Białej Gwiazdy nie jest tym razem wypełniona zawodnikami i kibicami. Ponad tysiąc osób, głównie mężczyzn, rozkłada dywaniki do modlitwy i odprawia ablucję, rytualne obmycie. Organizująca to wydarzenie Liga Muzułmańska w RP zgromadziła jedną z najbardziej różnorodnych grup ludzi, jaką widziałem w Krakowie od czasu Światowych Dni Młodzieży w 2016 r. Widzę tradycyjne stroje somalijskie, nigeryjskie, senegalskie, eleganczyjskie Palestyńczyków i Saudyjczyków, wystrojonych w salwar kamiz Pakistań-

czyków i Indusów. Wśród modlących się jest też wiele osób z Azji Środkowej i Południowo-Wschodniej. Oprócz tego nieliczni biali, być może konwertyci.

Strach, szansa na głosy

W Polsce trwa tymczasem kampania wyborcza. Jej przedwakacyjna odsłona była dość nieoczekiwana – partia rządząca odeszła od tematu Jana Pawła II czy rosyjskich szpiegów, a zdecydowała się podnieść temat relokacji imigrantów, który wrócił na początku czerwca do europejskiej debaty publicznej. Kaczyński wykorzystał wywołującą niechęć kwestię („solidarność europejska nie może mieć formy szantażu: zapłaćcie albo przyjmijcie”), by budzić strach przed zagrożeniem, jakie mają stanowić imigranci z krajów z większością muzułmańską.

Paliwa do antyimigranckiej retoryki dołączy zamieszki w podparyskich dzielnicach, które wybuchły po zastrzeleniu przez funkcjonariusza policji 17-letniego Nahela Merzouka, Francuza pochodzenia algierskiego i marokańskiego. W polskiej debacie publicznej nie miało znaczenia, że ani Nahel, ani zdecydowana większość z setek aresztowanych w czasie zamieszek nie była imigrantami – to ich rodzice i dziadkowie pełni nadziei przybyli do Francji. – Ich potomkowie płacą dziś za budowę gett i nierozsądną, niesprawiedliwą politykę migracyjną Francji – mówi krakowski imam Adam Abdel Fattah.

Dla polskich polityków jest to jednak okazja do kontynuowania walki o głosy. „Nie zgadzamy się, aby państwo polskie ponosiło koszty społeczne i finansowe błędnych decyzji innego państwa członkowskiego Unii Europejskiej” – czytamy w przegłosowanym przez Sejm 16 czerwca projekcie uchwały, która wyraża sprzeciw wobec tzw. europejskiego paktu migracyjnego. Ma on wprowadzić mechanizm relokacji (który jednak nie będzie obowiązywał Polski ze względu na dużą liczbę przyjmowanych osób z Ukrainy). Politycy Zjednoczonej Prawicy wykorzystali temat, by związać kwestię migracji muzułmanów z zagrożeniem dla bezpieczeństwa i dobrobytu Polaków: „My chcemy pomagać, (...) ale nie chcemy, żeby ktoś nas zmuszał do zmiany naszego modelu życia, obniżenia naszego bezpieczeństwa i zmiany tego modelu gospodarczego, który skonstruowaliśmy i który nawet w trudnych czasach daje dobre wy-

niki” – stwierdził w wywiadzie dla Polsat News Jarosław Kaczyński.

Jakie będą konsekwencje kampanii wyborczej dla wyznawców islamu? – Czujemy się, jakbyśmy cofnęli się o pięć lat. Wtedy stosowano tę samą retorykę. Straszono ludzi i to odbijało się w sposób pośredni bądź bezpośredni na muzułmanach żyjących w Polsce. Czujemy więc zaniepokojenie wypowiedziami polskich polityków – komentuje Abdel Fattah. I nie ma na myśli wyłącznie wypowiedzi liderów prawej strony sceny politycznej.

Opozycja nie bez winy

Wiele osób ze społeczności muzułmańskiej z zaskoczeniem przyjęło wypowiedzi Donalda Tuska i polityków Koalicji Obywatelskiej na temat islamu. Dr Lubna al-Hamdani – pochodząca z Iraku lekarka pracująca w Warszawie – wprost przyznaje, że boli ją, gdy „pokazuje się ludzi takich jak ja czy mój syn jako zagrożenie cywilizacyjne dla Polski”.

– Niestety już raz przeżyłam nagonkę na uchodźców kilka lat temu i poczułam, jak społeczeństwo było nastawione negatywnie i niechętnie wobec muzułmanek. Wtedy byłam ofiarą agresji słownej. Dziś boję się o siebie i synka – mówi. – Dzieci pochodzenia arabskiego lub wyznające islam, w tym mój syn, często muszą słuchać o tym, że są czarne lub niewierzące. Że nie są Polakami. Do tego nie trzeba nagonki ze strony PiS czy PO. Co będzie teraz?

1 lipca 2023 r. Tusk zamieścił w mediach społecznościowych wideo, w którym skomentował dokument – jak mówi – „szykowany przez Kaczyńskiego”.



Odnosił się w ten sposób do projektu rozporządzenia Ministra Spraw Zagranicznych, który miał liberalizować przepisy wjazdowe dla obywateli 20 państw. Jak mówił Tusk: „Oglądamy wstrząśnięci sceny z brutalnych zamieszek we Francji. I właśnie teraz Kaczyński przygotowuje dokument, dzięki któremu do Polski przyjedzie jeszcze więcej obywateli z państw takich jak – cytuję – Arabia Saudyjska, Indie, Islamska Republika Iranu, Katar, Emiraty Arabskie, Nigeria czy Islamska Republika Pakistanu”.

Lider PO podkreślał „islamskość” niektórych państw, choć pomija już „demokratyczność” czy „monarchiczność” innych. „Kaczyński już w zeszłym roku ściągnął z takich państw ponad 130 tysięcy obywateli, 50 razy więcej niż w 2015 roku” – kontynuuje Tusk i przestrzega: „Te wizy będzie można dostać łatwo i szybko, będą je rozdzielać zewnętrzne firmy, bo tak dużo jest zamówień”.

W kolejnej wypowiedzi z 4 lipca Tusk ostrzegał, że rządzący „prawdziwą bombę dopiero nam szykują”: „Mam tu w ręku rozporządzenie przez nich przygotowane, zgodnie z którym w przyszłym roku chcą rozpatrzyć co najmniej 400 tysięcy wniosków wizowych, głównie w państwach Azji i Afryki, a jeśli damy im całą kadencję, to tych wniosków rozpatrzą grubo ponad milion. To będzie taki prawdziwy milion Kaczyńskiego!” – straszył lider opozycji.

Dla Ehaba al-Otibiego wypowiedzi Tuska i Kaczyńskiego są „śmieszne i absurdalne”. – Społeczność muzułmańska w Polsce jest bardzo mała. W najlepszym razie stanowimy 0,2 proc. społeczeństwa [ok. 80 tys. – PW]. Nawet gdyby nagle zrobiło nas się pięciokrotnie

więcej, to co z tego? Jakie zagrożenie stanowimy? Żadne!

– Czy Tusk i Platforma są faktycznie za różnorodnością? To hipokryzja, bo gdy ich interesy są zagrożone i zmieniają narrację, używają tych samych argumentów co PiS – mówi dr Al-Hamdani.

Co myśli przechodzień

Imam Fattah ocenia, że takie wypowiedzi są „nieodpowiedzialne”. – Politycy spływają temat migracji do religii, co może mieć opłakane skutki w przyszłości – mówi duchowny. – Co chwilę można spotkać się z wypowiedziami, że liczba muzułmanów w Polsce w ciągu ostatnich lat wzrosła o dziesiątki tysięcy osób. Nikt jednak nie zadał sobie pytania: czy to zauważyliśmy? A przecież może to znaczyć, że te osoby integrują się na tyle dobrze, że nawet ich na co dzień nie dostrzegamy.

Wielu spośród moich rozmówców pokazuje, że takie wypowiedzi nie służą integracji społecznej. Elmi Abdi, wiceprezes Fundacji dla Migrantów, działacz pochodzenia somalijskiego: – Denerwuje mnie, gdy po 27 latach w Polsce czuję strach. Boję się, co myśli człowiek, który spotka mnie przypadkiem na ulicy.

Co o mnie od was słyszy? Dlatego panowie z mediów oraz politycy: opamiętajcie się! Muzułmanie nie są wrogami Polski. A przez waszą nieprzemyślaną narrację doprowadzicie do nieszczęścia niewinnych ludzi, którzy chcą normalnie żyć w tym kraju.

– W arabskich mediach pokazywane są cytaty z Morawieckiego jako przykład tego, jak nietolerancyjna i zamknięta jest Polska – mówi dr Al-Hamdani.

– Przez ostatnie dwadzieścia lat nawet przyzwyczaiłam się do wypowiedzi polityków straszących imigrantami z krajów z większością muzułmańską. Bywają momenty, że coraz częściej sama ulegam temu strachowi – przyznaje Tatarka i nauczycielka z Białegostoku Dagmara Sulikiewicz. – Jednak szybko się reflektuję, bo przecież znam wiele rodzin, które musiały uciec ze swoich domów. Większość Polaków nie zna tych historii, zna tylko strach przed imigrantami – dodaje.

Z drugiej strony słyszę jednak głosy broniące Tuska. Dwie z moich rozmówczyń mówią, że Tusk ma rację, gdy mówi o tym, co się dzieje we Francji, i że one, jako muzułmanki noszące hidżab, nie czują się bezpiecznie pod Paryżem. – Zresztą na kogo mamy głosować? Kto zamiast Tuska, panie Karolu? – pytają retorycznie.

Zniechęcenie i obawy

Wielu muzułmanów odmawia komentarza – np. reprezentujących małą, ale aktywną społeczność szyicką czy Tatarów Krymskich, w tym uchodźców, przybyłych po 2014 r. Pytam prof. SGH Katarzynę Górak-Sosnowską, ekspertkę od islamu, dlaczego tak się dzieje.

– Mam trzy tropy. Po pierwsze, rzeczy, które my oceniamy jako nie w porządku, dla nich są niejako na porządku dziennym. Ile razy słyszałam, że „i tak jest źle, więc czego się spodziewać”, gdy wskazywałam na np. błędy w polskich szkolnych podręcznikach na temat islamu – mówi. – Po drugie, mogą naprawdę uważać, że nielegalna imigracja jest czymś, co należy powstrzymywać. I mogą obawiać się takich zamieszek jak pod Paryżem, zwłaszcza że wówczas znowu dostaliby za nie rykoszetem. Po trzecie →

Pogrzeb imigranta z Jemenu na cmentarzu muzułmańskim w Bohonikach. Mustafa Mohammed Murshed al-Raimi zmarł w lesie przy granicy polsko-białoruskiej. 21 listopada 2021 r.



JAKUB KAMINSKI / EAST NEWS

→ zaś, dla własnego zdrowia psychicznego nie interesują się wypowiedziami Tuska czy Kaczyńskiego, więc nie angażują się w ich komentowanie. Jak wielu z nas.

Znaczna część muzułmanów i muzułmanek rzeczywiście nie interesuje się polityką. – Nawet nie wiem, co powiedział Tusk – mówi znajomy muzułmanin, dość znany biznesmen.

Z drugiej strony widzą też problem. Konwertytka, chcąc zachować anonimowość, wprost mówi, że po wypowiedziach Tuska i Kaczyńskiego boi się wychodzić na ulicę. Wiele osób pamięta lata 2016-2018, gdy byli o wiele częściej atakowani i zaczepiani.

– Obawiamy się, że jeśli nieprzemyślane słowa polityków doprowadzą do prześladowania i dyskryminacji muzułmanów, my, jako przedstawiciele związków religijnych, staniemy się dla tych osób niewiarygodni. Myślenie „my obywatele i obywatelki Polski” zostanie zastąpione przez „my i oni”. A to prosta droga do tego, co dzieje się we Francji – ostrzega imam Fattah, który – jak podkreśla – angażuje się w walkę z izolowaniem się społeczności muzułmańskiej.

Przestroga na przyszłość

Co zatem można zrobić? – Wielu muzułmanów oddało życie za Polskę i wielu tutaj żyjących obecnie również by to zrobiło. Potrzebujemy jednak współpracy. Muzułmańska społeczność musi widzieć, że to, czego od lat uczą imamowie oraz wolontariusze i wolontariuszki, czyli szacunek dla bliźniego, miłość do kraju, w którym żyjemy, i integracja, działa również w drugą stronę – mówi krakowski imam.

Moi rozmówcy podkreślają potrzebę edukacji oraz wzajemnego słuchania się. Dr Al-Hamdani zastanawia się: – Dlaczego gdy mówimy np. o Iraku, nie pytamy Irakijczyków o powody, dla których setki tysięcy mieszkańców chce uciec z tego kraju?

Jak podkreśla Abdel Fattah, od polityków oczekiwałby, aby nie dzielili społeczeństwa. – Każdy powinien być równy wobec prawa. Chciałbym, żeby zły muzułmanin był traktowany jak każdy inny zły człowiek. A obecnie każdym przestępstwem popełnionym przez muzułmanina obarcza się cały islam. To niesprawiedliwe.

– Właściwie to chciałbym, żeby politycy jak najmniej zajmowali się religią – podsumowuje krakowski imam. – Wtedy takie spotkania będą nadal możliwe. Nikogo nie zdziwi spotkanie kibica z muzułmaninem.

© KAROL WILCZYŃSKI

Polski katolik spotyka Buddę

PIOTR SIKORA

Właśnie ukazały się u nas przekłady ważnych tekstów buddyzmu pierwotnego. To znakomita wiadomość – i dla kultury, i dla chrześcijaństwa.

SKĄDŻE TEN ŚMIECH I SKĄD RADOŚĆ, skoro cały świat płonie?”. Świat płonie, jednak „mądrzy, wysłuchawszy nauk Dhammy, stają się pogodni jak głębokie, czyste i spokojne jezioro”.

Doświadczenie, nie objawienie

Dwa powyższe wersy z „Dhammapady” – buddyjskiego zbioru mądrościowych sentencji – mogą wydać się sprzeczne. Z jednej strony przenikliwa obserwacja, że „świat płonie” – ciemnym, gryzącym ogniem bólu i cierpienia – a zatem, że ci, którzy wśród tych płomieni się śmieją, najczęściej rozpaczliwie próbują udawać, że ich nie pali, usiłują odpychać od siebie prawdę, snuć swoim nerwowym, nieco sztucznym śmiechem pajeczną iluzję. A z drugiej strony – jasna świadomość, że w tym samym świecie można wyzbyć się wszelkich złudzeń i być „pogodnym jak głębokie, czyste i spokojne jezioro”.

Jeśli komuś wyda się, że nie jest możliwe, by te dwie obserwacje były jednocześnie prawdziwe, Siddhattha Gotama, czyli Budda Sakjamuni – bo to on zobaczył to, co wyżej zostało zapisane – proponuje: przyjdź i przekonaj się sam, nie wierz mi na słowo, ale sprawdź. Owszem – sprawdzenie wymaga podjęcia ryzyka, zaangażowania w określoną praktykę. Można więc mówić o pewnym zaufaniu Nauczycielowi – bo w przypadku wielu jego wskazań nie będziemy zapewne od razu widzieć jasno ich powiązania z doświadczeniem i z innymi elementami systemu. Niemniej nie ma tu wiary w żadne objawienie. Cała doktryna i reguły życia opierają się na doświadczeniu, obserwacji, zrozumieniu me-

chanizmów rządzących wszechświatem i umysłem.

Na przykład podstawa buddyzmu – cztery szlachetne prawdy. Pierwsza to po prostu odkrycie, że życie boli, że bolesne są narodziny, starość i śmierć, a pomiędzy nimi – nieuniknione nieuzyskanie czegoś, czego się pragnie, i nieuchronna strata tego, co się ceni. Druga to obserwacja, że cierpienie pochodzi z pragnienia i lgnienia. Trzecia – wgląd, że wyzwoleniem jest „całkowita obojętność wobec pragnienia, zniszczenie go, porzucenie go i odepchnięcie, wyzwolenie [się od niego], odwrócenie się [od niego]”. I wreszcie czwarta, która mówi, że najpewniejsza ścieżka do wyzwolenia składa się z ośmiu powiązanych ze sobą elementów: 1) należytego poglądu (zrozumienia czterech szlachetnych prawd), 2) należytego postanowienia (podążania tą drogą), 3) należytej mowy, 4) należytego postępowania, 5) należytego sposobu zarabiania na życie, 6) należytego wysiłku, 7) należytej baczności, 8) należytego skupienia.

Zróżnicowana tradycja

Doświadczenie cierpienia (któremu podlegamy lub którego jesteśmy świadkami) prowadzi często do pytania: skąd zło? Niemożność znalezienia odpowiedzi bywa zaś powodem trudności w wierze takiej, jak chrześcijaństwo, a czasami nawet końcem religijnego zaangażowania. W przypadku buddyzmu jest inaczej: to doświadczenie stoi u początku zarówno całej tradycji, jak i osobistej drogi. Budda odmawiał jednak uczestnictwa w metafizycznych rozważaniach o przyczynie zła. Mówił:



ISHARA S. KODIKARA / AFP / EAST NEWS

Modlitwa buddyjska podczas święta pełni księżyca w świątyni Kelaniya. Sri Lanka, 1 sierpnia 2023 r.

lepiej skupić się na rozpoznaniu antropologicznych mechanizmów, które do cierpienia prowadzą, a rozpoznawszy je – skierować wysiłek ku wyzwoleniu się spod ich przemożnego wpływu.

No tak, nie wiadomo na pewno, czy to mówił sam historyczny Siddhattha Gotama, czy też przypisali mu te słowa (niektórzy) późniejsi uczniowie. Buddyzm bowiem to bardzo zróżnicowana tradycja. Jej historyczny założyciel żył (najprawdopodobniej) w VI wieku przed Chrystusem. Podobnie jak Jezus – sam nie zapisał ani słowa. Jego nauczanie było przekazywane ustnie, a najstarsze zapisy pochodzą z czasów kilkaset lat późniejszych.

I już wtedy, gdy zapisy te powstawały, nie było zgody pośród buddystów co do zakresu nauk Buddy. W tamtym czasie bowiem zaczynał się w tej tradycji podział na szkoły uznające tylko przekazy w języku palijskim (którym mówił sam Gotama) i tych, którzy przyjmowali dodatkowe nauki zapisane w sanskrycie. Ci ostatni nazwali swoją odnogę tradycji mahajaną – wielkim pojazdem (ku wyzwoleniu), określając tych pierwszych zwolennikami pojazdu mniejszego – hinajany.

Mahajana dość szybko rozprzestrzeniła się z Indii na północ – do Chin, Tybetu, później Mongolii, Japonii. Współcześnie w Europie i Ameryce (także w Polsce) najwięcej buddystów pochodzi właśnie

ze szkół mahajany – z buddyzmu tybetańskiego, albo zen/chan (zen to nazwa japońska, chan – chińska). Szkoły związane do węższego zbioru pism, tzw. kanonu palijskiego, rozwijały się głównie w Indiach, a potem (gdy w Indiach buddyzm został wyparty przez tradycje hinduistyczne) – na Sri Lance, w Tajlandii, Birmie, Laosie. Z wielu szkół tej odnogi została do dziś właściwie jedna: „tradycja starszych”, *therawada*.

Mamy jednak szczęście, bo w ostatnim czasie ukazały się po polsku w przekładzie znakomitego tłumacza Ireneusza Kani dwie księgi należące właśnie do kanonu palijskiego: „Suttanipata” oraz „Dhammapada”. Kanon palijski (Tipitaka), choć węższy niż święte pisma mahajany, i tak jest zbiorem kilka razy obszerniejszym od Biblii. Składa się z trzech „koszy”: w pierwszym znajdują się pisma dotyczące reguł życia buddyjskich mnichów („Vinaja pitaka”). Drugi „kosz” – to „kosz sut” („Sutta pitaka”). W trzecim („Abhidhamma pitaka”) umieszczono bardziej spekulatywne rozważania. Dzieła przetłumaczone przez Kanię pochodzą z „kosza” drugiego. „Suttanipata” jest, wedle badaczy, jednym z najstarszych zapisanych zbiorów z wszystkich trzech koszy. „Dhammapada” zaś to chyba zbiór najpopularniejszy, czytany nie tylko przez uczonych mnichów, ale

i szerokie kręgi wyznawców, a raczej praktyków buddyzmu therawady (praktyków – jak już bowiem pisałem, buddyzm wymaga raczej praktyki niż wiary).

Radykalny środek

Buddyzm nazywany jest „drogą środkową” – wytyczoną przez Buddę pomiędzy skrajnościami: z jednej strony radykalnej ascezy, a z drugiej – życia uwikłanego w próbę zdobycia i zatrzymania nietrwałych dóbr przemijającego świata. Czytając jednak najstarsze teksty buddyjskie opisujące zalecane życie adeptów tej drogi, możemy odebrać wskazywany ideał jako tak radykalny, że niemożliwy do zrealizowania. Pierwotny buddyzm był praktyką przeznaczoną zasadniczo dla wędrownych mnichów (*bhikkhu*), którzy „wychodzili w bezdomność”, posiadając tylko jedną szatę i żebrazą miskę. Wędrowali od miejscowości do miejscowości, bez dachu nad głową, żebząc o codzienny posiłek. Jak opisuje idealnego mnicha „Suttanipata”: „Stargawszy wszelkie związki i więzi, / Tak jak ryba rozpruwa oka sieci, / I gasnąc tak, jak płomień wypalany gaśnie, / Niech żyje samotnie jak nosorożec”.

Wedle przekazu zawartego w „Suttanipacie” Sakjamuni twierdził, że „człęk żonaty nie potrafi w pełni Dhammy właściwej mnichom uskutecznić”. Świecki →

→ „słuchacz” Dhammy powinien powstrzymać się od zabijania i wszelkiej przemocy wobec wszystkich czujących istot, kłamstwa i nieuczciwości, zatruwania umysłu używkami, być wiernym mężem/żoną, prowadzić życie w miarę proste, nie dać się porwać dążeniom do znaczenia, bogactwa i zmysłowych przyjemności – wówczas odrodzi się w lepszym świecie; lecz Nibbany nie osiągnie.

Ideal życia prowadzącego do Nibbany to życie wędrownego mnicha. Pogląd ów nie wynika jednak z negatywnych moralnych ocen normalnego życia w świecie. Opiera się na rozpoznaniu, skąd może się rodzić cierpienie – czego obrazowe wyjaśnienie znajdujemy w innym fragmencie „Suttanipaty”, w dialogu pomiędzy Pasterzem Dhaniją a Błogosławionym (czyli samym Buddą).

Pasterz wyznaje satysfakcję z prostego, dobrego życia rodzinnego. Opisuje jego zewnętrzną postać: „Krowy już wydojone, ryż ugotowany, / na brzegu Mahi mieszkam sobie z towarzyszami, / W chacie o szczelnym dachu, opatrzonej w paliwo – / Więc zsyłaj deszcz, jeśli pragniesz, dewol”. Budda odpowiada na to: „Wyzbytym gniewu i mentalnych zawałów, / Na brzegu Mahi przez jedną noc mieszkam, / W chacie odkrytej, z ogniem wygaszonym – / Więc zsyłaj deszcz, jeśli pragniesz, dewol”. Gdy Dhanija mówi o swojej najważniejszej relacji: „Moja pasterka – bez skazy, wierna niezachwianie, / Długo jesteśmy razem i z sobą nam miło, / Nic złego nigdy o niej nie słyszałem – / Więc zsyłaj deszcz, jeśli pragniesz, dewol”, Budda odpowiada: „Umysł mój jest bez skazy, w pełni wyzwolony, / Od dawna uszlachetniany i ujęty w karby, / I nikt we mnie złego nic nie znajdzie – / Więc zsyłaj deszcz, jeśli pragniesz, dewol”.

„Zsyłaj desze, jeśli pragniesz, dewol!” – znaczy: jestem gotów na to, co przyniesie los. Pasterz tę gotowość umieszcza w odpowiedniej organizacji zewnętrznego życia. Budda jest przekonany, że żadna organizacja życia zewnętrznego nie uchroni człowieka przed zawirowaniami losu – dlatego przygotowuje się na nie wewnętrznie, wyzbywając się gniewu, oczyszczając umysł i wygaszając pragnienia. Dhanija lokuje swoje szczęście w relacji z wierną mu pasterką, ufając, że miłość ta przetrwa wszelkie przeciwności. Budda jest świadomy, że każda miłość los może przerwać, choćby przez śmierć jednego z partnerów,

Pustka jest rewersem pełni.

Pozostając uczniem Jezusa,
można się wiele nauczyć
próbując praktykować
nauczanie Buddy.

dlatego swoje szczęście umieszcza w czystości umysłu wolnego od przywiązań.

Jedność przeciwieństw

Wielu mędrców ludzkości – np. stoicy – przyznałoby rację Buddzie. W wielu też religijnych tradycjach ludzkości w podobny sposób dostrzega się kłopotliwość życia rodzinnego w dążeniu do najwyższego Celu (wystarczy wspomnieć Pawła z Tarsu, który uzasadniał wyższość bezżeństwa tym, iż mąż i żona troszczą się o współmałżonków, bezżenny zaś i dziewica – o „sprawy Pana”; 1 Kor 7, 32-34). Niemniej Sakjamuniemu (a myślę, że i Pawłowi) nie trzeba wierzyć na słowo. Wszak wedle Buddy tym, co się w istocie liczy, jest stan umysłu/ducha. Jak czytamy w „Dhammapadzie”: „Duch jest pierwotny wobec rzeczy, on je wypełnia, nimi włada; jeśli kto z duchem uładowanym cokolwiek mówi albo czyni, za tym w ślad zawsze błogość idzie, nie odstępując go jak cień”. To „przez baczność [brak omroczenia umysłu – PS] droga wiedzie do nieśmiertelności, przez niebaczność – do śmierci. Baczni nie umierają, niebaczni są jakoby już umarli”. To ci, co „nie ustając w wysiłku, głęboko skoncentrowani, Nibbanę urzeczywistniają – najwyższą wolność, pokój”. Owszem, to, co dzieje się w świecie, może przypominać wzburzone morze. Ale sam Budda mówi: „Wysiłkiem, skupieniem, samodyscypliną człek rozumny niech wyspę tworzy, której nie zatopią fale”.

Może więc rację miał Mistrz Eckhart, zauważając, że nie sposób życia się liczyć, bo w każdym możliwe jest osiągnięcie całkowitej bezinteresowności. Bezinteresowności i „uwolnienia”, które pozwala powtórzyć słowa Gotamy wypowiedziane, gdy stał się Przebudzonym: „Nie jestem nigdzie, niczyją własnością, w niczym też nigdzie nie ma niczego mojego”.

Ktoś mógłby powiedzieć: namawiasz do poznawania nauk Buddy, chwalisz ich mądrość i jednocześnie krytyku-

jesz ich ważny element? Tak, czytam je i sprawdzam – do czego zachęcał sam Sakjamuni. On zapewne wątpiłby, czy uda mi się sztuka życia jednocześnie jak pasterz Dhanija i ten, kto realizuje istotę Dhammy. Ja jednak myślę, że można przeczytać ów dialog pomiędzy Dhaniją a Buddą nie jako polemikę, lecz dwa uzupełniające się głosy.

Podobnie jak głos Buddy uzupełnia się w moim życiu z głosem Jezusa. Między innymi tym zdaniem, zapisanym w apokryficznej Ewangelii Tomasza: „Mówi Jezus: »Ja jestem światłem, które jest ponad wszystkim. Ja jestem wszystkim. Wszystko wyszło ze mnie i wszystko do mnie wróciło. Rozłupcie drzewo – ja tam jestem. Podnieście kamień – znajdziecie mnie tam«”. Tak więc zarazem: nie jestem nigdzie i jestem wszędzie; niczyją własnością i należący do wszystkich; nigdzie nie ma niczego mojego i moje jest wszystko.

Idąc jednak ścieżką Gotamy i Dhaniji, doświadczam prawdziwości słów zapisanych w „Dhammapadzie”, iż „chwiejny jest umysł i niesforny, trudno go strzec i powściągać”. Dlatego potrzebuję zarówno tego, co dostaję w chrześcijańskiej Wspólnocie, jak i buddyjskiej mądrości ujawniającej mechanizmy działania chwiejnego i niesfornego umysłu.

Czasami te dwie tradycje współbrzmiają tak, jakby były jedną. Czasami na poziomie racjonalnym nie da się pogodzić tego, co mówią. Czuję się wówczas jak fizyk stojący przed zagadką światła, które w pewnych okolicznościach pokazuje się jako strumień oddzielnych cząstek, a w innych – jako ciągła fala. Jedno jest prawdą i drugie jest prawdą, choć nie da się tych doświadczeń ująć w spójnym opisie. Jest tak ze światłem i jest tak ze Światłem.

© PIOTR SIKORA



Cytaty buddyjskie w przekładzie Ireneusza Kani z wydań: **SUTTANIPATA. ZBIÓR NAUK BUDDYZMU PIERWOTNEGO**, Warszawa 2023; **DHAMMAPADA, CZYLI STROFY O DHAMMIE**, Warszawa 2023; **MUTTAVALI. KSIĘGA WYPISÓW STAROBUDDYJSKICH**, Kraków 1999.

ZUZANNA

Radzik: Bezradność pamięci



PIERWSZY RZĄD MIEJSC W SALI KINOWEJ NIE powinien istnieć. Zwłaszcza te miejsca po skrajnie lewej stronie. Po prawej zresztą też. Zapomniałam, jak tu niewygodnie – bo kiedy ostatnio byłam w tak zatłoczonym kinie? Więc gdy Robert Oppenheimer wiel-

kimi oczami Cillianą Murphy'ego widział, jak działają atomy lub umierają gwiazdy, wirujące cząsteczki wlały w moje oczy. Musiałam je zamknąć. O tym, że próba bomby atomowej w tym filmie jest wybitnym efektem specjalnym, dowiedziałam się dopiero z gazet.

Przysmykałam powieki w moim pierwszym rzędzie, może też dlatego, że dopiero co słuchałam wspomnień japońskich świadków i poszkodowanych w wybuchu bomby atomowej. Pamiętam dobrze kobietę, która wspominała precyzyjny blask o trudnym do opisanie kolorze. Najpiękniejsze, co w życiu widziałam. A chwilę później ewakuowała się ze swojego zakładu pracy w spalonym ubraniu. I tak miała dużo szczęścia. Wielu nie miało pojęcia, co ich zabija. Czemu czują niepojęte pragnienie, ani że deszcz, który piją, jest radioaktywny. Nie wiedzieli, że choć przeżyli sam wybuch, został im tydzień, dwa lub parę miesięcy życia. Zdrutgotani utratą bliskich, widokiem spielonych ciał swoich dzieci, nie spodziewali się, ile jeszcze cierpią. Albo że przed nimi lata bezradności, błagania o pomoc w szpitalach z popromiennymi schorzeniami uznanymi za zbyt błahe lub zmyślone.

Patrzyłam na zalaną monsunowym deszczem Hiroszimę, odbudowaną byle była. Tak sobie. Z głęboką raną, ale przeżywaną w sumie cicho. Tu, gdzie była kiedyś dzielnica, jest park i modernistyczny pawilon z muzeum. Fontanna pokoju, ruiny hali wystawowej koło punktu zero, na który spadła bomba. Park pamięci, przestroga dla potomnych. Tylko czy da się za pomocą parku przestrzec przed bombą zabijającą od razu kilkadziesiąt tysięcy ludzi, tak że z niektórych zostaje tylko cień na kamieniu, na którym siedzieli? Jest jakaś bez-

radność w tych upamiętnieniach. Umówiliśmy się, że wypada je mieć. Więc są, na skraweczku zmieczonego przez bombę miasta, które przyjeżdża się zwiedzić głównie po to. Zamieniają się w landmarki, jak powielany na okleinie automatów z napojami szkielet hali wystawowej. Jak opowiedzieć siłę bomby i czy starczą te zmiećte siłą wybuchu metalowe przesła, stopione monety, wypalony w skórze deseń tkaniny kimona? Czy to nas wystarczająco przeraża? Zwłaszcza gdy to nie jest pierwsze miejsce upamiętniające śmierć setek tysięcy czy miliona, które widzisz.

Jeszcze więcej myślę o tym w Nagasaki. Tym drugim mieście, nieco w cieniu pierwszego. Jak już się uprawia tanatourystykę na poważnie, to trzeba pojechać i porównać tamtejsze muzeum i miejsce pamięci z tym pierwszym. Nagasaki jest trochę bezradne w swoim pamiętaniu. Muzeum dość nowe, bo późno zbudowane. W końcu to jest to drugie miasto, a wysiłku upamiętniania ledwo starczyło na pierwsze. Owszem, w latach pięćdziesiątych zbudowano park pamięci z ruinami więzienia, na które spadła bomba. Na placu niebieska rzeźba bóstwa, połączenia Buddy i boga. Modlącego się z wielką determinacją o pokój. Któż odejdzie stąd nie zanosząc modlitwy za pokój – pyta autor dzieła z 1955 roku, Seibo Kitamura. Ale wcale nie jestem pewna, czy ta aranżacja przestrzeni skłania do modlitwy. Wokół w parku inne rzeźby podarowane przez bratnie narody. Socrealistyczne kobiety z dziećmi, zarówno od ZSRR, jak i Czechosłowacji, mogłyby równie dobrze stać w parku zdrojowym. Znowu bezradność. Przemijanie form, starzenie się upamiętnień. Jak nie przejść obok tak ważnego miejsca, wzruszając ramionami tylko dlatego, że ma słaby design.

Upamiętnianie to sztuka i dziedzina wiedzy, wyspecjalizowaliśmy się w tym, bo zadanie zdaje się nie mieć końca. A teraz sezon na wspomnianie: wielka akcja wywózki Żydów do Treblinki, powstanie warszawskie, powstanie w Treblince, jedna bomba atomowa, druga... Nie zabraknie nam niestety miejsc starych, bo te sprzed kilkudziesięciu lat niekoniecznie są już oznaczone. A pewnie przybędzie nowych.

Ostatecznie bezradność, którą czuję, nie dotyczy samej przestrzeni czy słabości upamiętnień, tylko tego, co stojąc tam, myślę o świecie. Tego, co przypomina mi się, gdy mrużę oczy w kinie. Kilkaset tysięcy ofiar cywilnych wymaga zbudowania choćby parku i muzeum, ale kilkadziesiąt lat później wcale nie oczywiste jest, że płynię z tych miejsc jakiś skuteczny morał. Nie ma złudzeń, że desperacka modlitwa o pokój na świecie została wysłuchana. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

89 km na 89. urodziny. Z każdą chwilą bliżej celu

Ponad 27 tys. km pokonali uczestnicy zawodów „89 km na 89. urodziny ks. Adama Bonieckiego”.

W tegorocznej edycji wzięło udział 101 Czytelniczek i Czytelników „Tygodnika Powszechnego”, którzy w ciągu miesiąca mieli przebiec, przejść lub przejechać minimum 89 km. Zwycięzcami okazali się:

BIEG: 1. Paweł Szulwach (654,28 km); 2. Maria Ponikiewicz (650,31 km); 3. Adam Polko (455,55 km)

CHÓD SPORTOWY: 1. Danuta Żelazna-Krupa (759,40 km); 2. Grzegorz Krupa (755,47 km); 3. Izabela Skorstad (633,73 km).

KOLARSTWO: 1. Piotr Grzymowicz (2219,74 km); 2. Jan Wesołowski (2039,37 km); 3. Andrzej Stańczyk (1069,46 km).

Zwycięzcom gratulujemy, a wszystkim uczestnikom dziękujemy za wspólną zabawę, której mottem stały się przytoczone w tytule słowa solenizanta. **Więcej na: powszech.net/89**



JACEK DENEKA / Z ARCHIWUM OLGII KURAS

AFRYKA: CORAZ WIĘCEJ SŁABEJ ROSJI

Wojsko przejęło władzę w Nigrze.
Putin wspiera pucze,
bo śniąc o odbudowie
dawnych wpływów w Afryce,
niewiele więcej ma jej do zaoferowania.

WOJCIECH JAGIELSKI



PREZYDENT MOHAMMED BAZOUM ZNIK-
nął w środę, 26 lipca, o świcie. Sto-
leczny Niamej budził się do życia, gdy
żołnierze z jego gwardii zamknęli bra-
my pałacu prezydenckiego. Nikogo nie
wpuszczali do środka ani nie wypusz-
czali na zewnątrz.

Wyjątek zrobili dla swojego dowódcy –
generała Abdourahmane’a Omara Tchiani-
niego – który mógł wejść.

Dług i jego spłata

Bazoum i Tchiani znali się od lat. Obaj
służyli poprzedniemu prezydentowi Ma-
hamadou Issoufowi – pierwszy jako mi-
nister dyplomacji i policji, drugi jako szef
gwardii przybocznej. W 2021 r. Issoufou
złożył władzę, na swojego następcę nama-
ścił Bazouma. Wcześniej jedynym sposo-
bem wymiany rządzących ekip w Nigrze,
dawnej francuskiej kolonii, były woj-
skowe przewroty.

Ustępujący władca przykazał Bazou-
mowi, by zatrzymał Tchianiego
jako dowódcę swojej gwar-
dii prezydenckiej. Jako
pierwszy Arab na stano-
wisku prezydenta Nigru

nie mógł liczyć na poparcie Hausańczy-
ków i ich przyrodnych braci, Fulanich,
stanowiących ponad połowę 25-miliono-
wej ludności kraju. Wywodzący się z Fu-
lanich Tchiani miał przekonać rodaków
do prezydenta Araba.

Bazoum posłuchał – i dobrze zrobił.
Pierwszą próbę puczu niezadowoleni
z jego awansu wojskowi podjęli jeszcze
przed zaprzysiężeniem go na prezydenta.
Drugą – w 2022 r., gdy wybrał się w po-
dróż do Turcji. Tchiani udaremnił oba pu-
cze. Uważał więc prezydenta za swojego
dłużnika i spodziewał się, że podzieli się
z nim władzą. Widząc to, prezydent po-
stanowił go zwolnić.

Kiedy w pałacowych korytarzach za-
częto szeptać, że Tchiani rychło straci sta-
nowisko, generał postanowił się z prezy-
dentem rozmówić. Prezydent odmówił
ustępstw, więc generał kazał go uwięzić
w pałacu i ogłosił, że odtąd to on, Tchiani,
będzie rządzić Nigrem.

Czas zamachowców

Pucz w Nigrze jest już dziewiątym zbroj-
nym przewrotem, do jakich w ciągu
ostatnich czterech lat doszło w Sahelu,
rozległej i ubogiej krainie, rozciągającej
się na południe od Sahary, od wybrzeży
Morza Czerwonego na wschodzie po
Atlantyk na zachodzie. Wcześniej prze-
wroty miały miejsce w Sudanie, Cza-
dzie, Mali, Burkina Faso i Gwinei. W Su-
danie, Mali i Burkina Faso zamachów
dokonano dwukrotnie. Po puczu w Ni-
grze demokratycznie wybrane władze
mają już tylko Senegal, gdzie wojsko
nigdy nie sięgało po władzę, oraz Mau-
retania, jeszcze do niedawna rządzona
wyłącznie przez tyranów w mundurach.

Wszędzie powodem przewrotów były
bieda, wojny i fatalni rządzący. W Mali
i Burkina Faso, a teraz także w Nigrze,
władzom zarzucano też, że nie radziły
sobie z powstaniem dżihadystów. W po-
równaniu z Mali i Burkina Faso, gdzie
tylko w minionym roku zginęło po-
nad 10 tys. osób, Niger radził sobie jed-
nak z rebelią całkiem nieźle. Zwłaszcza
że walczył na dwa fronty z dwiema róż-
nymi, choć sprzymierzonymi armiami
dżihadystów – z jedną na zachodzie,
na pograniczu z Mali i Burkina Faso,
a z drugą na wschodzie, na brzegach je-
ziora Czad.

Gdy po „arabskiej wiosnie” w Sahelu,
zalanym bronią z libijskich arsenałów
Muammara Kadhafiego, wybuchło po-
wstanie dżihadystów, ciężar walki z nimi
wzięła na siebie Francja, dawna metropo-
lia kolonialna prawie całego Sahelu. Nie
udało się jednak ich pokonać – 5 tys. jej
żołnierzy polowało na dżihadystów na
obszarze pięciokrotnie większym od
Afganistanu. W rezultacie to ją mieszk-
kańcy Sahelu obarczyli winą za wojnę.
A także za swoich fatalnych przywódców,
których Francja wspierała. W Mali
i Burkina Faso nowi władcy w mundu-
rach kazali się Francuzom wynosić, a na
ich miejsce zaprosili rosyjskich najemni-
ków Wagnera.

Ostatni przyjaciel Zachodu

Po awanturach z Mali i Burkina Faso, Ni-
ger był ostatnim sojusznikiem Zachodu
w wojnie z dżihadystami na Sahelu. Z Za-
chodem trzyma także Czad, ale rządzony

*Radość z zamachu stanu na ulicy w Niamej,
stolicy Nigru, 27 lipca 2023 r.*



SAM WEDNICK / AP / EAST NEWS

→ od lat przez wojskowych dyktatorów jest sprzymierzeńcem nieco kłopotliwym.

W Nigrze zaś, rządzonym przez prezydentów wybieranych według zachodnich obyczajów, Francuzi utrzymywali bazy wojskowe z samolotami, śmigłowcami i dronami i około półtora tysiąca żołnierzy. To tutaj przenieśli swoje wojska, wyproszone z Mali i Burkina Faso. Bazę i prawie tysiąc żołnierzy mają też w Nigrze Amerykanie, których drony startują z Agadezu do patroli i powietrznych rajdów na całym Sahelu. Amerykanie szkolą też armię Nigru, regularnie przeprowadzają tu wspólne ćwiczenia wojskowe. Unia Europejska płaci, by wojsko Nigru zatrzymywało tutaj afrykańskich imigrantów podróżujących do Europy.

Puczyści z Niamej zapewniają, że dostrzymają zaciągniętych przez Niger umów. Mogą jednak zmienić zdanie, gdy Zachód wstrzyma dotychczasową pomoc i zacznie żądać, by generałowie zwrócili władzę cywilom. Od takich właśnie żądań zaczęły się konflikty Zachodu z juntami w Mali i Burkina Faso.

Na wiecach poparcia dla zamachowców w Niamej widać rosyjskie flagi. Rozbrzmiewają okrzyki „Francuzi wynocha!” i „Niech żyje Rosja!”. A Jewgienij Prigożyn, szef najemniczej Grupy Wagnera, wieszając zamachowcom z Nigru „wyzwolenia się spod neokolonialnego ucisku”, obiecał, że jak tylko wygnają precz Francuzów i Amerykanów, w każdej chwili gotów jest im podesłać swoich żołnierzy do pomocy.

Czarny scenariusz

Gdyby Kremlowi udało się skłócić Niger z Zachodem, Rosja stałaby się gospodynią Sahelu. Pozostałoby jej tylko doprowadzić do zmiany władzy w Czadzie – jego wojskowego dyktatora Mahamata Deby’ego, życzliwego Zachodowi, zastąpić własnym faworytem.

Najemnicy z Grupy Wagnera szkolą już czadyjskich rebeliantów za południową miedzą, w Republice Środkowoafrykańskiej, dawno przekształconej w rosyjski protektorat, a także za miedzą północną – w libijskiej Cyrenajce, gdzie pomagają miejscowemu watażce Chalifie Haftarowi. Są też w pograżonym w wojnie domowej Sudanie, gdzie o władzę walczy darfurski watażka Mohammed Hamdan Dagaló „Hemedti”, który od lat pozostaje w przymierzu

z wagnerowcami i sprzedaje im złoto z darfurskich kopalni (ci w zamian dostarczają mu broń z Cyrenajki i Republiki Środkowoafrykańskiej).

Pucz w Nigrze zbiegł się w czasie z konferencją Rosja–Afryka. Rosyjscy dyplomaci zapowiadali, że w lipcu do Petersburga przyjadą przedstawiciele aż 49 państw kontynentu. Szczyt miał dowieść światu, a przede wszystkim rodakom Putina, że mimo sankcji i ostracyzmu, jakimi Zachód obłożył Rosję za najazd na Ukrainę, wcale nie znalazła się w izolacji. Wprost przeciwnie – ma w świecie coraz więcej przyjaciół i stronników, którzy widzą w niej przewodniczkę w globalnej konfrontacji z Waszyngtonem, Paryżem i Brukselą.

Goście nad Nową

Ale petersburska konferencja rozczarowała zarówno gospodarzy, jak i gości. Przyjechało na nią tylko 17 afrykańskich przywódców, a pozostałe kraje przysłały niższych rangą dygnitarzy. Gospodarze przekonywali, że niskiej frekwencji winny jest Zachód, który zaszantażował Afrykę.

Putin podjął gości po królewsku. Przemawiając cytował Nelsona Mandelę, Patrice’a Lumumbę i Gamalę Abdela Nassera. Przywoływał pomoc, jakiej Związek Sowiecki udzielał Afryce wyzwolającej się z kolonialnej podległości. Poparł afrykańskie żądania odszkodowań za niewolnictwo i kolonializm i obiecywał pomoc przy staraniach o miejsce w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Mówił o nowym, światowym porządku, w którym nikt nikomu nie będzie niczego narzucał, nie będzie sankcji ani ostracyzmu, a każdy będzie mógł wybierać własną drogę. A prawosławni dostojnicy przypominali gościom, że Rosja, tak jak Afryka, wierzy w tradycję, brzydzi się homoseksualizmem, a Zachód uważa za współczesną Sodomę i Gomorę.

Afrykańscy dyplomaci kiwali głowami, ale odpowiadali, że przyjechali raczej wysłuchać, co Putin ma do powiedzenia o wojnie w Ukrainie i drożynach, będącej jej skutkiem. Tuż przed petersburską naradą Rosja zerwała zeszłoroczną ugodę czarnomorską, dzięki której Ukraina mogła sprzedawać zboże w świat. Putin zapewniał, że Rosja zastąpi ukraińskie zboże własnym (kiedy goście wyjechali z Petersburga, przyznał jednak, że wyso-

kie ceny żywności są mu na rękę, bo zapewniają większy zarobek), a sześciu najuboższym krajom w Afryce dostarczy 300 tys. ton zboża za darmo [więcej nt. sporu o zboże w tekście Tadeusza Iwańskiego również w dziale Świat – red.].

„To nie wystarczy – odparł na to w imieniu Afryki prezydent Komorów Azali Assoumani. – To, czego potrzebuujemy, to przerwać tę wojnę!”. „Ta wojna musi się skończyć, a wraz z nią zakłócenia w dostawach paliw i zboża – wtórował mu Moussa Faki Mahamat, przewodniczący Komisji Unii Afrykańskiej. – Afryka nie da się już wciągnąć w konflikt między Wschodem i Zachodem”.

Przerwanie wojny domagał się też Abdel Fatah as-Sisi, prezydent Egiptu, największego na świecie importera zbóż, których ponad trzy czwarte sprowadza z Rosji i Ukrainy. A także prezydent Republiki Południowej Afryki Cyril Ramaphosa, który w czerwcu, wraz z prezydentami Komorów, Senegalu i Zambii oraz premierem Egiptu, wybrał się do Kijowa i Petersburga godzić Rosję i Ukrainę. Zarówno Rosjanie, jak Ukraińcy zignorowali tamtą misję. Zdaniem dziennikarzy z Johannesburga, afrykańscy przywódcy mają za złe zwłaszcza Putinowi, jak ich potraktował – w Petersburgu nawet nie chciał wysłuchać, co mają do powiedzenia, a kiedy byli w Kijowie, rosyjskie samoloty zbombardowały miasto.

Imperialny sen Putina

Rozsiadłszy się wygodnie na początku wieku na kremlowskim tronie, Putin nie krył, że marzy mu się przywrócenie Rosji dawnej potęgi. Nie tylko w Europie.

Podczas zimnej wojny Związek Sowiecki był w Afryce potęgą i jak równy z równym rywalizował o wpływy z dawnymi mocarstwami kolonialnymi, Francją i Wielką Brytanią, a także Stanami Zjednoczonymi, przywódcą Zachodu. W latach 80. dominował w połowie kontynentu. Utrzymywał przyjazne mu rządy, a tam, gdzie rządili nieprzyjaciele, wspierał zbrojne rebelie. Przyjaciołom pomagał budować struktury młodych państw, handlował z nimi, pożyczał, szkolił. Był alternatywą dla Zachodu, któremu Afryka nie zapomniała kolonializmu i niewolnictwa.

Dzisiejszej Rosji daleko do tamtej potęgi. Po rozpadzie Związku Sowieckiego

jedynie rosyjscy oligarchowie pomnażali majątki, kupując pola naftowe i kopalnie od Gwinei po Angolę. Upodobali sobie zwłaszcza RPA, która z jej liberalnym prawem i lasymi na łapówki politykami stała się dla nich, bogaczy, azylem bezpiecznym, wygodnym i perspektywicznym jak w Europie Londyn.

Jednak Rosja przegrywa w Afryce z kretelem z USA i Europą, ale też z Chinami. Ustępuje nawet Indiom, Turcji i państwom znad Zatoki Perskiej. Tak naprawdę niewiele ma Afryce do zaoferowania.

Podobnie jak afrykańska, gospodarka Rosji jest oparta na surowcach. Gdzie jej tam do nowoczesności Zachodu, Chin, Japonii czy Indii! Nie inwestuje w Afryce, niczego nie buduje, nie pożyczka jej pieniędzy, nie łoży na pomoc. Jej inwestycje i dobroczynność w Afryce nie są nawet setną częścią tego, co inwestuje i ofiarowuje co roku kontynentowi sama Wielka Brytania. Rosja nawet z Afryką nie handluje – jej obroty handlowe z kontynentem są dwudziestokrotnie mniejsze niż Unii Europejskiej czy Chin. Podczas poprzedniego szczytu Rosja–Afryka Putin obiecywał, że Rosja podwoi swój handel. Cztery lata minęły – i nic się nie zmieniło.

Tak naprawdę Rosja ma Afryce do zaproponowania zboże, nawozy i broń (czwarta część wszystkich arsenałów w Afryce pochodzi z Rosji). A od niedawna – także najemnych żołnierzy.

Metoda „na Wagnera”

Nie mogąc rywalizować z Zachodem, Rosja wkracza w Afryce wszędzie tam – i wyłącznie tam – gdzie Zachód być nie chce lub nie może (bo zachodnie prawo zabrania rządowi współpracy z reżimami łamiącymi prawa człowieka). Albo skąd sam jest wypraszany.

Po wygranej zimnej wojnie Zachód wziął na siebie rolę nauczyciela demokracji w państwach, gdzie wcześniej panowały satrapie. Nie wszędzie się to udało. W wielu krajach – zwłaszcza najbardziej ubogich i doświadczanych wojnami – demokratyczny eksperyment zakończył się klęską. Demokracja nie przyniosła ani pokoju, ani porządku, ani dostatku, a wybierani na przywódców niegdysiejsi bohaterowie walki o sprawiedliwość nierzadko sami przepoczwarzali się w tyranów.



Rosja wkracza w Afryce wyłącznie tam, gdzie Zachód być nie chce lub nie może –
na przykład ze względu na łamanie praw człowieka.

Pod ich rządami wyrosło nowe pokolenie (statystyczny Afrykanin jest trzydziestolatkiem), które rozczarowane demokracją i nie pamiętając starych tyranii, zamarzyło o nowych, oświeconych sprawiedliwych jedynowładcach, poskramiających biedę i beznadzieję.

Wojskowe przewroty, plaga Afryki z czasów zimnej wojny, które na przełomie wieków wyszły z mody, znów zdarzają się częściej. Zachód karze samozwańców ostracyzmem. Wtedy wkracza Rosja, oferując im pomocną dłoń, a do Afryki posyła swoją awangardę, najemników Grupy Wagnera.

Tę najemniczą korporację Rosja stworzyła po pierwszym najeździe na Ukrainę, kiedy Zachód obłożył ją sankcjami. Szykując się do ponownej inwazji Kreml postanowił zebrać środki na wojnę, która miała odmienić cały porządek międzynarodowy. Wzorując się na południowoafrykańskiej firmie najemniczej Executive Outcomes, założonej przez byłych oficerów apartheidowskiego wojska, policji i bezpieczeństwa (jej szef, Eeben Barlow, przyjeżdżał do Petersburga na instruktaże), wagnerowcy oferowali puczystom i dyktatorom, że będą ich strzec jako straż

przyboczna, przeszkolą ich wojska, pomogą zwalczać podnoszone przeciwko nim bunty. Poza zapłatą za usługi – tylko rząd ubogiego Mali płaci im 10 mln dolarów miesięcznie – żądają wolnej ręki i koncesji na kopalnie złota i diamentów, pola naftowe czy wyrąb lasów na drewno (w Nigrze pokusą mogłyby być tutejsze kopalnie uranu). W ten sposób po pierwszym roku od ponownej inwazji na Ukrainę, mimo zachodnich sankcji, rosyjskie rezerwy złota jeszcze się powiększyły.

Za wojnę dziękujemy

W Afryce wagnerowcy rzadko biorą udział w walkach. Ilekroć się za to zabierali, dostawali tegie łanie. W Mozambiku rozgromili ich dżihadysty znad równika, w Libii rządowe wojsko.

W Mali, gdzie przed rokiem tysiąc rosyjskich najemników zastąpiło 5 tysięcy francuskich spadochroniarzy i żołnierzy Legii Cudzoziemskiej, sprawy na wojnie z dżihadystami mają się jeszcze gorzej. Partyzanci dominują w jednej trzeciej kraju, a wagnerowcy, pacyfikując z rządowym wojskiem wioski podejrzewane o sprzyjanie rebeliantom, dopuszczają się zbrodni na cywilach. W Burkina Faso dżihadysty opanowali ponad połowę kraju i zbliżają się do stołecznego Wagadugu. Gdyby teraz junta z Nigru pokazała drzwi zachodnim wojskom, dżihadysty mogliby ogłosić Sahel kalifatem.

W Republice Środkowoafrykańskiej, gdzie wagnerowcy pojawili się najpierw, zajmują się niemal wyłącznie ochroną panującego od 2016 r. prezydenta Faustina Archange’a Touadéry, który ich sprowadził – oraz kopalni złota i diamentów, gdzie do pracy zapędzili, niczym niewolników, miejscowych mieszkańców. Wagnerowscy dowódcy i dyplomaci z rosyjskiej ambasady w Bangui opanowali także dwór prezydenta i zostali jego najważniejszymi doradcami. I to oni podpowiedzieli mu, by wykreślił z konstytucji zapis ograniczający liczbę kadencji i rządził choćby dożywotnio. Plebiscyt w tej sprawie urządzono w ostatnią niedzielę lipca, a wagnerowcy pilnowali, by zakończył się po myśli prezydenta.

Nie wiadomo, czy 66-letni Touadéra, wykładowca matematyki i rektor uniwersytetu w poprzednim wcieleniu, chciał dalej rządzić. Jego rosyjscy dłużnicy i wierzyciele nie pozostawili mu wyboru.

© © WOJCIECH JAGIELSKI

Wojna dronów

TEKST I ZDJĘCIA **ANTONINA PALARCZYK**
Z ORICHIWA I ZAPOROŻA (UKRAINA)

Ciężkie działa, czołgi, lotnictwo – w XX wieku to one zrewolucjonizowały sposób prowadzenia działań wojennych. Dziś na froncie ukraińsko-rosyjskim trwa rewolucja dronów. Są wszędzie.

MOGŁOBY SIĘ WYDAWAĆ, ŻE BYCIE operatorem drona to rzecz lepsza niż siedzenie w okopie. Bezpieczniejsza. Czasem jednak to przekleństwo.

– Zajmowanie się dronami to beznadziejna profesja. Widzisz wszystko, co się dzieje, ale czasem nic nie możesz zrobić – zaczyna swoją opowieść Sławik. – Kiedyś nawigowałem z góry grupę chłopaków wykonujących zadanie. W jednej chwili trzech zginęło, reszta była ranna. Wszystko na moich oczach. Mogłem tylko patrzeć.

– To najgorsze chwile w tej pracy: kiedy przychodzi deszcz, który uniemożliwia latanie dronem, chłopaki idą szturmować, a ty nie możesz im tego ułatwić – dodaje Witalik.

Przedtem był „szturmownikiem”, żołnierzem grupy szturmowej. Teraz odpowiada za „aerorozwidkę”: zwiad powietrzny za pomocą dronów.

– **GRUPA „MACHNO”** jedzie na polowanie – mówi do krótkofalówki Achmet. Auto mija ruiny Orichiwa, ostatniego miasta przed frontem zaporoskim. Razem z operującą na tym odcinku brygadą szturmową „Kara-Dag” członkowie ochotniczego oddziału „Machno” jadą na zwiad. Nazwa formacji nawiązuje do postaci historycznej: chłopskiego rewolucjonisty, po 1917 r. twórcy anarchistycznej republiki ze stolicą w Hulajpolu na Zaporozżu; Nestor Machno walczył ze wszystkimi, aż w końcu bolszewicy zniszczyli jego quasi-państwo.

Zwiad to jedno z głównych zadań realizowanych przez operatorów dronów – tutaj nazywanych „drończykami”. Na ich barkach opiera się funkcjonowanie niemal każdego rodzaju broni – od artylerii (jej ogień kierowany jest na cel przez drony) po oddziały piechoty i wozy pancerne, których natarciom towarzyszą.

JEST JUŻ CIEMNO, gdy kierowca wysadza naszą kilkusobową grupę na podwórzu zbombardowanego gospodarstwa i pośpiesznie zawraca. Jak niemal każdy z budynków znajdujących się w sercu strefy frontowej, i ten nie uniknął poważnych uszkodzeń. Za to znajdująca się obok piwniczka przetrwała – to daje nadzieję, że przetrwa i następny ostrzał.

Dwóch żołnierzy rozkłada kilkunetrowy maszt (usprawnia działanie i zwiększa zasięg drona) i antenę Starlinka – praca „aerorozwidki” zależy od łącza internetowego. Za jego pośrednictwem obraz z kamery drona, widoczny na iPadzie operatora, jest zsyłany dalej do sztabu. Tam również będzie analizowany na bieżąco (wojskowi mówią: w czasie rzeczywistym).

– **POZAKLEJAJ DIODY** na bateriach – Dimon podaje czarną taśmę. Diody, choć niewielkie, świecą fosforyzującą zielenią. Jest ryzyko, że dron może zostać zauważony na nocnym niebie. Gdy są już zaklejone, jedynymi źródłami światła w piwniczce są mała latarka (zawieszona tak, by nie rzucała za wiele światła) i ekran tableta, w który wpatrzony jest Achmet. Oraz żar papierosa w zębach Żeni.

– Szkoda, że zapomnieliśmy jedzenia. Ale puścimy muzykę, co? – proponuje. Z głośniczka zawieszonego na haczyku pod łukowym sklepieniem piwniczki zaczynają płynąć popularne na całej długości frontu rapowe kawałki, przeważnie o patriotycznym charakterze. Nie możemy być widoczni, ale nie musimy być całkiem cicho.

Równocześnie z naszym dronem, lecącym nad okolicą w poszukiwaniu celu, którym potem ma się zająć artyleria, niebo patrolują też rosyjskie „ptaszki”. Tak, wyjątkowo zgodnie, nazywają je żołnierze z obu stron.

– **WIDZĘ CZOŁG** – Achmet przybliży obraz na tablecie.



– Nasz?

– Nasz, bo rozwalony – ironizuje Dimon. – A tu dalej już siedzą Rosjanie. Pewnie się zastanawiają, co to, a to mój drogi bratan Achmet. Słyszą drona, ale go nie widzą.

Obraz z kamery termowizyjnej czerwieni się wyraźnie wokół kraterów, które powstały po uderzeniach pocisków artyleryjskich. Krajobraz, choć niewyraźny, przypomina zdjęcia powierzchni Księżyca.

– To, czego nie widzimy, widzą wyraźniej na dużym ekranie w sztabie – mówi Żenia.

DRUGA W NOCY. Żołnierze wykonują jeden lot za drugim, zmieniając się przy iPadzie. Za kolejnym razem, już podczas lądowania, wracający dron zahacza o kant dachu zrujnowanego budynku.

– Najważniejsze, że kamery całe. Tak się czasem dzieje. Łośliwość rzeczy martwych – Dimon jest spokojny. Choć minę



Praca „aerorozwiedki” na pozycjach, rejon orichowski, lipiec 2023 r.

ma zmartwioną, gdy chwilę potem majstruje przy podniesionym z ziemi aparacie. – Nie rozumiem, co się stało. Leci kilka metrów, jak sam sobie chce, i wpada na dach.

ŻENIA KLNIE cichutko. Razem z Achmetem składają maszt, gdy otoczenie oblewa nagle pomarańczowe światło. Odruchowo wszyscy rzucają się ku piwniczce.

– To tylko raca oświetlająca – uspokaja Sławik, kiedy wszystko znów pogrąża się w ciemności. – Ułatwia rozpoznanie terenu w nocy, oświetla teren przez jakiś czas. W tym czasie oni z góry rozglądają się po okolicy.

Jeszcze kilka rac pojawia się na horyzoncie z różnych stron, gdy czekamy na transport do bazy. Rozpalają się milcząco na niebie.

– Szlag, ile gwiazd! – Dimon zadziera głowę. – Wy mnie nie rozumiecie, jestem romantykiem.

– Ale polowanie, nie ma co – szydzi Żenia, wyrzucając niedopałek.

– Dajże spokój, bratan. Mam nadzieję, że oni też rozwalili wszystkie swoje drony i nie mają na czym latać.

– PRACUJĄ CHŁOPAKI! – Witalik komentuje z uśmiechem ukraińskich artylerzystów, gdy na jego ekranie podrywa się w górę tuman kurzu.

Po kilku godzinach snu w orichwskiej kwaterze grupa kontynuuje zadanie na pozycjach: w okopie przystosowanym na miarę tutejszych możliwości do wykonywania precyzyjnej pracy, a więc szerszym niż okop piechoty i pokrytym z wierzchu drewnianymi żerdziami; mają chronić przed odłamkami.

Przez schron co chwila przetacza się pogłos pobliskich wybuchów. Najgłośniej hałasuje moździerz o kalibrze 120 milimetrów. Najwyraźniej sąsiadujemy z jego stanowiskiem.

– Pewnie będziemy niedługo przenosić się stąd gdzieś do przodu, nasze chłopaki przeprowadziły z powodzeniem szturm. Przejęcie kolejnych rosyjskich

pozycji sprawia, że nasza obecna lokalizacja może już nie mieć wystarczającego zasięgu – Sławik kieruje dronem, który sunie wysoko ponad kłębamii siwego dymu.

ZIEMIA JEST SUCHA jak pieprz. W pełnym słońcu każde uderzenie pocisku wywołuje w żółkniętej trawie lub zaroślach ogień. W powietrzu rozchodzi się smród spalenizny, na ubraniu osiadają drobinki sadzy.

Do okopu wlatuje motyl. Ciężko i niepewnie macha skrzydełkami, zatacza się.

– Szalony.

– Myślę, że jemu tu za głośno od artylerii, to dlatego.

– Myślę, że on w ogóle nie ma uszu – oświadcza z przekonaniem Achmet.

– Więc jest mu i tak wszystko jedno.

ROZKAZ Z DOWÓDZTWA: w naszą stronę kieruje się bojowy wóz piechoty, należy go przypilnować z powietrza. Witalik podrywa drona.

W pobliżu słychać łoskot przejeżdżającego wozu. Odtąd śledzimy jego drogę z wysokości dwustu metrów, optymalnej, bo trzymającej drona poza zasięgiem celnego strzału z karabinka szturmowego, a pozwalającej z dużą dokładnością obserwować teren.

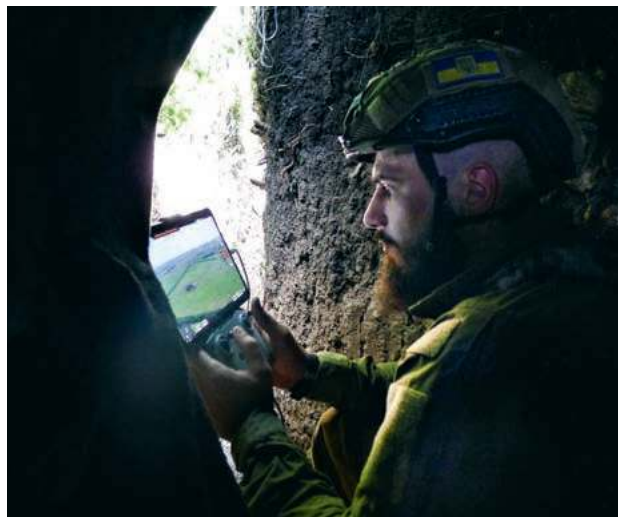
– A ty co, już zawracasz? Powłóczyłeś się i dosyć? – Witalik komentuje pod nosem ruchy obserwowanego pojazdu, który pospiesznym przemierza pokryte kraterami pole.

– Zatrzymał się tam koło pozycji na chwilę i coś zostawił – zauważa ktoś.

Witalik syczy przez zęby: obok wozu podrywa się dym. Najwyraźniej rosyjski „ptaszek” namierzył pojazd, a rosyjscy artylerzyści szybko zareagowali.

POZA KORYGOWANIEM ognia artylerii, eskortowaniem własnych pojazdów, a także niszczeniem wrogich celów za pomocą dronów kamikadze (tym grupa się nie zajmuje), możliwości „drońcyków” przydają się w zupełnie niespodziewanych okolicznościach.

Dimon wspomina niedawną historię: – W czasie zwiadu zauważyliśmy obok naszego zniszczonego czołgu dwóch chłopaków z 1. Brygady Pancerniej. Jeden był ciężko ranny. Zrzuciliśmy im z drona leki i wodę. A nawet papierosy! – uśmiecha się szeroko. – A potem



Po zmianie oprogramowania cywilne drony są gotowe do użycia w walce. Na zdjęciach: na froncie w obwodzie zaporoskim, lipiec 2023 r.

→ wiadomość na kartce, że dron poprowadzi ich do naszych pozycji. Stąd zostali ewakuowani.

NAZWIJMY GO ILIUSZA. Jest żołnierzem jednostki HUR, wywiadu wojskowego, która operuje na Zaporozżu. W takich formacjach profesja „drończyków”, choć w ukraińskiej armii bardzo młoda, jest na najwyższym poziomie.

– Na początku wszystko opierało się na wolontariuszach: oni organizowali zbiórki, kupowali i dostarczali nam sprzęt – wspomina Iliusza. – Dopiero potem armia zaczęła kupować drony. Głównie DJI Mavic, to najpopularniejszy model komercyjnych dronów.

Jesteśmy w piwnicy, w której jego oddział składa drony kamikadze własnej produkcji. Iliusza: – W roku 2014, gdy zaczęła się wojna w Donbasie, nie było w ogóle dronów, a jeśli już gdzieś, pojedynczo, to najwyżej takie samodzielnie konstruowane, które nie sięgały obecnego poziomu „aerorozwidki”. Dopiero około roku 2016 do użytku, ale wciąż dość ograniczonego, weszły półprofesjonalne drony DJI Phantom.

PRZEŁOMEM dla tego rodzaju broni było rozpoczęcie pełnoskalowej wojny przez Rosję 24 lutego 2022 r. – Wtedy rozwinęła się ona do wysokiego poziomu efektywności i zaczęło zależeć od niej coraz więcej aspektów poza zwiadem – mówi Iliusza. – „Drończyk” widzi wszystko i jest w stanie wszystko koordynować za pomocą drona. A kiedy cię zobaczy, już cię nie wypuści. Jesteś bez szans.

Także po 24 lutego zaczęły się upowszechniać drony kamikadze – jednorazowego użytku, niszczone w momencie detonacji przenoszonego ładunku po spotkaniu z celem. Wyjątkowo cenione – sto kilometrów na godzinę prędkości i sto procent skuteczności. Za ich pomocą można zniszczyć dowolną „technikę”, jak mówią tu na sprzęt wojskowy.

Podobnie cele żywe – żołnierzy przeciwnika.

ILIUSZA bierze do ręki jeden z gotowych dronów ze stołu. Stół jest pełen równych stosików z komponentami do ich budowy. Do lekkiego stelaża za pomocą plastikowych trytytek przymocowany jest ładunek wybuchowy w kształcie butelki. Na kadłubie naklejka z emotikonem w kostiumie wampira i niewinnym podpisem „Ząbek”.

Tłumaczy: – Maksymalna efektywność wynika z tego, że znajdujesz się względnie daleko od wroga, a wciąż masz do niego dostęp i możliwość poważnego zaszkodzenia mu. Nic cię nie ogranicza.

NAJWIĘKSZY PROBLEM, z jakim muszą się mierzyć „drończyki”? Na to pytanie Iliusza odpowiada bez wahania: „radioelektronna borba”, w skrócie REB. Dosłownie: walka radioelektroniczna. Chodzi o system zagłuszania sygnału, którym operator steruje dronem, za pomocą emisji elektromagnetycznej. Jedyny sposób poradzenia sobie z REB to likwidacja pojazdu walki radioelektronicznej za pomocą artylerii.

Natomiast samodzielna produkcja drona od zera pozwala od razu pominąć inny problem, występujący u dronów komercyjnych, które są tu powszechnie stosowane: chodzi o ich oprogramowanie, które nie jest przystosowane do warunków wojennych. Zanim dron pierwotnie cywilny – jak DJI Mavic – wejdzie do użytku na froncie, musi przejść przez ręce specjalisty, który ingeruje w kod jego oprogramowania, minimalizując możliwość przejścia drona przez Rosjan. I zabezpiecza ustawienia dotyczące możliwości zlokalizowania drona.

KOSZT WYKONANIA jednego drona kamikadze to równowartość czterystu dolarów. Najwięcej kosztuje kamera. Tu ich produkcja odbywa się we względnie prymitywnych warunkach, to wciąż ręczna robota żołnierzy.

– Co innego w Rosji – mówi Iliusza z krzywym uśmiechem. – Tam drony weszły już do masowej produkcji.

Żołnierz HUR twierdzi, że inaczej niż Ukraińcy, Rosjanie nie mają problemu z pozyskiwaniem dronów DJI, tak popularnych również po stronie ukraińskiej – mają kupować je od chińskich producentów.

KTO JEST LEPSZY w tym nowym wyścigu zbrojeń?

Iliusza jest szczery: – W tym momencie poziom „aerorozwidki” w rosyjskim wojsku jest tak samo wysoko rozwinięty jak u nas.

© ANTONINA PALARCZYK

Porty ostatniej nadziei

TADEUSZ IWAŃSKI

Rosja eskaluje wojnę na wyniszczenie ukraińskiej gospodarki, bo celem jest także zmniejszenie jej wpływów z handlu. Czy nadzieją Kijowa okaże się Dunaj?

TUŻ PO WYJŚCIU ROSJI z CZARNOMORSKIEJ Inicjatywy Zbożowej – międzynarodowej umowy umożliwiającej eksport ukraińskiej żywności przez Morze Czarne – na port w Odessie spadł grad rakiet manewrujących. Spustoszenie stary się czynić także drony.

Ataki powtarzały się przez całą ostatnią dekadę lipca. Wicepremier Ukrainy Ołeksandr Kubrakow informował pod koniec miesiąca, że w obwodzie odeskim uszkodzono lub częściowo zniszczono 26 obiektów infrastruktury portowej i 5 statków. W ten sposób Rosja chce pogłębić zapaść ukraińskiego budżetu, a przez unicestwienie infra-

struktury przeładunkowej – zlikwidować nadzieje na wznowienie eksportu przez morze. W tej sytuacji żywotnego znaczenia dla Ukrainy nabiera kręty, międzynarodowy i multimodalny – za to szybko się rozwijający – szlak handlowy przez Dunaj.

Choć i tu są problemy i ograniczenia.

Korytarz dla zboża

Czarnomorska Inicjatywa Zbożowa funkcjonowała niecały rok – od 1 sierpnia 2022 r. do 17 lipca roku bieżącego. Przez ten czas Ukraina wyeksportowała przez morze prawie 33 mln ton żywności. Nie tylko zboż, choć te stanowiły większość,

ale także olejów i nasion, swoich kluczowych towarów eksportowych.

Porozumienie pomogło zwiększyć eksport zbóż do prawie 50 mln ton w sezonie lipiec 2022–czerwiec 2023 (to minimalnie więcej niż w poprzednim analogicznym okresie). Jeszcze przed inwazją aż 90 proc. sprzedaży produkcji rolnej za granicę odbywało się drogą morską przez cieśniny tureckie. Rosyjska blokada portów, rozpoczęta tuż po inwazji, pozbawiła Ukrainę wielomiliardowych dochodów (w 2021 r. eksport samych tylko zbóż był wart ponad 12 mld dolarów) i zdestabilizowała pracę rolnictwa.

Czarnomorska Inicjatywa Zbożowa nie rozwiązywała wszystkich problemów napażniętego kraju. Ograniczona była do trzech portów: Odessy, Czarnomorska i Jużnego (wykluczono z niej m.in. ważny port w Mikołajowie), a także szeroko pojętej żywności (wykluczono np. rudy i produkcję hutniczą). Niemniej znacząco poprawiła ona wyniki ukraińskiego

Ciążarówki ze zbożem w kolejce do portu w Konstancy, Rumunia, 31 lipca 2023 r.



→ eksportu. Sprzedaż zbóż i olejów rosła wywołując rozdrażnienie Moskwy, która nieustannie utrudniała realizację inicjatywy – a to wstrzymując kontrole statków w Stambule, a to strasząc wyjściem z porozumień za każdym razem, gdy kończył się okres 120 dni, przez które miało ono obowiązywać.

W lipcu 2022 r. Rosja weszła do Inicjatywy w zamian za poluzowanie przez Unię Europejską i USA sankcji eksportowych, przede wszystkim dotyczących eksportu ropy naftowej – surowca kluczowego, sprzedaż którego napędza państwową kasę i buduje fortuny oligarchów. Była też pod presją pikujących cen żywności na rynkach światowych – dziura po ukraińskim zbożu wywołała trudny do zastąpienia z dnia na dzień deficyt, przede wszystkim w krajach tzw. globalnego Południa. Są one ważne dla Moskwy w kwestii obchodzenia sankcji i budowania koalicji w ONZ.

Groźby Kremla, ryzyko biznesu

W ostatnich tygodniach priorytety Kremla jednak się zmieniły. Wzrosła także skłonność do ryzyka. Rosja uznała, że krytykę państw afrykańskich uciszy zwiększonymi dostawami własnej żywności, a dochody z tej działalności – wyższe wraz ze wzrostem cen po zerwaniu porozumienia – pokryją rosnące koszty ubezpieczeń i frachtu, a także obłaskawią kremlowskie elity. Po buncie Prigożyna Putin musi grać ostro – zademonstrować siłę i zdecydowanie, by poprawić własną pozycję w wewnętrznych politycznych układach.

Wyjście Rosji z Czarnomorskiej Inicjatywy Zbożowej nie uniemożliwia kontynuowania eksportu ukraińskiej żywności. Teoretycznie pozwala wręcz na poszerzenie handlu o towary nieobjęte stambulską umową. W praktyce jednak znacząco podnosi ryzyko dla oferentów i kupców, a także armatorów i tzw. trade-rów – bez nawet wątpliwych gwarancji o bezproblemowym przejściu statków z okolic Odessy do Sztambułu biznes staje się zbyt niebezpieczny.

Tym bardziej że Rosja przechodzi od słów do czynów. W połowie lipca jej ministerstwo obrony ogłosiło, że wszystkie statki zmierzające do ukraińskich portów zostaną uznane za takie, które mogą przewozić ładunki wojskowe. Pod ezopowym językiem kryje się groźba – każda

Nie będzie wojskowych konwojów dla przewożących żywność statków.

Taki pomysł uznano za zbyt prowokujący Rosję.

jednostka może zostać ostrzelana. W kolejnych dniach właściwie codziennie dziesiątki rosyjskich rakiet spadały na główne miasta obwodu odeskiego, z historycznym centrum Odessy włącznie. Niszczono statki, hangary ze zbożem i urzędnika przeładunkowe.

Rosja eskaluje więc wojnę na wyniszczenie, której celem jest osłabienie ukraińskiej gospodarki i zmniejszenie jej wpływów z handlu zagranicznego. Paradoksalnie zniszczenie infrastruktury portowej może skłonić Kreml do powrotu do umowy zbożowej – w takim bowiem przypadku będzie to gest o ograniczonych korzyściach dla Ukrainy, za to sporym potencjale propagandowym dla Putina.

Erdoğan i jego puzzle

Zainteresowana losami porozumienia zbożowego jest Turcja. W 2022 r. zawarcie umowy było sporym sukcesem dyplomatycznym Ankary. Prezydent Recep Tayyip Erdoğan zaprezentował się jako skuteczny negocjator, który bez mała ocalił świat przed głodem, a Unię – przed niekontrolowanym ruchem migrantów.

Wyjście Rosji z porozumienia turecki prezydent może uznawać za osobistą porażkę, której winny jest Putin. Nie było ono jednak dla Turcji zaskoczeniem. Gdyby istniała choć wątpliwa szansa na rozmowy w sprawie przedłużenia umowy, 6 lipca w Stambule nie odbyłoby się przekazanie prezydentowi Ukrainy pięciu dowódców obrony mariupolskiego Azowstalu, którzy w ramach wymiany jeńców trafili do Turcji w ubiegłym roku i mieli tu pozostać do końca wojny. Powrót ukraińskich bohaterów do kraju był policzkiem dla Putina, a Moskwa nie kryła irytacji.

Porozumienie zbożowe nie wyczerpuje jednak tematu stosunków rosyjsko-tureckich. Stosunków skomplikowanych i wieloaspektowych, w których korzyści miesza się ze stratami, a współpraca z rywa-

lizacją. Dotyczą one kwestii handlowych, energetycznych i bezpieczeństwa.

Rosja pozostaje dla Ankary kluczowym dostawcą gazu (a Turcja chce też zarabiać jako hub błękitnego paliwa) oraz zboża (dzięki czemu Turcja buduje swoją markę jako przetwórcy i eksportera). W czasie kryzysu gospodarczego i przy spadku wartości liry ważnymi dostawcami waluty są też rosyjscy turyści, z powodu sankcji tłumnie odwiedzający turecką riwierę.

Na dwie strony

Niemniej umocniony wygraną w majowych wyborach Erdoğan widzi, że na Kremlu jego *vis-à-vis* opada z sił – wojna nie idzie tak szybko, jak miała iść, a wobec buntu Prigożyna Putin okazał słabość i poszedł na zgniłe kompromisy. Turecki lider inaczej załatwia takie sprawy, czego dowiódł w 2016 r. błyskawicznie dławiąc próbę puczu. To wszystko każe Erdoğanowi dywersyfikować politykę zagraniczną, czego wyrazem są kroki sugerujące nowe otwarcie na Zachód – zgoda (przynajmniej deklaracyjna) na członkostwo Szwecji w NATO, chęć intensyfikacji współpracy gospodarczej z Unią czy możliwe wznowienie dialogu z Grecją.

Erdoğan będzie też dociskał Moskwę, dążąc do zwiększenia tureckich wpływów na północnym Kaukazie i w basenie Morza Czarnego – osłabiona Rosja w tych regionach jest Turcji na rękę. Współpraca z Kijowem jest ważna jako element tej szerokiej układanki – powstrzymywania Moskwy, legitymizowania się wobec NATO i USA oraz odbudowy gospodarki.

Co więcej, Ankara będzie też dążyć do zwiększenia sprzedaży swojej broni Ukrainie (budowa fabryki bayraktarów już się rozpoczęła), a także angażować się w odbudowę infrastruktury – memorandum w tej sprawie podpisano już rok temu. Z tych powodów można założyć, że podczas planowanej na sierpień wizyty Putina w Ankarze temat Ukrainy będzie jednym z najważniejszych, a Turcja będzie naciskała na wznowienie pracy „korytara zbożowego”.

Dunaj może pomóc

Tymczasem Ukraina musi sprzedać zboża z trwających właśnie zniw. Embarga państw Europy Środkowej na import z Ukrainy (choć nie tranzyt – ważnym celem wychodzącej z porozumienia Rosji było stworzenie rozłamu w so-



UKRAINIAN EMERGENCY SERVICE / AFP / EAST NEWS

Po ataku na ukraiński port nad Dunajem w regionie Odessy,
2 sierpnia 2023 r.

lidarności polsko-ukraińskiej i konfliktu w Unii) m.in. kukurydzy, pszenicy, nasion rzepaku i słonecznika, przede wszystkim jednak ograniczenia w kwestii logistyki i przepustowości na lądowych granicach z Unią powodują, że optymalnym rozwiązaniem pozostaje trzeci szlak – przez ukraińskie porty nad Dunajem.

By go dostrzec, trzeba spojrzeć na mapie na ujście Dunaju do Morza Czarnego. 170 km nurtu tej rzeki, aż do mołdawskiego portu Giurgiulești, tworzy naturalną granicę Ukrainy z Rumunią. Na północ od niej, po ukraińskiej stronie, zielony obszar delty przecina kanał Bystre, łączący morze z rzeką na południe od miasteczka Wiłkowe. Z kolei na południe od Dunaju, przy kurorcie Sulina, w rezerwat biosfery równoleżnikowo wcinają się kanał sułiński, ciągnąc się przez 80 km prawie do Tulczy. Oba żeglowne kanały są konkurencyjnymi szlakami transportu wodnego.

Ich znaczenie wzrosło po rosyjskiej inwazji. Ożyły porty ukraińskie: Izmań, Reni, Ust-Dunajsk, i rumuńskie: Gałac, Braiła i Tulcza. Położony w zachodniej części obwodu odeskiego, po drugiej stronie limanu Dniestru, południowy Budziak – przed inwazją dzikie pola, wyludnione i niedofinansowane ukraińsko-mołdawskie pogranicze – stał się jednym z najszybciej rozwijających się regionów. Wszystko dzięki napływającym koleją i tirami milionom ton cargo, inwestycjom w logistykę, moce przeładunkowej i powierzchni magazynowej. Dodatkowym impulsem było odbicie z rąk Rosjan Wyspy Wężowej – położonej zaledwie 35 km od ujścia kanału Bystre – w pierwszych dniach lipca 2022 r., na kilka tygodni przed początkiem funk-

cjonowania Czarnomorskiej Inicjatywy Zbożowej. Pozwoliło to rozładować korki i trzykrotnie zwiększyć ruch tym korytarzem – stał się on bowiem bezpieczniejszy (tańszy od Suliny był jeszcze przed inwazją). W efekcie w 2022 r. ukraińskie porty na Dunaju obsłużyły 16,5 mln ton towarów, a w 2023 r. planowany jest skok do 23 mln ton (przed inwazją, w 2021 r., było to zaledwie 5,5 mln ton).

W kolejce do Konstancy

Ukraińskie towary, które przybywają do dunajskich portów, są eksportowane dwiema drogami. Pierwsza prowadzi kanałami: Suliną i Bystrem do morza, dalej wzdłuż wybrzeża do rumuńskiej Konstancy lub przez tureckie cieśniny na Morze Śródziemne. Druga przewiduje dalszy ruch barek z towarem przez Dunaj do portu Cernavodă, a stamtąd kanałem Dunaj–Morze Czarne do portu morskiego w Konstancy. Najczęściej w tym porcie dochodzi do rozładunku ukraińskich zbóż z barek i załadunku na jednostki o większym zanurzeniu i ładowności, w tym olbrzymie tzw. panamaksy. Do Konstancy przybywają także pociągi z ukraińskim zbożem, które również ładowane jest na statki – dzięki tym towarom port zwiększył obroty, a ukraiński kryzys stał się dlań impulsem rozwojowym.

Lecz są i problemy. Rumunia także jest istotnym eksporterem zbóż, a główną bramą transportową jest właśnie Konstancja. W lipcu rozpoczęły się żniwa, co oznacza konieczność przeładunku w najbliższych miesiącach kilkunastu milionów ton. Choć rumuński MSZ zapowiedział m.in. zwiększenie obsady na punktach granicznych i zatrudnienie w portach emerytowanych pilotów (by mogły pracować całą dobę) – po tym, jak

rosyjskie drony i rakiety zaczęły niszczyć infrastrukturę Odessy i Reni – w Konstancy priorytet przed ukraińskim będzie miał raczej rodzimy towar.

Wojna nie przerwała też gospodarczej rywalizacji Kijowa i Bukaresztu w delcie Dunaju. Choć udrożnienie tras przesyłowych i zwiększenie ich przepustowości ma priorytet, Rumunia niechętnie patrzy na ukraińskie plany pogłębienia kanału Bystre – już w lutym tego roku Kijów zdecydował na wejście przez kanał statków o zanurzeniu 6,5 m (rok wcześniej było to 3,9 m), w maju zaś rząd zapowiedział prace na rzecz dalszego pogłębienia dna.

Konwojów nie będzie

Od 17 lipca żaden statek ze zbożem nie wypłynął z portów rejonu Odessy. Kijów stara się zmuszać świat do presji na Rosję, by ta powróciła do inicjatywy zbożowej. Unia i Stany Zjednoczone obiecują pomoc, ale trudno powiedzieć, jaką formę ona przybierze. Wykluczyć najprawdopodobniej można decyzję o wojskowych konwojach dla przewożących żywność statków – taki pomysł uznany został za zbyt prowokujący Rosję.

By zatrzymać międzynarodowy biznes na Morzu Czarnym, ukraińskie władze stworzyły specjalny instrument finansowy, gwarantujący rekompensatę za ewentualnie poniesione szkody – zniszczenie statku lub ładunku, utratę zdrowia lub życia na sumę do 20 mld hrywien (prawie 550 mln dolarów), lecz nie wydaje się on wystarczająco przekonujący.

Inwestycje w delcie Dunaju widać gołym okiem – wkrótce w Budziaku ma powstać dwanaście nowych terminali przeładunkowych. Obecność w tutejszych portach zwiększają wszyscy najważniejsi – rodzimi i międzynarodowi – gracze na ukraińskim rynku rolnym, wsparcie deklaruje amerykańska agencja pomocy rozwojowej USAID. Dunajskie porty nie zastąpią jednak czarnomorskich. A w każdym razie nie szybko. Potrzeby są zbyt duże – nawet jeśli tegoroczny urodzaj będzie słabszy niż w poprzednich latach. I nawet jeśli elewatory na Ukrainie wciąż mają sporo wolnego miejsca. Rosyjskie drony i rakiety będą najpewniej dalej siać spustoszenie. © TADEUSZ IWAŃSKI

Tekst ukończono 1 sierpnia.



DAR YASKIL / GETTY IMAGES

Ortodoksyjni Żydzi przed obozowiskiem protestujących przeciw zmianom w sądownictwie. Jerozolima, 23 lipca 2023 r.

Jeden Izrael to za mało

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Idea Ruchu Separacji jest prosta: rozdzielić świeckie państwo żydowskie od konserwatywno-religijnego i zaprowadzić pokój między Żydami. Ten postulat znajduje spore społeczne poparcie.

OTYM, ŻE SPRAWY W IZRAELU ZASZŁY za daleko, nikogo tu nie trzeba już przekonywać. Polityczny pat, w jakim państwo znajduje się od kilku lat, oraz gigantyczne protesty trwające od stycznia, gdy władzę objął ultrapravicowy rząd Beniamina Netanjahu, podłamały i tak już podzielone społeczeństwo. Planowana przez rząd reforma sądownictwa i uchwalenie tzw. pierwszego prawa, które pozwala uniemożliwić odwołanie się Sądu Najwyższego od decyzji rządu i parlamentu, okazały się gwoździem do trumny. Izraelscy liberałowie twierdzą, że walczą teraz o swoją przyszłość w kraju.

Wielu z nich deklaruje chęć wyjazdu. Z niepokojem obserwuje to Nitzan Amit, 33-letni pracownik giełdowy i absolwent

politologii, który kilka miesięcy temu postanowił wziąć sprawę w swoje ręce.

Państwa bez granicy

– Jestem syjonistą, urodziłem się w Izraelu, podobnie jak moi rodzice i dziadkowie, i nie chcę stąd wyjeżdżać – mówi Amit „Tygodnikowi”. – Izraelskie społeczeństwo poróżniło się tak bardzo, że nie umiemy już razem żyć. Jeśli natychmiast czegoś nie zrobimy, to doprowadzimy do jego upadku. Świeccy wyjadą, religijni zostaną, a gospodarka się pogryzą.

Analizując historię tendencji separatystycznych w Europie, Amit doszedł do wniosku, że sens miałoby podzielenie Izraela na dwa żydowskie państwa: liberalne i zsekularyzowane – oraz konserwatywne i religijne. Koncepcję rozrysował na mapie: państwo liberalne – Nowy Izrael – miałoby stolicę w Tel Awiwie, obejmowałoby region centralny z metropolią Tel Awiwu (Gusz Dan) oraz północ Izraela. Z kolei państwo konserwatywno-religijne – Juda – ze stolicą w Jerozolimie obejmowałoby Judeę i Samarię oraz południe obecnego terytorium kraju. Państwa nie miałyby fizycznych granic i współpracowałyby w wielu dziedzinach. Religijni mieszkańcy Nowego Izraela nie musieliby się przenosić do Judy – musieliby jednak zaakceptować obowiązujący w tym kraju rozdział religii od państwa.

Pół roku temu Amit stworzył na Facebooku grupę Ruch Separacji. Dziś liczy ona 40 tys. członków, a ponad 50 osób zaangażowało się w aktywną pracę w celu zawiązania organizacji. Na razie zwolennicy separacji nie mają wsparcia finansowego, a ich praca opiera się na wolontariacie.

Inicjatywa przykuła uwagę mediów, które chętnie podjęły publiczną debatę nad pomysłem podziału kraju. Amit zlecił przeprowadzenie dwóch badań opinii społecznej. Wynikło z nich, że pomysł wspiera – lub przynajmniej się mu nie opiera – aż jedna trzecia społeczeństwa.

– To utopijna idea skrojona na miarę dystopijnej rzeczywistości, której staliśmy się częścią. Ale z Teodora Herzla też się śmiali, gdy zaproponował powstanie państwa żydowskiego – mówi założyciel Ruchu Separacji.

Co nas łączy

Pomysł rozdziału społeczeństwa wcale nie jest nowy. Od dekady w Izraelu pojawiają się koncepcje utworzenia federacji. Podziały społeczne właściwie od początku jego istnienia przebiegają w Izraelu według tak wielu linii – politycznych, religijnych, pochodzenia, kulturowych – że nie sposób oczekiwać braku tarć.

Nitzan Amit: – Niewiele tak naprawdę nas łączy. Idea, że jako Żydzi musimy się chronić – bo tego nauczyła nas historia – oraz miłość do ziemi Izraela. Poza tym większość idei, wartości każdy rozumie inaczej. Mówimy na przykład, że Izrael jest „żydowską demokracją”, ale zarówno „żydowskość”, jak i „demokrację” każdy zdefiniuje inaczej. Nie mamy też konstytucji, więc nawet zasady tej demokratycznej gry nie są dla nas jasne. Jak możemy sprawnie zarządzać krajem, tak bardzo się różniąc i nie rozumiejąc?

Choć zaproponowany podział kraju rozwiązuje problemy liberalnych izraelskich elit, generuje też nowe. Te zaś, z którymi Izrael zmaga się dzisiaj, wyrzuca poza orbitę swoich zainteresowań. Oczekując zarządzania krajem Juda od społeczności *haredim* – religijnej – postawiliby przed nią wymagania, którymi ona sama nie jest zainteresowana, jak stworzenie aktywnego rynku pracy czy silnej armii. Rozwiązanie „dwupaństwowe” podgrzałoby też bliskowschodni konflikt, np. poprzez udział osadników w zarządzaniu krajem Juda.

Amit, twórca zamieszania, uważa jednak, że stworzenie dwóch żydowskich państw wyszłoby na dobre wszystkim. Ostatnio coraz częściej odbiera telefony od *haredim*. Mówią mu, że interesuje ich koncepcja podziału. I pytają, czy mimo przynależności do religijnej wspólnoty mogliby jednak zamieszkać w świeckim Nowym Izraelu. ©

ELIZA

Kącka: Bezpieczeństwo maski



MIEJSCOWOŚĆ ZWIERZYŃCIEC, DEFILADA kombajnów. staję i patrzę, jak suną, ciężkie, na całą niemal szerokość jezdni. dla mijających aut zostaje mały przesmyk między korpusem wieloryba zbożowego a krawężnikiem. dwa odłączają się przy spożywczym całodobowym. nadal hałasują na wygaszaniu, jakby miały zaraz plunąć w górę fontanną ziarna. rolnicy zeskoczyli i poszli na zakupy. na pomoście drugiego został chłopiec. dostrzegł, że się wgapiam. „a ja mam kombajna!”. „nono. byłaś mała, to też jeździłaś na kombajnie”. zdziwił się: „mój tata by ci nie dał”. „możliwe”. „będę duży, to sam będę brał kombajna”. „i w pole pojedziesz”. „nie, w miasto”. „o, będziesz kosił miasto!”. spojrział z politowankiem: „kombajn kosi zboże”. „no tak”. „ja pojedę najpierw pod szkołę, pokazać”. „że jesteś duży?”. ucieszył się: „tak! bo Wojtek myśli, że on rzadzi i decyduje, z kogo się trzeba śmiać!”. „no to im pokażesz kombajna”. „tak!”. szwung aż go podniósł w siodelku. i dodał mrocznie: „a potem będę tarasował”.

Sklep w Zwierzyńcu, kolejka. przede mną matka z synkiem i starsza pani. marudzą, odkładają na ladę, buszują i donoszą. klimat leniwy, bez warszawskich nakrętów. starsza: „ludźmi sygnęło, pewno ten festiwal”. sklepowa: „e, ja tam nie mam dużego utargu”. starsza: „tylko mówię, że tu chodzą obce gęby”. młodsza: „utargu to pani mieć nie będzie, to ludzie o innych nawykach”. starsza: „jakich znowu! każdy je”. „ojmama, nie znasz się. weganizm i te sprawy”. „a to faktycznie, nie życzę sobie”. sklepowa: „jakieś ważne ludzie tu zjechali?”. starsza: „program czytałam, nie znam – poza Mroźkiem”. sklepowa: „a, to nazwisko gdzieś już było”. młodsza: „w szkole”. starsza: „ja go nie popieram”. młodsza: „ale on już chyba nie żyje?”. starsza: „pewno żył, jak go zapraszali, a potem głupio odwołać”.

II9, para starsuszków. ona: „co ty ostatnio nie mówisz na głos modlitw w kościele?”. „w myślach mówię”. „też coś! to się żegnaj w myślach”. „dajże spokój”. „»Wierzę w Boga«... nie odmawiasz, tego o Panu Jezusie”. zachnął się: „no bo ile razy można powtarzać czyjś życiorys!”.

Lidzbark Warmiński, spacer, spotykam nauczyciela od przysposobienia obronnego, wygarniturowany, jak zawsze. bardzośmy się męczyli z tym przedmiotem. „pani

eliza?”. ja, że owszem. ucieszył się. „pamięć nie ta, ale niektórych kojarzę”. ja, że miło. „mogłem postawić piątkę, ale ta czwórka była jednak uzasadniona”. „aha?”. „teoria teorią. ale nigdy pani nie opanowała maski! ja odpowiadam za bezpieczeństwo...”. „maski!”. zagotował się: „ludzi! ja daję piątkę gwarancję, że pani potrafi użyć maski gazowej!”. „hm”. „to kłamstwo. to jak dać prawo jazdy komuś pod wpływem”. „u, nie wiedziałam, że aż tak zagrażam”. rozczmuchał się: „cieszę się, że spotkałem panią, bo teraz nie ma już wątpliwości, że czwórka. stopień dajemy również za postawę”. wszedł do apteki.

Wielochowo, jezioro podlidzbarskie. idą chmury od wschodu, ale na razie żółto-granatowy, przedburzowy upał. obok rozkłada się rodzina z koszem, ręcznikami. rodzice i dwie dziewczynki w wieku wczesnoszkolnym. „mamaaa, dasz kremik?”. matka smaruje małą. do męża: „chodź, i ciebie poklepię”. on: „daj mi spokój, to rakotwórcze!”. „oszalałeś?! rak to od słońca”. „w mojej rodzinie nigdy nie było raka od natury”. „etam”. „ojca matka chemią wykończyła. twojego kota też”. „przestań, dziewczynki słuchają”. „niech słuchają! a ty ich tak nie smaruj znowu”. „?!”. „już widzę, jak ty je nastawiasz”. „to tylko krem z filtrem”. „tylko krem, tylko kostium, a potem płacz, że nie chce mieć rodzi-ny”. „co cię wzięło, to jeszcze dzieci!”. „dlatego mówię. jesteś matka i masz je wychować na matki. a nie że filtry jakieś”.

Instytut Onkologii, czekam. dwóch z grubsza sześćdziesięcioletnich, oplastrowanych, w holu. „moja mama tu leżała”. „tak?! kiedy?”. „dwa lata temu”. „no widzisz, ale żyje, wyliżała się”. „matka jest silna, walczyła, ja nie mam siły”. „no co ty, Waldek, opowiadasz, jesteś młodszy”. „ja się boję operacji jutro, i kolejnej”. „każdy się boi”. „mama nie”. „no to słuchaj: jesteś syn, pokaż matce, że jesteś dzielny”. „nie o to chodzi”. „umiesz”. „nie, musiałbym być matką”. „ty jesteś Waldek”. „nie, nie rozumiesz. matka umie tak sobie sama zniknąć, wiesz, jakby jej nie było. operacja się robi, a ta to zostawia i żyje innymi”. „cwane”. „tego raka przeżywała, jakby miał go ktoś inny”. „dzielna jest”. „nie, jest matką. po prostu”.

dziecko pojechało na obóz, pozdrawia z Weroni. relacjonuje postój pod balkonem Julii, obmacywanie biustu pomnika, lokalne lodziarnie. „jak się bawiłaś?” – piszę. „Świetnie. Balkon zrobił na mnie potężne wrażenie”. „No proszę”. „Przewodniczka tłumaczyła, że na wszystkich robi”. „Pamiętasz tę scenę?”. pamięta, czytała. dopisuje: „Obok nas stała grupa z polskim przewodnikiem”. ja: „Ciekawe, dowiedziała się czego?”. Ruda dyktafonowo: „Przewodnik mówił, że to miejsce jest również naznaczone obecnością Polaków”. czyżby bitwa pod balkonem? Dopytuję. „Powiedział, że Norwid nawiedził to miejsce. I dał na mszę za spokój duszy tych młodych ludzi”. „Wspaniale”. po chwili dopisuje: „A co to znaczy: »nie umrzeć śmiercią naturalną«?”. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl



KRZYSZTOF POMIAN (ur. 1934)

jest filozofem i historykiem, jednym z najbardziej cenionych intelektualistów we współczesnej Francji. Do 1968 r. związany z Uniwersytetem Warszawskim, stracił pracę na uczelni za publiczną krytykę polityki władz PRL. W 1973 r. osiadł we Francji i przez 30 lat pracował w Krajowym Ośrodku Badań Naukowych w Paryżu (CNRS). Autor i współautor wielu prac, m.in. „Porządek czasu”, „Europa i jej narody”, „Przeszłość jako przedmiot wiary”, „Zbieracze i osobliwości”, „Autobiografia na cztery ręce” (owoc rozmów z Jerzym Giedroyciem), a także opublikowanego niedawno we Francji trzytomowego dzieła uznanego za jego opus magnum „Muzeum. Historia światowa” (w Polsce ukazał się właśnie pierwszy tom).

PÓŁ WIEKU NA FRANCUSKICH PAPIERACH

KRZYSZTOF POMIAN, FILOZOF I HISTORYK:

Gdy przyjechałem do Francji, przyjaciel powiedział mi:
„Mówisz jak książka z siedemnastego wieku”. Minęło wiele lat,
zanim moja żona zaprzyjaźniła się na targu z miejscowymi rzeźnikami.

SZYMON ŁUCYK: Głupio mi się przyznać, ale idąc na spotkanie u Pana Profesora zgubiłem się, mimo że tłumaczył mi Pan wcześniej drogę przez telefon. I to skrupulatnie...

KRZYSZTOF POMIAN: Opowiadałem panu o Janie Józefie Lipskim? Kiedyś przyjechał do Paryża i mieliśmy się spotkać u mnie. Zapisał wprawdzie mój adres, ale pomylił się co do miejscowości, więc w końcu pojechałem po niego, żeby go odebrać spod fontanny Saint-Michel. Od tego czasu każdemu tłumaczę...

Tylko że ja się zgubiłem, bo szukałem domku na przedmieściach. Nie przyszło mi do głowy, że to podparyskie blokowisko.

Jestem w tym mieszkaniu od moich początków we Francji. Czyli od pół wieku. Wprowadziliśmy się tutaj z żoną, bo zależało nam, żeby córka, wtedy nastoletnia, mogła chodzić pieszo do szkoły.

Wracając do Lipskiego: przez to mieszkanie, w którym gościł mnie Pan herbatą i włoską babką, przewinęło się mnóstwo osób, w tym bardzo znanych.

Zawsze mieliśmy z żoną [Grażyną Pomian – red.] dużo gości, nie tylko polskich i francuskich. Ogromny ruch był tu w sta-

nie wojennym. Mam zresztą taką starą tezę, że w tamtym okresie łatwiej było się spotkać krakowianom i warszawianom w Paryżu niż w Polsce.

Lista tych, którzy nas odwiedzali, była bardzo długa: od „A” jak Stefan Amsterdamski do „Ż” jak Stefan Żółkiewski, a między nimi, alfabetycznie, Bronisław Baczko i Leszek Kołakowski. W latach 80. mieszkali tutaj pod naszą nieobecność Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki. W pewnym okresie można tu było spotkać Kazimierza Brandysa czy pisarkę i eseistkę Olę Scherer. Bywał tu polski Paryż, inteligentni – ten sam krąg co w paryskiej „Kulturze” w Maisons-Laffitte i u Pallotynów na rue Surcouf. Zresztą Zofia Hertz czy Gustaw Herling-Grudziński, Kot Jeleński – filary „Kultury” paryskiej – bywali u nas wielokrotnie. Tylko Giedroyc nigdy się tu nie pojawił, ale on rzadko ruszał się ze swojego „Lafitu” nawet do pobliskiego Paryża.

Cofając się jeszcze dalej: światła Paryża zaczęły Pana wabić w dzieciństwie, wiele tysięcy kilometrów od Europy.

Po wybuchu II wojny światowej znaleźliśmy się we Lwowie, skąd zostaliśmy – mama i ja – zesłani do Kazachstanu, do Semipałatyńska. Ojca aresztowano i skazano na łagier w Workucie. Do szkoły w Kazachstanie chodziłem

krótko – dawano nam tam jeść, co było wtedy bardzo ważne. Przestałem, kiedy temperatura zimą spadła do minus 35 stopni, a nie miałem chroniących przed mrozami butów z wołjoku, czyli walenek.

W domu czytałem wszystko, co wpadło mi w ręce. Wtedy dostaliśmy paczkę z książkami od przyjaciela rodziców, prof. Stanisława Ossowskiego, a w niej „Paryż” Bystronia. Tę książkę zaczytałem do imentu – kompletnie się rozsypała. Pamiętam ją do dziś, wydała ją pięknie Książnica Atlas we Lwowie i miała mnóstwo czarno-białych ilustracji.

Nie znał Pan wtedy jeszcze francuskiego?

Nauczyłem się już po wojnie, w Brukseli. W 1948 r. pojechałem tam z mamą. Miałem 14 lat i wpadłem na pomysł przeczytania całej francuskiej literatury, od „Pieśni o Rolandzie” do Camusa i Sartre’a, którzy byli wtedy u szczytu sławy. Tylko nastolatki mają podobne „genialne” idee! Także w czasie tego brukselskiego pobytu – dokładnie w maju 1949 r. – po raz pierwszy w życiu byłem w Paryżu, gdzie mama spędzała urlop.

Ćwierć wieku po tej pierwszej wizycie we Francji przyjechał Pan znowu. Przeczuwał Pan, że to już na zawsze?

Krzysztof Pomian. Paryż, listopad, 2019 r.

→ Z jednej strony byłem przygotowany na to, że zostanę dłużej, bo zaproponowano mi etat w CNRS, czyli Francuskiej Akademii Nauk. W Polsce, po odejściu z pracy w Bibliotece Narodowej w Warszawie, nie miałem zatrudnienia. Żyłem z tłumaczeń. Wyjechałem do Francji w 1973 r., dokładnie – 28 maja. Parę tygodni później dołączyły do mnie żona i córka.

Z jednej więc strony – praca. Z drugiej, mieliśmy w kieszeniach polskie paszporty i mieszkanie w Warszawie, więc mogliśmy w każdej chwili wrócić. Czternastoletnia córka odnalazła się we Francji bez problemu. Zresztą przez następne lata żona jeździła z nią na wakacje do Polski. Ja nie – to była część mojej umowy z władzami. Oni się mnie pozbyli i nie mieli ochoty mnie już widzieć. Z wzajemnością.

Łagodne „lądowanie” we Francji, z paroma dolarami w kieszeni – tyle można było legalnie wywieźć z PRL – ułatwili Panu znajomi o polskich korzeniach?

Zasadniczą rolę odegrała rodzina Sachsów, z którą byłem zaprzyjaźniony: Ignacy Sachs [ekonomista – red.], zmuszony do emigracji po marcu 1968 r., jego żona Viola i dzieci, Włodzimierz, Karol i Celina. Po przyjeździe do Francji zamieszkałem u nich. Celinka Sachs znalazła w gazecie ogłoszenie, które pomogło mi znaleźć mieszkanie. Jak się tu wprowadzaliśmy, to Karol Sachs pojechał z nami kupować meble. Do dziś jestem w kontakcie z całą rodziną.

Prawdę mówiąc, wcale nie byłem przygotowany, żeby mieszkać we Francji. Mnóstwa rzeczy trzeba się było nauczyć. Poczynając od zapisania córki do szkoły, niezliczonych wizyt u lekarzy, koniecznych do rozpoczęcia pracy w CNRS, itd.

Mój przyjaciel mówił mi wtedy: „Mówisz jak książka z siedemnastego wieku”. I to była prawda, bo przez dwadzieścia parę lat studiowałem literaturę z czasów Moliere’a.

Nigdy wcześniej nie robiłem zakupów na francuskim targu. Pewnego dnia jesteśmy z żoną na targu u rzeźnika. Żona nie mówiła wtedy jeszcze po francusku. Chcemy kawałek wołowiny. On ją pyta: „Co pani chce z tym mięsem robić?”. Żona się zachnęła: „A co go to obchodzi?”. Tłumaczę, że go to obchodzi, bo musi wybrać odpowiedni kawałek: inny na wołowinę po burgundzku, inny na befszytk

czy gulasz itd. Wtedy w Polsce wołowiny w ogóle nie było, jeśli już, to kupowano ją na czarnym rynku u zaufanych rolników. Minęło trochę lat, zanim żona zaprzyjaźniła się z miejscowymi rzeźnikami i już nie dziwiły jej takie pytania.

Szybko wszedł Pan w pierwszy krąg francuskich przyjaciół – naukowy. Poczynając od historyka Fernanda Braudela.

O nie, trudno nazwać Braudela moim przyjacielem – był starszy o „drobne” 32 lata. Uważałem go za mistrza. Kiedy go poznałem, był u szczytu naukowej sławy. Lubił mnie, przez pewien czas chodziłem na jego seminarium. Ostatnio znalazłem zdjęcie, na którym jesteśmy razem we Włoszech. W USA, gdy byliśmy tam razem z innymi jego uczniami, nazywano nas „Braudel’s Boys”.

Szybko zaprzyjaźniłem się z badaczem rewolucji francuskiej, historykiem François Furetem, wówczas moim szefem w Ośrodku Badań Historycznych w CNRS. To on mnie przywitał w tej instytucji. I napisał mi list polecający, który pomógł w przyjęciu córki do liceum. Przypuszczam, że i tak by się tam dostała, ale bez polecenia potraktowano by mnie inaczej. Mówię pani dyrektor, że moja córka nie mówi po francusku, a ona na to, że bym się nie przejmował, że to da się nadrobić w trzy miesiące. Dla pani dyrektor byłem „drogim kolegą”, a nie świeżo przybyłym do Francji petentem z PRL. Dzięki Furetowi wszedłem w paryskie życie intelektualne. Przyczynił się też do tego słynny mediewista Jacques Le Goff, którego poznałem jeszcze w Warszawie.

Od początku pobytu we Francji zapraszano nas do wielu domów, mimo że moja żona nie mówiła po francusku. Z tego wywiązały się przyjaźnie, które trwają do dzisiaj.

Stereotyp mówi, że Francuzi są wyniośli, pełni konwenansów i nietatwo się z nimi zaprzyjaźnić. Inaczej niż w Polsce, gdzie, jak skłonni jesteśmy uważać, do przyjaciela wpada się czy dzwoni o dowolnej porze.

Ten obraz wydaje mi się złudzeniem. Owszem, do prawdziwego przyjaciela dzwoni się „o każdej porze” czy „wpada się” bez zapowiedzi, ale tylko do pewnego wieku, niezależnie od tego, czy w Polsce, Francji czy gdzieś indziej. Potem, jak doj-

rzewamy, mamy mnóstwo obowiązków, rodzinę, wszystko się zmienia.

Kiedy przyjechałem do Francji, miałem prawie 40 lat, na koncie doktorat i habilitację w Polsce. To tam, w czasach dojrzewania, nawiązałem studenckie przyjaźnie. Wtedy więcej czasu spędza się na biesiadowaniu, piciu, rozrywkach, niż kiedy ma się żonę i dziecko. Ale i we Francji, i we Włoszech miałem wielu prawdziwych przyjaciół – większość z nich już nie żyje. Były to takie, jak to się mówi, „słowiańskie” przyjaźnie, choć nawiązałem je po czterdziestce.

Myślę, że różnica między przyjaźniami polega przede wszystkim na tym, na jakim etapie życia poznajemy tę czy inną osobę, a nie w jakim kraju do tego dochodzi.

Dla polsko-francuskich przyjaźni – na ludzkim, nie tylko politycznym poziomie – ważny był okres Solidarności, dekada lat 80. Społeczeństwo francuskie rzuciło się masowo wspierać Polskę, podobnie jak Polacy pomagający Ukraińcom po inwazji rosyjskiej. Jak Pan tłumaczy tę francuską miłość do Solidarności?

Już w połowie lat 70. nastąpiła zmiana klimatu wśród paryskiej lewicowej inteligencji. Wtedy odeszła ona od popierania sowieckiego komunizmu. Paryska rewolta z maja 1968 r. wiele tu zmieniła. Wyzwoliła co prawda ruchy lewackie – czasem niebawem w swojej głupocie: trockizm, maoizm – ale z polskiego punktu widzenia mające jedną zaletę: antysowieckość. Do tego doszła inwazja na Czechosłowację, która pogorszyła obraz Związku Sowieckiego na Zachodzie, i wydanie „Archipelagu Gułag” Solżenitsyna po francusku.

Tak więc kiedy przychodzą strajki w sierpniu 1980 r., grunt we Francji jest już przygotowany. Od tej daty aż do połowy 1982 r. Francja miała swój „polski moment”. Którego to momentu, nawiasem mówiąc, po dziś dzień nikt dobrze nie opisał. Wówczas nie było dnia, żeby francuskie dzienniki telewizyjne nie podawały informacji o Polsce.

Dużą rolę w tej mobilizacji – prócz mediów i intelektualistów – miały chyba mieszane małżeństwa polsko-francuskie nad Sekwaną?

Wystarczało czasem, że w jakiejś miejscowości jedyna Polka, która wyszła za



Doroczne spotkanie przyjaciół „Kultury” w Maisons-Laffitte, 17 września 2022 r.
Od lewej: prof. Iwona Pugaczewicz, prof. Maria Delaperrière (tyłem),
Wienia i Sławomir Czerlewscy, prof. Krzysztof Pomian.

mąż za Francuza i przenieśli się tam 20 lat, skrzyknęła u siebie w salonie sąsiadów i zawiązała lokalny komitet pomocy dla Polski. Ile takich komitetów powstało – trudno zliczyć, a przecież zaczynało się często od jednej osoby z inicjatywą. Było to bardzo przejmujące, jak nawet małe miasteczka z południa zbierały społecznie całe ciężarówki z darami dla Polski i pytały mnie czy inne osoby zaangażowane w sprawy polskie, do kogo mają się zwrócić po przyjeździe nad Wisłę. Skala pomocy była ogromna.

Jednak po 1989 r. francuskie zachwyty nad Polską gdzieś się ulotniły. Paul Thibaud – filozof, w latach 80. redaktor ważnego dla sprawy polskiej miesięcznika intelektualnego „Esprit” – kilka lat temu powiedział mi, że czuje się rozczarowany III RP. Według niego zamiast zwiastowanej przez Solidarność sprawiedliwości społecznej nastąpił wilczy kapitalizm. Bardzo cenię Paula, ale nie zgadzam się z tym poglądem. Na pewno część intelektualistów francuskich widziała w Solidarności to, czym ona nigdy nie była: realizację utopii. Jak zwykle w takich sytuacjach, kiedy nie dostrzega się czy wręcz wycisza pewne rzeczy, rzeczywistość rozczarowuje. Nie chciano widzieć, że

w tej pierwszej Solidarności obecne były nacjonalizm, antysemityzm czy pewna antypatyczna forma katolicyzmu. Polska z okresu 1980-89 była projekcją marzeń dla różnych grup społecznych we Francji. Oczywiście dla lewicy tęskniącej za nowoczesnym socjalizmem, ale też dla inteligencji chrześcijańskiej – Paul Thibaud jest dobrym przykładem obu tych grup.

Po 1989 r. z punktu widzenia Zachodu Polska stała się banalnym krajem – w relacjach francusko-polskich rzeczy wróciły do normy, ale pozostała pewna sympatia po stronie Francji. Tak opinia publiczna, jak i ogólna linia polityczna w Paryżu sprzyjały przemianom w Polsce. Pomijam ten „drobiazg” – mówię ironicznie, bo w Polsce się to bagatelizuje – że Francja była od 1945 r. zwolenniczką ustalenia granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie Łużyckiej. Francuska dyplomacja odegrała tu sporą rolę.

Ta ogólna sympatia dla Polski odwróciła się dramatycznie w 2015 r., gdy do władzy doszedł PiS.

Francuskie elity – Michel Houellebecq jest znanym przykładem – prześcigają się dziś w wieszczaniu upadku własnego kraju. Czy Pana zdaniem Paryż ma nadal w Europie rolę do odegrania?

Francja jest wciąż w pierwszej dziesiątce najbogatszych krajów na globie. I nie zapominajmy, że jako jedyna w Unii Europejskiej posiada *ultima ratio*, czyli broń atomową. To z pewnością rodzi kapitał francuskiego w Europie. A jeśli chodzi o kulturę, byłbym bardziej powściągliwy w ocenach. W samej Francji nie widzę dziś takich nazwisk, które narzuciłyby się w skali światowej, ale podobnie jest gdzie indziej, np. w USA.

W Polsce zanikła niemal zupełnie znajomość języka francuskiego. Na pewno istotne francuskie wpływy kulturalne w całej Europie Środkowo-Wschodniej należą do przeszłości. Trzeba będzie może stu lat, żeby je wskrzesić.

Prawdą jest też, że pewne pokolenie intelektualistów schodzi dziś ze sceny – zamyka się rozdział lewicy antytotalitarnej z takimi ludźmi jak Marcel Gauchet i Pierre Nora (oba wraz ze mną założyli i tworzyli przez lata pismo „Le Débat”) czy innymi osobistościami starej gwardii, jak filozofowie Régis Debray czy Rémi Brague. Ta generacja się kończy, ale będą następcy.

Jeśli chodzi o współczesną literaturę francuską, to uważam, że kult wspomnianego Houellebecqa jest rozdmuchany ponad wszelkie granice. Jest on dla mnie produktem medialnym. Styl Houellebecqa – zaznaczam, że czytałem jego pierwsze trzy powieści – uważam za płaski, nawet prymitywny.

Proszę jednak pamiętać, że zbliżam się do dziewięćdziesiątki i nie powinienem wypowiadać diagnoz dotyczących współczesnej kultury. Jestem „out” i nie ma sposobu, żebym był „in”.

A jest coś, co Pana we współczesnej Francji zachwyca, tak osobiście?

Przyznaję: było mi przyjemnie, kiedy w Tuluzie na dwa spotkania autorskie wokół mojej ostatniej książki „Muzeum. Historia światowa” przyszedł za każdym razem setka nieznanymi mi osobami. To pokazuje, że przynajmniej w pewnych kołach i w publicznych mediach tzw. wysoka kultura ma nadal określone znaczenie. Aspirowanie do bycia człowiekiem kulturalnym jest wciąż ważną cechą francuskiej *identité*. Można w tym widzieć nadzieję, że Francuzi unikną najbardziej prymitywnej formy rządu populistów w rodzaju „trumpizmu”.

© Rozmawiał w Paryżu SZYMON ŁUCYK

Sąd Rejonowy w Bielsku-Białej, I Wydział Cywilny informuje, że pod sygnaturą I Ns 217/22 toczy się postępowanie z wniosku Katarzyny Kurowskiej o ustanowienie drogi koniecznej na rzecz działki pgr. 1290/4 oraz pgr. 1289/9 obj. KW nr BB1 B/00071824/7 po działce pgr. 3173 obj. KW nr BB1 B/00110156/9, położonej w Buczkowicach.

Sąd wzywa właścicieli wieczystoksięgowych, w tym Michała Kubicę, bądź ich następców prawnych, do zgłoszenia swoich praw w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia, gdyż w przeciwnym wypadku postępowanie może toczyć się bez ich udziału, natomiast Sąd może obciążyć ww. nieruchomości służebnością drogi koniecznej.

Sąd Rejonowy w Myślenicach Wydział I Cywilny ogłasza, że na wniosek Henryka Łuźnego zostało wszczęte postępowanie do sygn. akt. I Ns 153/23 o stwierdzenie nabycia spadku po Zofii Kretowicz z d. Proć córce Michała i Marii z d. Kowal, urodzonej 4.05.1907 r. we Lwowie, zmarłej 18.02.1998 r. w Trzemeśni, ostatnio stale zamieszkałej w Trzemeśni.

W związku z powyższym Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt INs 1005/22 toczy się sprawa z wniosku Michała Widłoka o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie udziału 1/2 części w prawie własności nieruchomości położonej w Wieliczce, oznaczonej jako działka nr 1245, objętej KW nr KR 11/00008793/9.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, w szczególności następców prawnych Zofii Bill, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i udowodnili swe prawo własności, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Gliwicach pod sygn. I Ns 44/23 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Teresie Speicher z domu Hallas, córce Emila i Berty, zmarłej 06.01.2023 r. w Gliwicach, ostatnio stale przed śmiercią zamieszkałej w Gliwicach. W skład spadku wchodzi prawo własności lokalu mieszkalnego położonego w Gliwicach przy ulicy Świętojańskiej 49/3.

Wzywa się spadkobierców, aby w ciągu 3 miesięcy od daty publikacji ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu w I Wydziale Cywilnym toczy się pod sygnaturą akt I Ns 102/23 postępowanie z wniosku Zbigniewa Wójcika o stwierdzenie nabycia spadku po Edwardzie Wójciku, s. Józefa i Anny, którego zwłoki znaleziono 4 grudnia 2017 r. w Dąbrowicy, jego ostatnim miejscu zwykłego pobytu.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział 1 Cywilny toczy się postępowanie I Ns 143/23 z wniosku Spółem Warszawskiej Spółdzielni Spożywców Pragi Południe w Warszawie o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności nieruchomości składającej się z działki nr ewid. 73 o pow. 0,1714 ha położonej w Sulejówku przy ul. Niepodległości 20, powiat miński.

Sąd wzywa wszystkich, którzy roszczą sobie prawa do ww. nieruchomości, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia stawili się w tutejszym sądzie i wykazali swój interes do uczestniczenia w tym postępowaniu, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w niniejszym postępowaniu.

Przed Sądem Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 641/21 toczy się postępowanie z wniosku Heleny Guzik o stwierdzenie, że Helena Guzik nabyła przez zasiedzenie udział 15/16 we własności nieruchomości położonych w Skawinie, oznaczonych jako: działka nr 4710 – dawniej p. gr. 109/18 objętej AWZ 1012/72 oraz działka nr 464 – dawniej p. gr. 84/4 objętej AWZ 1012/72.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, w szczególności następców prawnych Mariana Guzika, s. Jana i Katarzyny, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i udowodnili swe prawo własności, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Słubicach I Wydział Cywilny toczy się postępowanie w sprawie o sygnaturze akt I Ns 333/21 z wniosku Alfreda Puchalskiego o stwierdzenie nabycia spadku po Władysławie Wieczorku synu Jana i Marii, urodzonym 28.01.1922 r., zmarłym 30.04.2002 r. w miejscowości Seringes-et-Nesles we Francji, którego ostatnim miejscem zamieszkania było Seringes-et-Nesles we Francji.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy zgłosili i udowodnili swojego prawo do spadku w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku w. skład spadku wchodzi udział w nieruchomości składającej się z działek o numerach ewidencyjnych 401 i 387 położonej w Rzepinie przy ul. Ks. Kusiaka 6, dla której Sąd Rejonowy w Słubicach prowadzi księgę wieczystą Gwls/00002508/0.



Jedna z bram wejściowych do białostockiego getta od ul. Kupieckiej, obok ul. Icchaka Malmeda

80. rocznica powstania w getcie białostockim

JOANNA SADOWSKA, HISTORYCZKA:

Plan powstania był racjonalny. Na pokonanie Niemców nie było szans. Chodziło o to, żeby wyprowadzić jak najwięcej ludzi. Wiele miało nadzieję, że uda się przetrwać do nad ejścia Armii Czerwonej.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jaką rolę w dziejach Białegostoku odegrali jego żydowscy obywatele?

JOANNA SADOWSKA: Historia białostockich Żydów jak w soczewce skupia wszystkie problemy społeczności żydow-

skiej w przedwojennej Polsce. Kiedyś stanowili większość wśród obywateli miasta, potem została ich garstka. Niestety, w powojennych dekadach pamięć o nich była słaba, dopiero dziś powoli ją odyskujemy. Pod tym względem stolica Pod-

lasia jest nawet ciekawszym przykładem niż Warszawa, gdzie w liczbach bezwzględnych przed wojną Żydów było bez wątpienia więcej, ale byli mniejszością.

O jakim procencie mówimy?



→ Pod koniec XIX wieku Żydzi stanowili aż 79 proc. obywateli miasta. Mieli więc ogromne znaczenie dla rozwoju całego regionu. Białystok nie był częścią Królestwa Polskiego, leżał w granicach samego Cesarstwa Rosyjskiego. Nie istniała bariera celna z resztą imperium, dlatego miasto szybko stało się ważnym ośrodkiem przemysłowym. Powstawały fabryki – żydowskie, polskie, niemieckie i rosyjskie. Za pracą przyjeżdżało tu dużo ludzi, głównie robotników pochodzenia żydowskiego. W Rosji obowiązywały ograniczenia dla Żydów w kwestii osiedlania się, ale nie obejmowały one Białegostoku. Zjeżdżali więc tu Żydzi z całej Rosji.

Zupełnie inna dynamika społeczna.

Żydzi nie czuli tu żadnej presji, aby się polonizować. Wielu z nich mówiło wyłącznie po rosyjsku i w jidysz, polskiego nie znali. W ogóle niespecjalnie wiedzieli, czym jest Polska. Społeczność ta była nie tylko liczna, ale również wyjątkowo zwarta i świetnie zorganizowana, chyba najlepiej ze wszystkich polskich miast tamtego czasu. Zamożni Żydzi, kapitaliści-fabrykanci, bardzo poczuli się do działalności charytatywnej i społecznej. W Białymstoku prężnie funkcjonowały szpitale, przytułki, szkoły, instytucje kulturalne czy ośrodki sportowe. Istniała nawet żydowska straż pożarna.

Skąd taka aktywność?

Nie chodziło o kwestie etniczne, tylko pragmatyczne. Fabryki włókiennicze, wówczas w ogromnej większości żydowskie, wymagały sprawnej ochrony przeciwpożarowej, a ta państwowa była mało efektywna. Można więc powiedzieć, że był to osobny, autonomiczny świat. Do tego polskie mieszczaństwo było nie liczne i mało znaczące, stąd też interakcje były niewielkie.

Czyli na przełomie XIX i XX wieku Białystok był de facto miastem żydowskim?

Z wielu źródeł historycznych, które czytałam, wynikało wprost, że Białystok był ważniejszy dla Żydów niż dla Polaków. Ta czuła pamięć trwa do dziś.

Jak wyglądała sytuacja polityczna i społeczna w międzywojniu?

Białystok był endecki, ale z ulgą moge powiedzieć, że źródła nie odnotowują żadnych poważniejszych ekscesów antysemickich w tamtym okresie. W latach 30. pojawiały się wrogie hasła, napisy na murach, zdarzało się wybijanie szyb, ale chyba nic poza tym.

Z czego to wynikało?

Zapewne ze skutecznego przeciwdziałania ze strony władz miejskich, a także tego, że Polacy byli tuż przed wojną większością, ale niewielką. Według danych ze spisu powszechnego z 1931 r. w Białymstoku mieszkało prawie 40 tys. Żydów, co stanowiło blisko 50 proc. ogółu i było najwyższym odsetkiem ze wszystkich dużych miast II RP. Dla porównania w Warszawie było ich 300 tys., ale stanowili tylko trzecią część mieszkańców.

Jaki był ich stosunek do Polski?

Początkowo niechętny, bo idea polskości była mało popularna. Wielu Żydów wolało raczej pozostać w Rosji, ponieważ tamten świat był im bardziej znany. Stopniowo się to jednak zmieniało, dominowała postawa lojalności wobec Warszawy. Z kolei lokalne władze, żeby poprawić pozycję Polaków w radzie miasta, rozszerzyły granice administracyjne Białegostoku, aby w ich obrębie znaleźli się także mieszkańcy okolicznych wsi, w zdecydowanej większości polscy chłopcy.

Co się stało, gdy wybuchła II wojna światowa?

Znowu: Białystok różni się pod tym względem od pozostałych dzisiejszych miast wojewódzkich, bo jako jedyny znalazł się w 1939 r. pod okupacją sowiecką. Miną dwa lata, zanim pojawią się w nim Niemcy. W tym czasie ludność cywilna zaczęła już inaczej postrzegać tę wojnę. W 1939 r. do Białegostoku trafiło wielu uchodźców, którzy bali się nazistów – Żydów z pozostałej części Polski, ale też artystów, lewicowych polityków – w ten sposób liczba żydowskich mieszkańców niemalże się podwoiła. Podobnie było w Wilnie i Lwowie.

Jaki był wtedy stosunek Żydów do sowieckich władz?

Z pewnością tam nie groziło im żadne poważne niebezpieczeństwo, więc

trudno się dziwić, że z dwójga złego woleli okupację sowiecką. Dodatkowo komuniści, w ramach antysanacyjnej propagandy, przechwalali się, że świetnie dbają o mniejszości narodowe i etniczne. Dlatego faworyzowani byli Białorusini i Żydzi właśnie. Oczywiście sytuacja mogła wyglądać radykalnie inaczej w zależności od klasy społecznej – żydowscy przemysłowcy zostali wywłaszczeni, podobnie jak co zamożniejsi rzemieślnicy i przedsiębiorcy. Wielu z nich zostało wywiezionych na Syberię. Smutnym paradoksem historii jest to, że w ten sposób większość ocalała przed Zagładą.

Od rozpoczęcia operacji

„Barbarossa” do zajęcia Białegostoku przez armię niemiecką minęło kilka dni – jak wtedy wyglądała sytuacja?

To był czas dramatycznych decyzji, które trzeba było podejmować błyskawicznie. Wielu Żydów uważało, że powinni uciekać w głąb Rosji. W praktyce jednak decydowali się na to głównie mężczyźni, bo matki z dziećmi oraz osoby starsze bały się ciężkiej podróży. Liczyli, że naziści obejdą się z nimi łagodnie. 27 czerwca do miasta wkroczyły wojska niemieckie i od razu pokazały swoje prawdziwe oblicze. 800 mężczyzn i chłopców spędzili do Synagogi Wielkiej, po czym ją podpalili. Przy okazji wznieśli pożar, w którym spłonęły doszczętnie dwie duże dzielnice żydowskie – Chanajki i Shulhof. To było pierwszego dnia, kolejnego zastrzelono tysiąc osób. Błyskawicznie utworzono też getto.

Ile znalazło się w nim osób?

W zależności od momentu mieszkało tam od 50 do 60 tys. ludzi. Zwożono tam Żydów z całego regionu, aczkolwiek nie było to jedyne getto na Podlasiu. Przed wojną w województwie białostockim mieszkało 200 tys. Żydów.

Jak wyglądały warunki życia w białostockim getcie?

Były oczywiście trudne, ale nie tragiczne. Zarządzający nim Judenrat przyjął założenie, że najważniejsze jest utrzymywanie ludzi przy życiu – tak długo, jak będzie to możliwe. W tym celu getto miało być możliwie produktywnie i potrzebne Niemcom. Dlatego też w jego granicach znalazły się zarówno dzielnice miesz-



Żydzi idący ul. Lipową do getta, ostatnie dni lipca 1941 r.

kalne, jak i przemysłowe. Tworzono też nowe warsztaty – każdy pracował, jak mógł.

Białystok specjalizował się w przemyśle włókienniczym. Produkowano różne rzeczy, od najtańszych materiałów, przez ubrania dla armii, aż po towary luksusowe, na przykład galanterię skórzaną. Niektórzy historycy pisali, że Białystok stał się wtedy jednym wielkim obozem pracy. Co ciekawe, zaangażowano także wielu artystów.

W jakim celu?

Grupa plastyków i malarzy zaproponowała niemieckim władzom, że mogą wytwarzać dla nich wysokiej jakości kopie znanych dzieł sztuki. Oskar Steffen, oficer wojska, ale przede wszystkim rzutki przedsiębiorca, zwietrzył w tym świetny interes. W jego stolarni utworzono olbrzymi zakład malarski, tzw. komando kopistów. Dostarczał swoim pracownikom najlepsze dostępne przybory i materiały plastyczne. W ten sposób znalazło zatrudnienie 19 malarzy, niektórzy z nich byli podówczas znanymi artystami, między innymi Izaak Celnikier, Gina Frydman czy Tobiasz Haber.

Ile powstało w ten sposób obrazów?

Nie wiemy dokładnie, ale co tydzień przyjeżdżała do warsztatu duża ciężarówka po ich odbiór. Musiały to być tysiące. Nie wiemy też, czy były sprzedawane, najprawdopodobniej wiele z nich

rozdzano jako nagrody różnym oficielom III Rzeszy. W sumie musiały być warte miliony. W sierpniu ukaże się opowiadająca tę historię książka „Kopiści białostockiego getta” pióra Leny Makarowej.

Politykę Judenratów po wojnie oceniano różnie.

Pojawiały się głosy oskarżające ich o zdradę, ale w moim odczuciu nie mamy prawa do takich ocen. W białostockim getcie życie było relatywnie znośne, nie było dotkliwego głodu, nie szerzyły się choroby. Nawet przez jakiś czas grupa Żydów przemyślała żywność dla sowieckich jeńców. Pisał o tym historyk Szymon Datner, który uciekł z getta i potem działał w żydowskiej partyzantce na Podlasiu. W 1946 r. wydał książkę „Walka i zagłada białostockiego getta”. To między innymi dzięki niemu wiemy tak wiele o tamtych wydarzeniach.

Kiedy w getcie zaczął działać ruch oporu?

Bardzo wcześnie, ale na początku była to nieliczna grupa młodzieży. Co ważne, byli oni przedstawicielami najróżniejszych opcji politycznych: komuniści, socjaliści oraz syjoniści. Długo toczyli spory o to, co mają właściwie robić. Jedna frakcja była za tym, żeby uciekać i walczyć w lasach – osłabiać Niemców i czekać na Sowietów. Wyjść z białostockiego getta było, w porównaniu z warszawskim, relatywnie łatwo, bo nie otaczał go mur, tylko

plot, do tego nie aż tak pilnie strzeżony. Granicą getta z jednej strony były tory, za nimi zaczynały się już zabudowania podmiejskie, a tam łatwiej było się ukryć.

W ten sposób do wybuchu powstania uciekło w sumie ponad sto osób. Co ciekawe, niektórzy z nich wracali do getta, żeby się najeść, bo w lasach cały czas panował głód. Partyzantka żydowska, w przeciwieństwie choćby do AK, nie miała żadnego oparcia w lokalnej ludności, musiała sobie radzić sama. A druga frakcja postulowała, żeby zostać i bronić najsłabszych, do samego końca.

Kiedy rozpoczęła się likwidacja?

Na pierwszy ogień poszły mniejsze getta w okolicznych miejscowościach. Większość ludzi z nich trafiła do Treblinki. Getto białostockie przetrwało długo, bo do jesieni 1943 r., dłużej istniało tylko Łódźkie. Pierwsza, trwająca tydzień próba likwidacji nastąpiła w lutym 1943 r. Wtedy wywieziono 6 do 10 tys. ludzi. Szybko jednak zatrzymano akcję. Zapewne za sprawą niemieckich przedsiębiorców, którzy czerpali duże zyski z niewolniczej pracy Żydów.

16 sierpnia zaczęła się ostateczna likwidacja. Rankiem tego dnia kordon SS-maków otoczył getto. Członkowie ruchu oporu łudzili się, że dzięki swoim kontaktom zostaną wcześniej ostrzeżeni, tak się jednak nie stało. Po akcji z lutego bojownicy – tak ich wtedy nazywano – opracowali plan działania na taką ewentualność. →

→ Niestety, nie było czasu, żeby go zrealizować. Niektórzy, ze względu na znikomą skalę walki, nie chcą w kontekście białostockiego getta używać słowa „powstanie”. W tamtych dniach pod bronią znalazło się w szczytowym momencie najwyżej 300 osób na 40 tys. mieszkańców. Jednak uważam, że myślenie w tych kategoriach nie ma sensu. Powstania w gettach to wydarzenia bezprecedensowe i wyjątkowe, nie chodziło w nich o osiągnięcie militarnych celów.

Co zakładał plan białostocki?

Był racjonalny. Na pokonanie Niemców nie było szans. Chodziło raczej o dywersję, dzięki której udałoby się jak najwięcej ludzi wyprowadzić z getta. Tymczasem przemycano broń, kto mógł, produkował też własną, ale nie było tego dużo. Na wzór warszawski szykowano też kryjówki, czemu sprzyjała częściowo podmiejska zabudowa Białegostoku. Wykorzystywano strychy, studnie, budynki gospodarcze. Wielu miało nadzieję, że w ten sposób uda się przetrwać do nadejścia Armii Czerwonej.

Wróćmy do 16 sierpnia – daty symbolicznej. Tego też dnia w Białymstoku odbędą się obchody 80. rocznicy powstania.

Oddziały SS złożone z Niemców, ale też Ukraińców, Białorusinów i Łotyszów otoczyły getto, żądając, aby wszyscy ustawili się wzdłuż ulicy Jurowieckiej, z któ-

rej mieli zostać doprowadzeni do miejsca zbiórki na podmiejskich łąkach, a potem do pociągów. Większość ludzi się podporządkowała, reszta się ukryła albo ruszyła do działania. W pierwszej kolejności chciano podpalić fabryki, żeby stworzyć zamieszanie. Tu i ówdzie faktycznie zapłonęły pojedyncze budynki. Niestety, nie udało się tego zrobić na większą skalę, bo akcja nie mogła być prowadzona zgodnie z planem. Zaskoczenie i brak czasu sprawiły, że poszczególne grupy działały na własną rękę.

Niemcy wykorzystali doświadczenia z tłumienia powstania w getcie warszawskim?

Niestety tak. Sprawnie przeszukiwali kolejne kamienice i domy, odnajdując większość przygotowanych wcześniej kryjówek. Sami też zaczęli podpalać budynki, co do których podejrzewali, że mogą być punktami oporu. Ostatecznie getto stanęło w płomieniach, ale za ich sprawą. Przez kilka następnych dni trzymano wszystkich mieszkańców w strasznych warunkach pod gołym niebem, aby potem wywieźć ich do Treblinki. W tym czasie nieliczne grupki bojowców stawiały opór, ale ostatecznie nie miało to większego znaczenia dla całej akcji.

Niektórym ludziom udało się jednak ukryć.

Tak, przez kilka tygodni próbowali przetrwać na ruinach getta. Niemcy jed-

nak bacznie patrolowali cały teren, skutecznie ich wyłapując. Niektórzy podają, że walki w getcie trwały do 20 sierpnia, inni, że do 30 albo nawet do 15 września.

Skąd ta rozbieżność?

Chodzi o różne definiowanie tego, co można uznać za wciąż trwające powstanie. Z każdym dniem walczących było coraz mniej, coraz rzadziej padały strzały. W każdym razie 20 sierpnia dwaj przywódcy powstania – Mordechaj Tenenbaum i Dawid Moszkowicz – popełnili samobójstwo, a schron, gdzie mieściło się dowództwo, został zdobyty. Zresztą nie tylko oni się zabili. Powstańcy, nauczeni doświadczeniem z Warszawy, wiedzieli, że każdy powinien mieć przy sobie truciznę.

Jak można by podsumować te heroiczne działania?

O ile w Warszawie powtarzano przede wszystkim, że chodzi o godność, o to, żeby nie iść pokornie na rzeź, tylko umrzeć z bronią w ręku, o tyle w białostockim getcie panowała nadzieja, że będzie szansa część ludzi uratować – setki, może tysiące. Niestety, ostatecznie udało się prawdopodobnie tylko kilkadziesiąt osób. Część z tych, których wyciągano z kryjówek, nie zabijano na miejscu, tylko zamykano w miejskim więzieniu, a potem wysyłano do obozów.

Niektórym udało się w ten sposób dożyć do nadejścia Sowietów 27 lipca 1944 r. Na terenie samego getta prze-

PRZY OKAZJI ROCZNICY

powstania w białostockim getcie warto sięgnąć po wznowiony dwa lata temu „Pamiętnik” Dawida Szpiro. To niezwykły dokument autorstwa młodego mężczyzny żydowskiego pochodzenia, który w momencie rozpoczęcia wojny miał 17 lat. Pierwsze wpisy datowane są na 18 grudnia 1939 r., urywają się zaś nagle 12 lipca 1943 r., kilka tygodni przed wybuchem powstania w getcie. Nie są znane dalsze losy ich autora. Nastoletni syn białostockich fabrykantów opisuje to, co widzi dookoła – najpierw rodzinne miasto zajmowane przez

Sowietów, później przechodzące w ręce Niemców, z miesiąca na miesiąc coraz bardziej przerażające, pełne przemocy i śmierci. Młody Dawid, którego życie legło w gruzach zanim na dobre zdążyło się zacząć, próbuje się w tym wszystkim odnaleźć. Szuka pracy, pomaga innym, dojrzewa – ale przede wszystkim próbuje przeżyć. „Czy jeśli ktoś będzie czytał mój pamiętnik, to będzie mógł uwierzyć w coś podobnego, na pewno nie, powie: banialuki i fantazja, ale to prawda ohydna i okropna, dla mnie rzeczywistość...”.



■ Dawid Szpiro

PAMIĘTNIK / DIARY

przełożona z języka rosyjskiego Aneta Szekalska, przekład na język angielski Konrad Pormańczuk, opracowanie i redakcja Dawid Bujno, Galeria im. Śleńdzińskich w Białymstoku, 2021

Osobom zainteresowanym historią białostockich Żydów i dramatycznymi wydarzeniami w getcie polecamy publikację historyczną „Kres świata białostockich Żydów” autorstwa Daniela Boćkowskiego, Ewy Rogalewskiej i Joanny Sadowskiej (Muzeum Wojska w Białymstoku, 2013), „Moja gwiazda” Felicji Raszkina-Nowak (Trans Humana, 2008) albo książki przygotowane w roku obchodów, „Ostatni Białystoker” Marty Sawickiej-Danielak czy „Kopiści. O zapomnianych artystach białostockiego getta” Eleny Makarowej.

trwało ledwie kilka osób, na terenie całego miasta około dwustu. Zapewne jeszcze kilkadziesiąt w okolicznych miejscowościach. Ilu ludzi w sumie przeżyło dzięki powstaniu? Kilkuset – nie poznamy już dokładnej liczby. Czy to dużo? Nie wiem, myślę, że to źle postawione pytanie.

Co zostało z getta po wojnie?

Praktycznie same ruiny. Jak zanotowała jedna z ocalałych, w mieście przetrwały niemalże wyłącznie kominy i śmietniki.

Dlaczego śmietniki?

Bo władze sanacyjne bardzo dbały o czystość i higienę – wszyscy kojarzymy sławojki, ale były też przepisy nakazujące budowę przydomowych śmietników z cementu. I okazały się one najtrwalszymi budynkami w getcie, które przed wojną było raczej ubogą, drewnianą dzielnicą, szczególnie w części leżącej poza ścisłym centrum miasta.

Jak po wojnie potoczyły się losy ocalałych Żydów?

Naturalnym odruchem był powrót do rodzinnego miasta. Jednak w większości przypadków reakcja była podobna – przerażenie i chęć ucieczki. Białystok, szczególnie część żydowska, był bardzo zniszczony, nikogo z bliskich i znajomych nie było. Domy, które ocalały, szybko zasiedlali Polacy. Morze ruin, nie dało się w nich rozpoznać przedwojennego miasta. „Nie chcę mieszkać na cmentarzu” – to zdanie często powtarza się w relacjach z tamtego okresu.

Jaki był wybór?

Na początku 1945 r. na ziemiach zajętych przez Sowieców zaczęły działać pierwsze organizacje żydowskie, które próbowały oszacować ogrom tragedii i skalę zniszczeń. Jedną z komisji wizytujących Białystok stwierdziła, że nie ma tam już miejsca dla Żydów, że ocalańcy muszą poszukać sobie nowego domu. Te kilka procent populacji – zazwyczaj jedyni pozostali przy życiu

członkowie dużych rodzin – starało się trzymać razem. Dlatego wyjeżdżali na przykład do Łodzi albo na tzw. ziemie odzyskane. Oczywiście opcją pozostawał także wyjazd do Izraela.

Jak wyglądała pamięć o Żydach w Białymstoku po wojnie?

Ostatecznie zostało ich w mieście niewiele, około 1500 w szczytowym momencie, ale wiązało się to z napływem repatriantów z terenów ZSRR. Jednak ci zatrzymali się w mieście jedynie na chwilę. Po wojnie w Białymstoku nie doszło do żadnego pogromu, ale tragiczne wydarzenia w Kielcach w 1946 r. były dla wielu jednoznacznym sygnałem, że w powojennej Polsce nie ma dla nich miejsca. Gdy większość wyjechała, pamięć przepadła.

Sama, będąc rodowitą białostczanką, dopiero gdy jako dorosła osoba zainteresowałam się historią, odkryłam żydowską przeszłość miasta. Jej śladów pozostało niewiele. Ta zbiorowa amnezja ma po części swoje historyczne uzasadnienie – po wojnie Białystok masowo zasiedlali ubodzy chłopcy, którzy inaczej patrzyli na świat i historię. Zostało niewielu pamiętających dawne miasto. Dlatego też pamięć o białostockich Żydach trzeba było zbudować niemalże od zera. W ostatnich latach dzieje się w tej kwestii wiele dobrego, co daje nadzieję, że Białystok w końcu doceni swoich dawnych obywateli, tak jak na to zasługują.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI



ARCHIWUM PRYWATNE

JOANNA SADOWSKA jest badaczką najnowszej historii Polski, profesorem Uniwersytetu w Białymstoku. Jej zainteresowania obejmują życie społeczno-polityczne w II Rzeczypospolitej i Polsce powojennej. Autorka i współautorka książek: „Ku szkole na miarę Drugiej Rzeczypospolitej. Geneza, założenia i realizacja reformy Jędrzejewiczowskiej”, „Historia Białegostoku” i „Kres świata białostockich Żydów”.



BIAŁYSTOK 1943
100. ROCZNICA POWSTANIA W GETCIE BIAŁOSTOCKIM

Program obchodów

16 SIERPNIA

- 12.00** Rozpoczęcie obchodów, pl. Mordechaja Tenenbauma
- 14.00** Odświeżenie Stolpersteinów (kamieni pamięci) poświęconych rodzinie Samuela Pisara, chodnik przy ul. Dąbrowskiego 20
- 16.00** Koncert Moniki Horodek oraz Anny Jagielskiej-Riveiro, aula Pałacu Branickich, ul. Kilińskiego 1
- 17.30** Dyskusja wokół książki „Z krwi i nadziei” Samuela Pisara, Muzeum Pamięci Sybiru, ul. Węglowa 1
- 20.30** Plenerowy spektakl „Skrzypek na dachu” Teatru Żydowskiego im. Estery Rachel i Idy Kamińskich w Warszawie, Rynek Kościuszki

17 SIERPNIA

- 18.00** Spotkanie z Benem Midlerem, bohaterem książki „Ostatni Białostoker” i jej autorką Martą Sawicką-Danielak, Białostocki Ośrodek Kultury, ul. Warszawska 19
- 19.00** Wernisaż wystawy Zuzanny Hertzberg „Mechica”, Galeria Arsenał w Białymstoku, ul. Mickiewicza 2
- 19.30** Koncert Di Galitzyaner Klezmerim, pl. Jana Pawła II

18 SIERPNIA

- 17.00** Spacer historyczny „Powstanie w białostockim getcie”, zbiórka przy tablicy w miejscu bramy getta przy ul. Jurowieckiej

20 SIERPNIA

- 17.00** Koncert Podlaskiej Orkiestry Salonowej i Alicji Grabowskiej „Serenada in memoriam”, dyryguje: Victoria Zhadko (Ukraina), sala Kina Forum, ul. Legionowa 5
- 18.00** Spotkanie wokół książki „Kobiety w białostockim getcie” Adama Czesława Dobrońskiego, Białostocki Ośrodek Kultury, ul. Warszawska 19
- 21.00** „Światło pamięci” (w rocznicę zakończenia akcji likwidacyjnej białostockiego getta), tory kolejowe w pobliżu dawnego Dworca Poleskiego

Więcej informacji o wydarzeniach:

www.bialystok.pl

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 33/2023
REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
OPIKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
FOTOEDYCJA: Jacek Taran | SKŁAD: Andrzej Leśniak

Białystok

KIEDY ŻYCIE BYŁO PROSTSZE

PROF. JERZY DZIK, PALEOBIOLOG:

Gdy pracowałem na materiale dewońskim, sprzed blisko 400 mln lat, miałem chyba 240 tysięcy okazów. Ale to wciąż było za mało, żeby uzyskać pełen obraz przebiegu ewolucji. Opisałem tylko niektóre linie.

ŁUKASZ LAMŻA: Czym właściwie paleobiolog różni się od paleontologa?

JERZY DZIK: Zadaniem paleobiologa jest „wyciągnięcie z kamienia” informacji o tym, jak wyglądało i żyło to zwierzę czy roślina, która się w kamieniu znalazła. Ale nie wszystkich to zajmuje. Klasyczna paleontologia ogranicza się do kontekstu geologicznego – w jaki sposób osad się formował i jak określić jego wiek na podstawie skamieniałości – albo tafonomicznego – w jaki sposób w osadzie przekształconym w skałę z kości i tkanek miękkich powstała skamieniałość. Jednak dla mnie paleobiologia to w zasadzie synonim paleontologii.

A co Pana w niej najbardziej pociąga?

To, co się odnosi do przebiegu ewolucji na poziomie zmian populacyjnych. Chcę wiedzieć, jak naprawdę przebiegała ewolucja. Nie: co ludzie o tym sądzą – tylko jak było naprawdę i jak zostało utrwalone w zapisie kopalnym. Zajmowałem się różnymi grupami organizmów kopalnych, ale za każdym razem z nadzieją, że dadzą mi dostęp do rzeczywistego obrazu ewolucji.

Mamy błędne wyobrażenie o przebiegu ewolucji?

Wielu badaczy chce przede wszystkim opisywać nowe gatunki. To się wiąże z klasyfikacyjnym podejściem do świata. Nasz umysł lubi klasyfikację, natomiast nie lubi ciągłości. Ewolucja tymczasem jest ciągła, jej kolejne stadia płynnie przechodzą w siebie. Nasze przyzwyczajenia są więc wystawiane na ciężką próbę.

Jest jeszcze drugi powód: nieprzewidywalność ewolucji. Na podstawie wiedzy o jakichś skamieniałościach nie mogę powiedzieć, co się później stanie w toku ewolucji z grupą organizmów, którą te skamieniałości reprezentują.

Może urosną, może zmaleją. Może się im pojawią dodatkowe nogi, a może jednak nogi zanikną.

Można szukać ogólnych trendów. Na przykład wydaje się, że wraz z upływem czasu geologicznego ewolucja wprowadza do świata żywego porządek.

Porządek? Spodziewałem się odpowiedzi, że wprowadza złożoność.

Zwykle staramy się odtworzyć wspólnego przodka pokrewnych organizmów poprzez wskazanie cech wspólnych dla tych jego potomków. Ale to oznacza, że inne cechy, które nasz przodek miał, niejako znikają – nieuchronnie nasz przodek hipotetyczny staje się anatomicznie

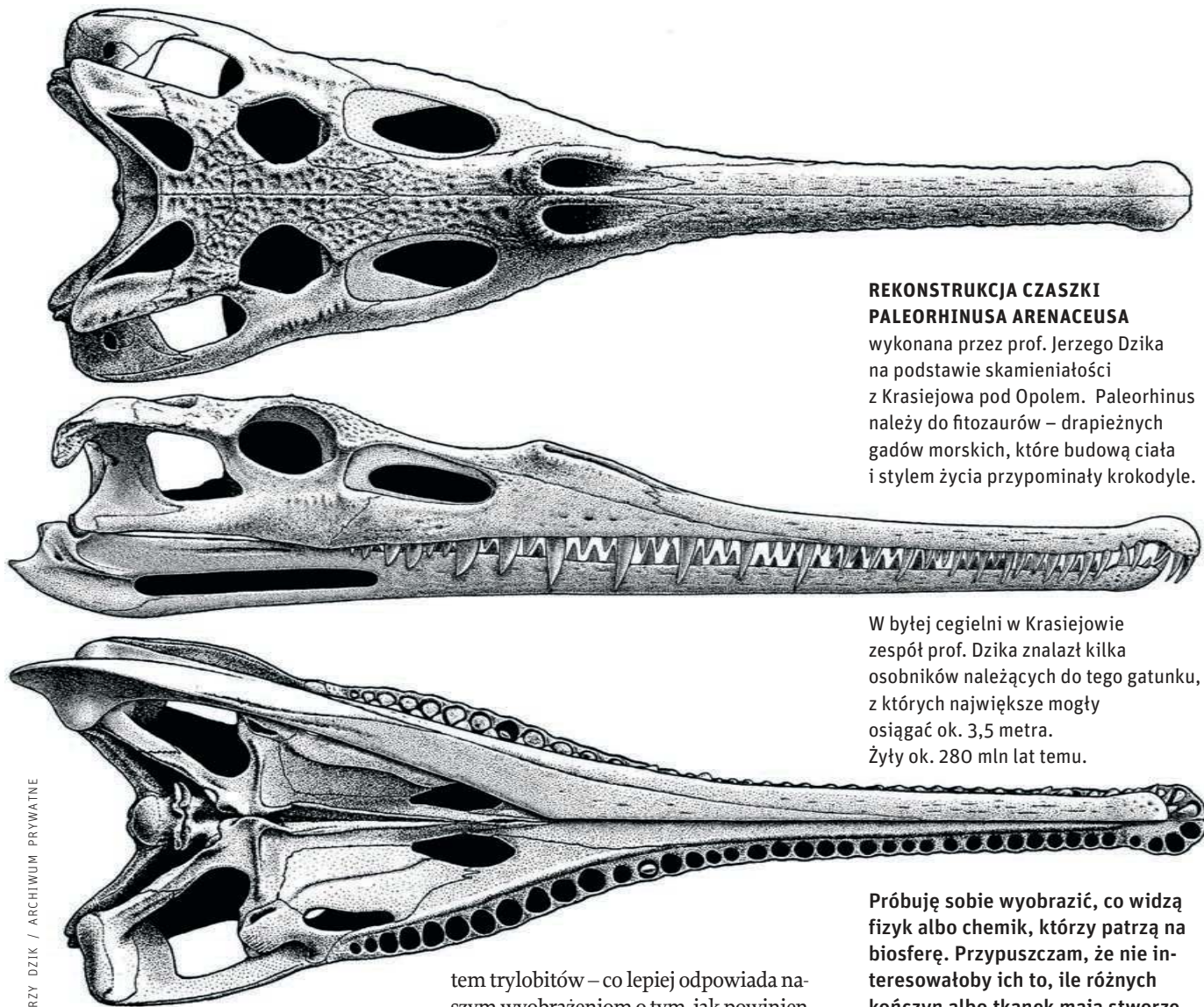
prosty. Ale to jest fałszywy punkt widzenia, ponieważ do dzisiaj przetrwały tylko niektóre cechy po przodkach. Jak tak naprawdę nasz przodek wyglądał, dowiemy się tylko z zapisu kopalnego.

Nie ma czegoś takiego jak mityczne „zwierzę prymitywne”?

Gdy przeglądam dane paleontologiczne, to nie widzę, by najdawniejsze organizmy były proste. Jedne z pierwszych dobrze zachowanych zwierząt należą do tzw. fauny ediakarskiej. To termin odnoszący się do odcisniętych w skałe śladów zwierząt pozbawionych mineralnego szkieletu sprzed ponad 550 milionów lat, zatem sprzed okresu kambryjskiego. Choć oczywiście pradawne, zwierzęta ediakarskie wcale nie były małe. Największe sięgały około metra długości. Nie były mniej skomplikowane niż dzisiejsze organizmy.

Czyli współczesne nam życie nie musi być bardziej złożone od tego sprzed milionów lat?

Powinniśmy spróbować to zrozumieć od strony funkcjonalnej: jak te organizmy działały. Należałoby zacząć od ich początku. Nie potrafimy wyobrazić sobie życia sprzed miliardów lat, jeszcze sprzed powstania zwierząt, roślin czy innych istot wielokomórkowych: prawdo-



REKONSTRUKCJA CZASZKI PALEORHINUSA ARENACEUSA

wykonana przez prof. Jerzego Dzika
na podstawie skamieniałości
z Krasiejowa pod Opolem. Paleorhinus
należy do fitozaurów – drapieżnych
gadów morskich, które budową ciała
i stylem życia przypominają krokodyla.

W byłej cegielni w Krasiejowie
zespół prof. Dzika znalazł kilka
osobników należących do tego gatunku,
z których największe mogły
osiągać ok. 3,5 metra.
Żyły ok. 280 mln lat temu.

tem trylobitów – co lepiej odpowiada naszym wyobrażeniom o tym, jak powinien wyglądać świat kambryjski. Ale decymetrowych rozmiarów pranieśporczaki?

Więc na czym miałyby polegać rosnące uporządkowanie świata?

I to jest właśnie najtrudniejsze pytanie: do czego się odnosi ta prostota lub komplikacja w przypadku organizmów żywych? Nie może się odnosić do potocznie rozumianej złożoności organizmów, bo zarówno organizmy złożone, jak i proste muszą doskonale funkcjonować, skoro nie wymarły. Najprostsze robaki radzą sobie w środowisku naturalnym równie dobrze jak słonie.

Na czym więc polega postęp w biologii? Moim zdaniem polega on na tym, co jest funkcjonalnie istotne w obiekcie żywym, a to można rozpoznać tylko łącząc organizm ze środowiskiem. A więc powinniśmy patrzeć nie tyle na złożoność anatomiczną czy fizjologiczną, lecz na efektywność działania układu organizm-środowisko.

Próbuję sobie wyobrazić, co widzą fizyk albo chemik, którzy patrzą na biosferę. Przypuszczam, że nie interesowałoby ich to, ile różnych kończyn albo tkanek mają stworzenia. Skupiliby się raczej na takich rzeczach jak ciepło, metabolizm, produkowane związki chemiczne, przetwarzanie pokarmu.

Można postawić pytanie, czy w toku ewolucji wzrasta efektywność wykorzystania materii i energii środowiska? Ja wierzę, że wzrasta. Są jednak badacze, którzy twierdzą, że właściwie od czasu kambryjskiego nic pod tym względem się nie zmieniło.

Tylko jak zmierzyć efektywność funkcjonowania życia?

Nie ma sposobu, żeby to ocenić. Tego nikt nie potrafi zmierzyć. Co gorsza, mało kto próbuje w ogóle do tego dotrzeć. W dzisiejszej paleontologii czy biologii systematycznej nie ma zainteresowania tego typu pytaniami o głęboki sens funkcjonowania świata ożywionego. Dominuje podejście klasyfikacyjne: mamy świat poklasyfikować, przyporządkować różne gałęzie drzewa rodowego do siebie, →

podobnie były to jakoś uporządkowane agregaty cząsteczek kwasów nukleinowych samopowielających się na podłożu mineralnym. Nie wiemy, jaki był metabolizm tych organizmów. Może on był już wtedy całkiem złożony?

Złożoność może też przejawiać się w nieoczywisty sposób na poziomie ekosystemów. Gdy poznaliśmy lepiej zwierzęta kambryjskie bez szkieletów mineralnych, takie jak z łupku Burgess na terenie Kanady czy z Chengjiang w chińskiej prowincji Yunnan, żyjące ponad 500 mln lat temu, okazało się, że wtedy bardzo zróżnicowane były robaki obłe, żebroplawy oraz przodkowie dzisiejszych mikroskopijnych niesporczaków. To były dziesiątki współwystępujących gatunków w jednym miejscu, w jednym stanowisku kopalnym, co znaczy, że na całym ówczesnym świecie były ich tysiące. W zapisie kopalnym kambru jest mnóstwo opatrzonych wapiennym szkiele-

→ żeby z tego coś się uformowało. Natomiast jakie jest tego znaczenie funkcjonalne? To już mało kogo obchodzi.

Spróbujmy cofnąć się do początku.

Co wiemy o najstarszych śladach życia?

W miarę bezpieczny grunt do rozważań sięga okresu kambryjskiego, około 550 mln lat temu. Jego początek geolodzy wyznaczyli na moment pojawienia się nor zwierząt morskich zdolnych do drążenia stosunkowo związłego mułu. Dno pokryte było dotąd matami sinicowymi, czyli śluzową powłoką różnych gatunków bakterii. Maty te trudno było spenetrować, ponieważ pod spodem był toksyczny siarkowodor. Zwierzęta przebijające maty mikrobialne drażniły horyzontalne korytarze, ale odżywiały się na powierzchni. Ich ryjki służyły do zbierania pokarmu z maty.

Znacznie później potomkowie tych stworzeń zaczęli wykorzystywać substancję organiczną z wnętrza osadu (niczym dzisiejsze dżdżownice). Pytanie, po co na początku wydawały tyle energii, żeby drążyć kanał, skoro to nie służyło do pozyskiwania energii? Pożywienie było przecież na powierzchni osadu. Jest jedna sensowna odpowiedź.

Chowały się przed czymś.

Przed drapieżnikami. W tym samym czasie pojawiły się pierwsze organizmy ze szkieletami mineralnymi. Nazwałem to kiedyś „syndromem Verdun”: albo do okopów, albo do tanków. Stąd równoczesny rozwój rycia w osadzie i twardych pancerzy. To był czynnik, który spowodował rewolucję, ponieważ przy okazji doprowadziło to do zniszczenia mat sinicowych i natlenienia mułu na coraz większą głębokość.

Pomówmy może jeszcze chwilę

o tym życiu ediakarskim: to pierwsza „duża” fauna, którą umiemy nieźle zrekonstruować.

Wspomniana wcześniej fauna ediakarska pojawiła się być może już 600 mln lat temu, a rozkwitła przed około 560 mln lat. Najślawniejsze znaleziska pochodzą z miejscowości Ediacara na południu Australii. Głównym składnikiem tej fauny były zwierzęta przypominające dzisiejsze pióra morskie zakotwiczone dyskowatymi przylgami w macie sinicowej.

W odróżnieniu od prawdziwych piór morskich – czyli kolonijnych koralowców – ich ciało było gładkie i pozbawione jakichkolwiek otworów. Skoro nie miały gęby ani odbytu, spekuluje się, że wewnątrz miały symbiotyczne bakterie odżywiające się siarkowodorem. Prawdopodobnie zatrucie środowiska mat sinicowych było przyczyną masowej śmierci rozmaitych zwierząt ediakarskich o dwubocznej symetrii ciała, które zdychały po wykonaniu na macie serii podskoków. Zapewne do lagun z matami sinicowymi wrzucały je fale sztormowe.

Ale to wciąż tylko 600 milionów lat... A życie powstało być może nawet 4 miliardy lat temu.

To nie jest wcale takie oczywiste. Ja jestem paleontologiem i zawsze pytam: w jaki sposób miałby się zachować pradawny organizm? Abyśmy mogli natrafić na jego ślad, potrzebna jest jakaś struktura szkieletowa, która ulegnie skamienieniu. Co najmniej jakieś polimery w ścianie komórkowej. Najstarsze, bezdyskusyjne ślady uwęglonych ścian komórkowych liczą sobie jedynie dwa miliardy lat. I nie ma mocnych dowodów paleontologicznych na to, że życie istniało wcześniej.

Owszem, znamy pewne drobne, kuliste struktury takiej wielkości jak komórki bakterii. Nie ma jednak sposobu, by odróżnić kulistą strukturę pochodzenia organicznego od kulistej struktury pochodzenia nieorganicznego. Geochemicy próbują szukać śladów chemicznych, badając proporcje stabilnych izotopów, ale to wnioski oparte na niepewnych założeniach.

Odpowiedź na pytanie o początki życia jest więc zadaniem biologów molekularnych i geologów. To oni muszą przedstawić drogę rozumowania, która będzie przekonująca.

A może potrzebne jest naprawdę świetnie zachowane znalezisko? Jak właściwie takie znaleźć?

Pod tym względem paleontologia nie różni się od innych nauk przyrodniczych. Trzeba wiedzieć, gdzie szukać. Są ludzie, którym to łatwiej przychodzi. Ja akurat miewam szczęście. Na przykład w Woźnikach koło Częstochowy jest stanowisko kopalne eksploatowane kiedyś przez moich doktorantów. Pojechałam tam kiedyś z wizytą. Wyjąłem dwie konkretne

Jedna się okazała czaszką gada, a druga to był świeżo wykluty z jaja pancerny gad triasowy. Potem moi koledzy prowadzili eksplorację tej samej warstwy skalnej przez kilka lat i nie znaleźli niczego więcej.

Musieli być zachwyceni.

Inny przykład: Krasiejów. Na początku XX w. istniała tam cegielnia. Geologom niemieckim można wiele zarzucić, ale na pewno nie braku pedantycznego podejścia do badań. Żaden nie znalazł tam szczątków kostnych. Mnie zaprowadził do wyrobiska kopalni kolega z Uniwersytetu Wrocławskiego, który wiedział, że tam się znajduje skamieniałe kości. Doszliśmy do ściany i wyjąłem z niej niemal kompletną czaszkę gada drapieżnego – fitozaura.

Później zaś mój badający kręgowce krasiejowskie były doktorant Tomasz Sulej znalazł bodaj z pięć nowych stanowisk tego typu.

I to sławnych stanowisk!

Najwyraźniej przekazałem mu tę zdolność, przechodząc na emeryturę.

No dobrze, znaleźliśmy coś godnego uwagi. Co dalej?

Dysponujemy dziś nowoczesnymi technologiami, np. tomografią komputerową czy promieniami rentgenowskimi, które pozwalają zajrzeć do wnętrza skamieniałości bez jej niszczenia. Dzisiaj takie prześwietlenia robi się już z rozdzielczościami liczonymi w mikrometrach, a nawet nanometrach. Nie zmieniło się oczywiście to, że trzeba pojechać w teren i tę skamieniałość przywieźć.

Co jeszcze robi ze swoją skamieniałością paleontolog?

W przypadku niektórych skamieniałości trzeba rozpuścić próbkę skalną w kwasie, żeby potem po przepłukaniu powybiierać je poślinionym włoskiem i porozkładać do odpowiednich plastikowych komórek. W tej chwili przygotowuję publikację w oparciu o dane dotyczące 600 tysięcy skamieniałych mikroskopijnych ząbków. Każda z tych skamieniałości musiała zostać rozpoznana i odpowiednio zaklasyfikowana do określonego rodzaju aparatu gębowego. Ale moich skamieniałości w tej akurat pracy jest tylko 80 tysięcy.

Tylko?

Kiedyś, kiedy pracowałem na materiale dewońskim, sprzed blisko 400 mln lat, miałem chyba 240 tys. okazów. Ale to wciąż było zbyt mało, żeby uzyskać rzeczywście wiarygodny, pełen obraz przebiegu ewolucji. Udało mi się opisać tylko niektóre linie.

Jak to wygląda w praktyce? Mówimy o setkach tysięcy okazów, ale to nie będą przecież w Pana przypadku kości udowe tyranozaura, tylko pewnie jakieś mikroskopijne kosteczki z aparatu gębowego konodonta?

Tak, poniżej milimetra.

No więc rozsypujemy to na stole...

Nie, one leżą w bakelitowych pojemniczkach, które nazywamy komórkami Frankego, przykryte szkiełkiem.

Ale to już będzie po rozdzieleniu.

A ja pytałem o ten moment, kiedy wytrawiliśmy to ze skały i jeszcze nie wiemy, co to za zwierzę.

A, no tak. No więc te skamieniałości trzeba najpierw podzielić na kupki według morfologii, a potem połączyć w aparaty gębowe.

Końskim włosem?

Można końskim włosem. Aparaty gębowe konodontów – wymarłych zwierząt przypominających dzisiejsze minogi – miały zwykle od pięciu do siedmiu różnych typów elementów, więc trzeba to skompletować, a potem policzyć, pstrykając palcem w liczydełko, ile tych okazów jest. Często jest tak, że w jednej próbce może być 20 gatunków, każdy z gatunków reprezentowany przez pięć, sześć, siedem typów elementów, więc to jest zajęcie na długie zimowe wieczory. Trzeba mieć sporą cierpliwość.

A każda kosteczka pochodzi z określonego miejsca. Jeżeli mamy odsłonięcie o wysokości pięciu metrów, to przecież musimy odnotować, skąd pochodzi każdy okruszek, bo każdy centymetr skały to tysiące lat.

Oczywiście. Idealnie by było, gdybyśmy mieli pełen profil geologiczny, który zapewnia nam ciągłość dokumentacji. W Mójczy pod Kielcami jest wyjątkowo skondensowany stratygraficznie zapis



MATERIAŁY PRASOWE PAN

PROF. JERZY DZIK jest paleontologiem i ewolucjonistą, byłym wieloletnim dyrektorem Instytutu Paleobiologii PAN. Kierował badaniami m.in. na stanowiskach w Polsce, Kazachstanie, Rosji, Namibii i Chinach. Autor podręczników akademickich i książek popularnonaukowych, takich jak „Dzieje życia na Ziemi”, „Biologia, czyli sens życia”, „Ewolucja. Twórcza moc selekcji”.

procesów ewolucyjnych w ordowiku, obejmujący mniej więcej 25 mln lat na około ośmiu metrach odsłoniętej skały.

Dużo!

Dostatecznie dużo, żeby tam się dużo zdarzyło. Prześledziliśmy zmiany w linii konodontów, które akurat tam szczęśliwie ładnie ewoluują, ale też na przykład małżoraczek, małych skorupiaków. Moja koleżanka Ewa Olempska zrobiła publikację na temat ewolucji tych małżoraczek w odniesieniu do każdego ze stadiów wynikowych osobno. I się okazało, że nowości ewolucyjne najpierw się pojawiają na ostatnim stadium, a dopiero potem się rozprzestrzeniają na stadia coraz wcześniejsze.

Czyli nowość pojawia się u niemal dorosłego organizmu, a dopiero później on „przebudowuje” swój rozwój życiowy tak, że widać ślady tej innowacji w stadium młodocianym?

To dla biologa niemal oczywiste, ale tutaj zostało to udokumentowane.

Mam przy sobie „Dzieje życia na Ziemi” – najbardziej znaną książkę Pana Profesora.

Piąte wydanie już wydrukowane.

Rozchodzi się jak ciepłe bułeczki! W środku znajdują się setki pięknych, szczegółowych ilustracji organizmów kopalnych, wszystkie wykonane ręcznie przez Pana. Jak do tego doszło?

Decydując się na kierunek studiów, miałem trudny wybór, czy pójść w stronę artystyczną, czy przyrodniczą. Uznałem w końcu, że zdolności artystyczne są przydatne również w pracy przyrodniczej i że to jest właściwe miejsce, żeby je wykorzystać. Czuję się depozytariuszem czegoś, co mi zostało przyznane i nie mam prawa tego zmarnować.

Niestety, nie każdy paleontolog otrzymał podobny talent – i na tym cierpi nauka, gdy zerknie się do publikacji paleontologicznych. Dawniej, gdy Darwin czy Humboldt wybierali się na swoje wyprawy, zabierali ze sobą artystów. Może dzisiaj w każdym porządnym zespole badawczym też powinien być przynajmniej jeden porządny artysta?

Dostęp do artystów jest oczywiście bardzo istotny i przeciwdziała starzeniu się publikacji naukowych. Dobrze zrobiona rekonstrukcja będzie wykorzystywana przez dziesięciolecia albo nawet stulecia. Dziś są jeszcze w użyciu litografie dziewiętnastowieczne. Bardzo dobre są też ryciny z czasów Związku Radzieckiego. Korzystną stroną realizmu socjalistycznego było to, że artystów radzieckich uczono odzwierciedlania rzeczywistości, a nie tylko ekscesów zwiększających popularność.

Wadą wykorzystywania rysowników jest natomiast to, że nawet świetny rysownik nie zawsze do końca rozumie, co rysuje. Wiele dzieł, które od strony artystycznej są doskonałe, ma z punktu widzenia naukowego fundamentalne defekty.

Ideąłem byłby naukowiec-artysta?

Dzisiaj to już nie jest aż tak istotne. Teraz jest ważne, żeby mieć macierz danych i wstawić ją do komputera. Z tego komputera wtedy coś wyskakuje. Nie wiemy dokładnie, co, ale jest to wystarczająco efektowne, żeby to dobrze opublikować. Dobrze opublikowanie jest kluczowe, a nie to, czy to, co piszemy, jest bliskie, czy odległe od prawdy.

©© Rozmawiał ŁUKASZ ŁAMŻA



Clive Campbell znany jako DJ Kool Herc. Nowy Jork, 16 sierpnia 2019 r.

NARODZINY CYWILIZACJI

Pomimo globalnego dziś zasięgu hip hop pozostaje wierny lokalności, jaka towarzyszyła jego narodzinom w pewnej świetlicy. W każdym miejscu odkrywa i odgrywa własną tożsamość i specyfikę.

FILIP ŁOBODZIŃSKI



STEVEN FERDMAN / GETTY IMAGES

NIE DA SIĘ OZNACZYĆ MOMENTU, w którym zaczęła się muzyka barokowa. Nie znamy chwili powstania bluesa. Ale możemy wskazać dzień i miejsce narodzin hip hopu – był to 11 sierpnia 1973 r. w bloku przy alei gen. Segdwicka w Bronksie pod numerem 1520. Dziś popularnie zwanej bulwarem Hip Hopu.

Zaczął się od marzenia o ciuchach. Zbliżał się nowy rok szkolny. Cindy Campbell, nastolatka z imigranckiej rodziny jamajskiej, pragnęła pójść do szkoły ubrana zupełnie inaczej niż jej koleżanki. One zaopatrywały się w okolicznych sklepach, jej wyśniły się zakupy w Lower East Side na Dolnym Manhattanie. Stroje

z butików przy ulicy Delanceya może nie były z najwyższej półki *haute couture*, jednak na pewno przewyższały jakością i sznytem te z Highbridge i innych dzielnic zachodniego Bronksu.

Pomysł był taki: jej starszy, 18-letni brat Clive, posiadacz sporej kolekcji płyt, pokieruje zabawą taneczną w świetlicy na pierwszym piętrze ogromnego bloku, w którym mieszkali, a Cindy będzie sprzedawać bilety – dla dziewcząt po ćwierć, dla chłopców po pół dolara. Wydarzenie miało szansę powodzenia – Clive był już znany w okolicy jako niezły *disc jockey*. Jego pomysł opierał się na egzotycznych wciąż w Nowym Jorku, przywiezionych z rodzinnej Jamajki patentach imprezowych.

Żadne z nich jednak nie przypuszczało, że pół wieku później wciąż będziemy żyli w rytmie tego, co popłynęło w tamtą noc z soboty na niedzielę w świetlicy przy alei Sedgwicka podczas „Back to School Jam”.

Sound systemy, MC i toasterzy w dance hallu

W latach 50. na Jamajce rozpowszechniły się *dance halls*, czyli tancbudy, w których królowały muzyka ska i tańczony do niej skanking. Ponieważ *dance halls* rozpleniły się jak grzyby po deszczu, ich szefowie stanęli w obliczu ostrej wzajemnej konkurencji. Jednym ze sposobów na zdobycie prymatu w okolicy były organizowane przez patronów bandy *rudies* (czyli *rude boys*, hultajów), rozbijające imprezy u rywali. Innym – moc i jakość puszczonej muzyki.

Stanowiły one domenę niezwykle bytów określanych jako *sound system*. W ich skład wchodził *disc jockey* (DJ), nierzadko pełniący też funkcję mistrzów ceremonii (MC), czyli wodzirejów, oraz akustycy odpowiedzialni za aparaturę miksującą i nagłośnieniową. Sound systemy narodziły się dekadę wcześniej, ale w połowie lat 50. zdominowały jamajską scenę taneczną, wypierając niemal całkowicie wykonawców grających do tańca na żywo. Tym bardziej że to właśnie tam można było usłyszeć rodzimą jamajską muzykę, której próżno byłoby szukać na falach zachowawczych stacji radiowych, pozostających pod wpływem konserwatywnej BBC.

Clive Campbell urodził się w Kingston 16 kwietnia 1955 r., zatem wraz z pierwszym oddechem musiał łyknąć bakcyła

sound systemów, najczęściej operujących na wolnym powietrzu z ciężarówkami platform. Ich mobilne zestawy imprezowe składały się z ogromnych głośników umieszczonych w szafach zwanych *Houses of Joy*, par gramofonów oraz solidnych generatorów prądu, uniezależniających *sound system* od sieci energetycznej. Moc zestawu bywała imponująca: maltretował niskimi częstotliwościami z siłą kilkudziesięciu tysięcy watów.

Dobór muzyki należał do selectora, nad całością zaś czuwał DJ, puszczający muzykę z płyt. Dzięki dwóm gramofonom muzyka mogła płynąć bez przerwy. Cała umiejętność polegała na płynnym mikсовaniu piosenek z dwóch oddzielnych gramofonów.

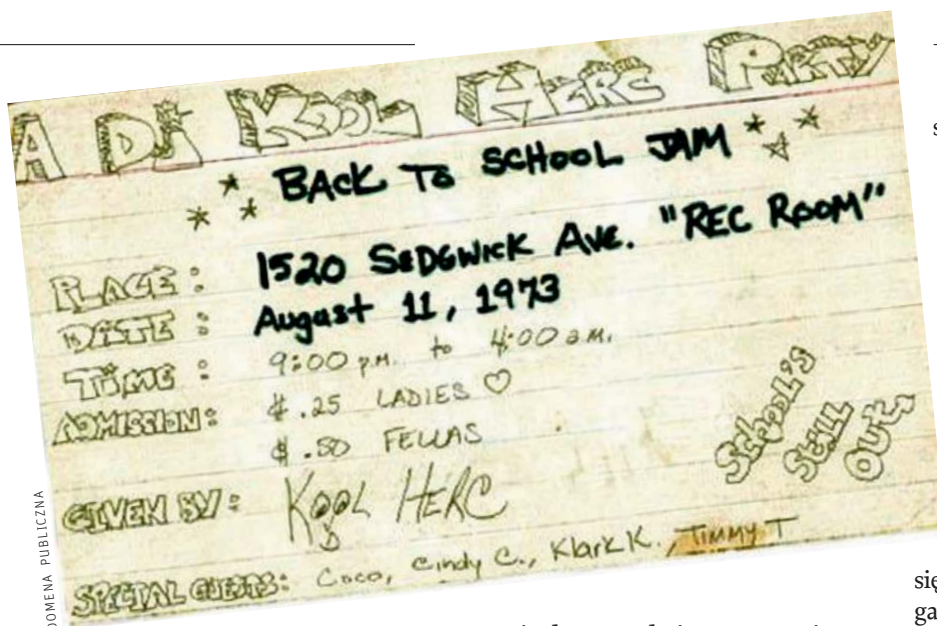
By podkręcić temperaturę zabawy, DJ miał też mikrofon, przez który wydawał okrzyki motywujące do zabawy, podkreślające euforyczność imprezy i poszczególne piosenki, komentujące wydarzenia i osoby na ulicznym parkiecie. Te okrzyki i gadulki zyskały nazwę *toasting*. Tu z kolei pierwowzorami stali się zarówno wędrowni muzycy zachodnioafrykańscy wygłaszający rytmiczne toasty, jak i amerykańscy prezenterzy radiowi, niemiłosiernie zagłuszający puszczone piosenki własną gadaniną.

Jamajscy mistrzowie ceremonii uczyli z tego własną sztukę, z czasem dorabiając się nawet sporych kolekcji osobno zmiksowanych dłuższych partii instrumentalnych, które nazywali *riddims* (rytmy). Wzorzec był gotowy, a mały Clive przyjął go bez popitki.

Świetliczanin

Po przeprowadzce całej rodziny do Bronksu na aleję Sedgwicka w listopadzie 1967 r. Clive poszedł do miejscowego technikum, gdzie z początku był ofiarą przemocy. Szybko jednak zyskał ochronę ze strony czarnej organizacji emancypacyjnej Five-Percent Nation. Sam też umiał zadbać o swoje bezpieczeństwo – mocarną posturą zaskarbił sobie ksywę Hercules. Jednak to nie bójk i zadymy były jego żywiołem, tylko uliczne działania graficzne, czyli graffiti, które sygnował jako Kool Herc (Wporzo Herek), oraz stale wzbogacana kolekcja płyt, początkowo ojcowska, potem i własna.

Pamiętając wszystkie jamajskie grepsy i sposoby, stale rozwijał umiejętności DJ-a i toastera, zyskując coraz



→ większe uznanie w sąsiedztwie dzięki prywatkom, podczas których zapewniał muzykę do tańca – początkowo jako asystent występujący w przerwach między kolejnymi setami rhythm'n'bluesowymi własnego ojca, DJ-a amatora.

DJ Kool Herc nie był jedynym w Bronksie prezydentem muzycznym grającym na żywo muzykę z płyt. On jednak pierwszy wprowadził *breaks*, czyli wyizolowane przejścia instrumentalne, konieczne rytmiczne, którymi wypełniał sekundy pomiędzy kolejnymi numerami. Miał z reguły po dwa egzemplarze płyty z breakiem, by zyskać na czasie, zonglując jednocześnie krążkami na talerzach – gdy na jednym kończyła się piosenka, z drugiego już dochodził *break*, w tym czasie na pierwszym lądowało drugie źródło tego samego breaku, a na drugim za chwilę kręciła się już druga piosenka.

On też przeniósł do Nowego Jorku jamajską modę na zdzieranie nalepek z granych płyt. Chodziło o to, by konkurenci nie dowiedzieli się, co takiego puszcza.

Oryginalne nagrania – m.in. mniej znane numery zespołu Booker T. & the MG's czy Jamesa Browna – połączone z soczystymi breakami i rozgrzewającymi imprezowiczów wtrącanymi gadułkami zapewniły mu spore grono wielbicieli. Chcąc jeszcze bardziej podkręcić transowość zabawy, swoje toasty DJ Kool Herc skandował *staccato* zgodnie z wybijanym rytmem. Używał dwóch mikrofonów, w tym jednego podłączonego do potężnej kamery pogłosowej.

Dzięki legendarnemu wzmacniaczowi McIntosh i dużym kolumnom, które nazwał Herculoids, był „najgłośniej-

Hip hop stał się emanacją kultury w miejscu, które kojarzyło się z ziemią jałową. DJ Kool Herc **pokazał Ameryce nowy sposób tworzenia muzyki** – kreowania oryginalnych rzeczy na bazie dziedzictwa.

szym DJ-em na dzielni”. Do tego doszły usprawnienia związane z nieortodoksyjnym łączeniem przewodów i gniazd między poszczególnymi elementami sound systemu. Najczęściej grał w świetlicy na pierwszym piętrze bloku, w którym mieszkał z rodzicami i siostrami, a większość gości stanowiła młodzież z kilkustopiętrowego bloku.

Prywatka, która wstrząsnęła światem

Przed 11 sierpnia 1973 r. DJ Kool Herc był raptem atrakcją blokową. Od niedzieli 12 sierpnia był już na ustach całego Bronksu. A wszystko za sprawą imprezy-ściepy, dzięki której Cindy miała zebrać kasę na nieco fajniejsze ciuszki.

Cindy sama sporządziła ulotkę reklamową, pisząc na fiszce, że DJ Kool Herc zaprasza na „Impre z okazji Powrotu do Szkoły”, podawała ceny biletów i godziny przeznaczone na zabawę (od 21.00 do 4.00 rano) oraz wymieniała „gości specjalnych”. Pani Campbell przygotowała przekąski, pan Campbell kupił napoje w miejscowym supermarkecie. Na sali

stawały się trzy setki młodych ludzi z całej dzielnicy.

Muzyka puszczana przez młodego Jamajczyka z dwóch gramofonów Technics SL1100A była niezwykle eklektyczna. Nic dziwnego – Campbell senior wychował dzieci na muzyce, która obejmowała też Binga Crosby'ego czy gwiazdora country Jima Reevesa (Herc twierdzi, że to na jego śpiewie sam ćwiczył amerykański akcent). A do tego wpoił im szacunek dla piosenek mało znanych, puszczonej w niepamięć.

Z gramofonów Clive'a rozlegały się więc dźwięki rzadkich piosenek reggae, Niny Simone, Louisa Armstronga, kilka mniej propagowanych aktualnych nowości, ale również kawałek Reevesa, grupy Edgara Wintera czy utwór brytyjskiego zespołu hardrockowego Babe Ruth „The Mexican”. Hitem parkietu stały się „Give It Up or Turnit a Loose” Jamesa Browna oraz dwa kawałki Incredible Bongo Band, „Bongo Rock” i „Apache”, nagrane nieco wcześniej przez ten skrzyknięty *ad hoc* zespół jako żartobliwa muzyka do pewnego filmu klasy C. Dla Clive'a liczyły się dobre breaki.

Na ich dodatkowe wydłużenie Clive miał jeszcze jeden patent – dłonią cofał płytę wirującą na talerzu, by móc powtórzyć dowolną liczbę razy krótki fragment. Towarzyszący tej czynności efekt skrzypienia wskutek szybkiego przesuwania wstecz płyty pod igłą to nic innego jak prototyp stosowanego później powszechnie scratchingu, którym zasłynął Derek „DXT” Showard, pierwszy wirtuoz gramofonu potraktowanego jako instrument. (Tu ciekawostka w kontekście tej opowieści – pierwszym pseudonimem Showarda był GrandMixer D.ST – trzy ostatnie litery to skrót od Delancey Street – tej samej, przy której Cindy w końcu kupiła wymarzone stroje).

Coco La Rock, rówieśnik i kumpel DJ Kool Herca, podczas wstępów do piosenek czy breaków rytmicznie wykrzykiwał w drugi mikrofon imiona uczestników zabawy, siedząc w sąsiedniej sali. Dziś uważany jest przez wielu za pierwszego MC w dziejach amerykańskiego rapu.

Karuzele i toasty

Już jako renomowany DJ, znany także poza Bronksem, regularnie grający w pobliskim parku Cedar, w 1974 r. Clive

Campbell wymyślił coś jeszcze. Pewnego wieczoru zaczął naprzemiennie puszczać ten sam *break* perkusyjny z dwóch egzemplarzy płyty, co wywołało jeszcze większą ekstazę na parkiecie. Przy tych długich *breakach* tancerki i tancerze autentycznie wyżywali się w formie walki na następujące po sobie popisy solowe (młody Campbell ochrzcił ich mianem *break dancers*, czyli *b-girls* i *b-boys*), swój pomysł mikserki zaś – jak sam po latach wspominał, wymyślony trochę z nudów – nazwał *merry-go-round* (karuzela). To ona stała się sercem każdej imprezy, jej sensem i najbardziej pamiętnym epizodem.

Tak narodziła się nowa era muzyczna, której końca nie widać. *Turntablism*, czyli didżejskie mikswanie na gramofonach i towarzyszący mu *scratching*, rytmiczne pogaduchy, czyli rapowanie, *break dance* i sprejowane tagi na murach wkrótce zbudowały gmach hiphopowego imperium.

– Do mikswania, rapu, graffiti i *break dance*’u dodajmy jeszcze piąty filar hip hopu, czyli *knowledge*, wiedzę – dopowiada Hirek Wrona, jeden z najlepszych znawców tematu w tej części Europy. – Wiedza to nie tylko orientacja w dziedzictwie muzycznym, ale też praca nad świadomością korzeni i tożsamością.

„Karuzele” DJ Kool Herc, czyli mikswane breaki, w połączeniu ze skrezczowanymi repetycjami to zresztą dziś także podstawa nowoczesnego samplingu i właściwie każdego procesu tworzenia muzyki opartego na kolażu, wycinaniu, łączeniu i zapętlanu. Dodajmy do tego oryginalne, często szokujące stroje – dziedzictwo stylizacji, jaką Cindy wymyśliła dla brata na swoją sierpniową potańcówkę świetlicową.

Być może wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej, mniej efektownie – i dziś wcale nie słuchalibyśmy muzyki, jaką znamy – gdyby także nie procesy społeczne, choćby w postaci nixonowskiej polityki świadomego zaniedbywania potrzeb pewnych sektorów społeczeństwa, głównie ludności kolorowej. Wielkie inwestycje strategiczne w południowym Bronksie i wschodnim Brooklynie doprowadziły do pauperyzacji *gett* etnicznych. To wyгнаło młodych ludzi na ulice – nie dla walki politycznej, lecz w poszukiwaniu sposobów na spędzenie czasu. Rosła potrzeba alternatywnych form rozrywki i własnej obyczajowości, szczególnie w obliczu zdławienia przez FBI na

DJ Kool Herc i jego siostra Cindy Campbell podczas obchodów 40-lecia hip hopu. Nowy Jork, 10 sierpnia 2013 r.

Po lewej: Bilet na pierwszą imprezę hiphopową w bloku pod adresem Sedgwick Avenue 1520, 11 sierpnia 1973 r.



JACK VARTOOGIAN / GETTY IMAGES

początku lat 70. wielu czarnych gangów miejskich. Hip hop stał się emanacją wielorakiej kultury w miejscu, które kojarzyło się z ziemią jałową.

DJ Kool Herc nie był wyłącznym innowatorem, jednak z pewnością znajdował się wówczas w sercu narodzin nowej subkultury ulicznej, przyczyniając się do jej rozpropagowania. On pierwszy pokazał Ameryce nowy sposób tworzenia muzyki – kreowania oryginalnych rzeczy na bazie dziedzictwa. Niewątpliwie jego karuzele i toasty w decydujący sposób zdefiniowały późniejsze szaleństwo.

Rytmiczne gaduły Hercy szybko stały się nośnym medium dla najdynamiczniejszej gazety ulicznej w dziejach świata – rapu – która miała niebawem zdobyć najpierw serca młodych mieszkańców *gett* amerykańskich, a w krótkim czasie także, za sprawą Afriki Bambaataa i Grandmastera Flasha, branżę nagraniową. Afrika i Flash nigdy nie ukrywali, że Wporzo Herek to dla nich bóg.

Skromny protoplasta

Niemniej jak na boga Clive Campbell wiódł nader zwykłe życie, nigdy nie wchodząc w komercyjne meandry i nie dorabiając się fortuny na miarę gwiazd, które pomógł wychować. Sam przez pewien czas ciężko chorował, a rachunki za

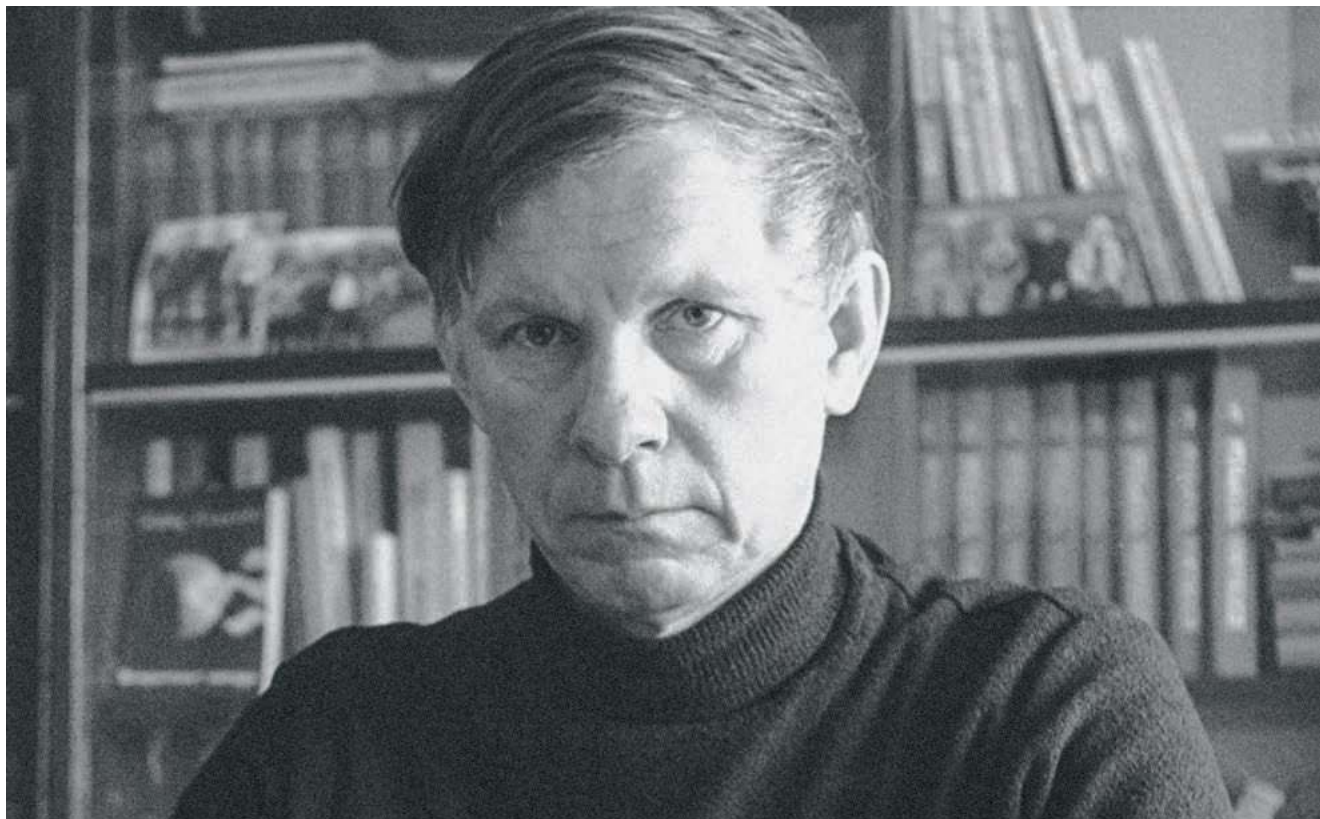
leczenie pokrył dzięki zrzutce organizowanej przez przyjaciół, bo sam padł ofiarą prywatyzacji służby zdrowia. Nie była to zrzutka tak rewolucyjna jak ta z sierpnia 1973 r., ale bez wątpienia zdołała pomóc człowiekowi, któremu świat kultury popularnej zawdzięcza miliardowy biznes i przede wszystkim jeden ze swych dziesięciu filarów.

A filar to niezwykle, bo w każdym miejscu odkrywający własną tożsamość i specyfikę – hip hop ma tyle twarzy, ile miejsc w nim pulsuje. Pomimo globalnego dziś zasięgu pozostaje wierny tej lokalności, jaka towarzyszyła jego rodzinom w pewnej świetlicy, i w ramach wspólnej formuły buduje swoją *knowledge* na lokalnych ingrediencjach.

Oryginalny *sound system*, na którym DJ Kool Herc mikswał muzykę do tańca w latach 70., poszedł na aukcji rok temu za ponad 200 tysięcy dolarów. Kolejne setki Campbell zarobił dzięki zlicytowaniu sporej części swojej niebywałej kolekcji płyt, ulotek i gadżetów. Dziś prowadzi kampanię na rzecz upowszechnienia opieki lekarskiej, czasem jeździ, głównie do Europy, by gościnnie didżejować podczas imprez.

I zdołał uratować blok przy Sedgwicka 1520 przed wyburzeniem.

© FILIP ŁOBODZIŃSKI



FORUM

Wasil Bykau

Nie Rosja

ZBIGNIEW ROKITA

Ukraińcy przetrwają jako naród i tożsamościowo wyjdą z wojny silniejsi niż kiedykolwiek. Białorusini zaś swoją wojnę przegrywają, zagrożony jest ich język i narodowa odrębność. Posłuchajcie Wasila Bykaua.

SYN NAJWYBITNIEJSZEGO BIAŁORUSKIEGO pisarza nakrywa trumnę ojca biało-czerwono-białą flagą – używaną przez białoruską opozycję. Na pogrzebie ostentacyjnie nie zjawia się Alaksandr Łukaszenka, w zastępstwie wysłał ministra kultury. Ten widząc nielegalną flagę wpada w popłoch, prosi, aby nie robić z pogrzebu „politycznej farsy” i użyć flagi państwowej – nawiązującej do flagi sowieckiej Białorusi. Rodzina się nie zgadza, oburzony minister opuszcza czeremchę.

Żołnierze niosą trumnę kilka kilometrów głównym prosektem Mińska. „Nowaja Gazieta” napisze: „Wielu mieszkańców białoruskiej głubinki dowiedziaw-

szy się o śmierci Wasila Bykaua, wzięło wolne i pojechało do Mińska. Pisarza w ostatnią drogę odprowadzały tysiące ludzi”. Gdy dochodzą do cmentarza, rodzina zauważa wieniec przysłany przez Łukaszenkę. Bliscy stawiają warunek: niech wieniec zostanie, ale ze wstęgi należy wyciąć słowo „prezydent”.

Był rok 2003. 20 lat później ukazuje się po polsku autobiografia Wasila Bykaua – „Długa droga do domu”.

Wytracanie

Bykau kończy ją na krótko przed śmiercią. Jak pisze w posłowie autorka znakomitego przekładu, Joanna Bernatowicz (tłumacząca nie z rosyjskiego, lecz – co

rzadkie – z białoruskiego): „Bykau pisał autobiografię, zmagając się ze śmiertelną chorobą. Nie zdążył nie tylko doszlifować białoruskiego oryginału, ale nawet ponownie go przeczytać”. „Długa droga do domu” staje się w ten sposób być może jedyną w historii literatury „autobiografią nieautoryzowaną”. Pisarz nakreślił w niej intymną panoramę białoruskich losów, od Lenina do Łukaszenki.

Bykau przychodzi na świat w roku 1924, kilka lat po rewolucji październikowej. Dorasta w kolchozie na sowieckiej wsi tuż przy granicy z Polską. Gdy Niemcy napadają na Związek Sowiecki, ma 17 lat. Trafia do armii, w której spędzi całą wojnę, stanie się ona głównym tematem jego twórczości, a noblistka Swietłana Aleksijewicz będzie powtarzać, że spośród pisarzy jedynie Bykauowi udało się „uczynić Wielką Wojnę Ojczyźnianą na zawsze współczesną” (niezwykle brzmią dziś obawy Bykaua z lat 50.: „można było sądzić, że temat wojny się wyczerpał i już nie powróci”).

Proza Bykaua odpowiada na aktualne pytania. Na przykład: dlaczego Białorusini nie potrafią tak jak Ukraińcy obronić demokracji, a zamiast tego osunęli się w totalitarny autorytaryzm? Bykau udziela jednej z możliwych od-

powiedzi opisując ludobójstwo popełnione na narodzie białoruskim – ludobójstwo, które nie ma swojego symbolu jak ukraiński Wielki Głód czy tureckie mordy na Ormianach, a przez to jest rozproszone w wielości tragedii, trudno uchwytne. Historyk Timothy Snyder zwraca uwagę, że na „skrwawionych ziemiach” (czyli – w uproszczeniu – w Europie Wschodniej) doszło w latach 1933-1945 do największego w dziejach ludobójstwa, w wyniku którego śmierć poniosło co najmniej 14 milionów osób bez broni w rękę. Większość w niewielkiej Białorusi. To także dramat czerwonoarmistów i czerwonoarmistów takich jak Bykau. Spośród nich straciło życie przeszło 10 milionów – więcej niż dziś liczy Białoruś. Nasuwa się pytanie: ilu wśród nich było przyszłych intelektualistów czy artystów, którzy mogliby budować niepodległą Białoruś?

To także lata ludobójstwa kulturowego, wytracenia dziedzictwa Białorusinów. Eugeniusz Mironowicz w „Historii Białorusi XX-XXI wieku” podlicza, że w latach 1937-1938, podczas czystek stalinowskich, „straciło życie 90 procent pracowników Białoruskiej Akademii Nauk, większość wykładowców Uniwersytetu Państwowego w Mińsku (...). Zginęli niemal wszyscy organizatorzy białoruskiego życia politycznego, naukowego i kulturalnego z lat 20. Spośród 238 literatów białoruskich epokę Stalina przeżyło jedynie 20”. W latach 1941-1943 Niemcy „zniszczyli około 20 milionów egzemplarzy książek. Księgozbiory Białoruskiej Akademii Nauk oraz Państwowej Biblioteki BSRP liczące 1,5 miliona woluminów wywieźli do Niemiec, w tym najstarsze zabytki piśmiennictwa białoruskiego”. To ustawiła Białorusinów w jednym szeregu z najbardziej okaleczonymi narodami w XX wieku.

Szarzy i zwykli

„Długa droga do domu” to autobiografia napisana ze swadą – często sowizdrzalska, bardziej szwejkowska niż czapajewowska. Marszałek Żukow, niespodziewanie wizytujący jednostkę Bykaua, każe dowódcom skakać przez gimnastycznego kozła, a gdy ci nie potrafią, sam demonstracyjnie skacze, bluzga i odjeżdża. Mamy tu podróż z Gorbaczowem do Ameryki na spotkanie z Reaganem, Władystok terrorizowany przez wię-

niów uwolnionych po amnestii Berii, życie po życiu Kresów i prowincjonalnego Grodna, w którym na „popolskim” wiele powojennych lat żyje Bykau. I najwięksi: Sołżenicyn, Michaiłow czy Wysocki, który spyta Bykaua, czy nie dałoby się w Mińsku „złapać jakieś fuchy”, bo z groszem u niego cienko.

Największą jednak wartością „Długiej drogi do domu” jest to, że została napisana z perspektywy świadomego swojej białoruskości białoruskojęzycznego Białorusina. Bycie zaś Białorusinem jest decyzją polityczną – od blisko stu lat często zresztą niebezpieczną.

Bykau stara się wykontuować doświadczenie białoruskie z sowieckości i rosyjskości, opowiedzieć swój własny, białoruski XX wiek. Rozumie, że warunkiem przetrwania białoruskiego narodu jest ucieczka z „ruskiego świata” – akt, którego od 20 lat stara się dokonać Ukraina. Wie, że trwanie w zbyt bliskim zespoleciu z Moskwą skazuje Białorusinów na kulturową śmierć i zwińczenie stalinowsko-nazistowskiego ludobójstwa.

Główną cechą odróżniającą Białorusinów od ościennych narodów (nie tylko od Rosjan, ale też od Polaków i Litwinów, od których Białorusini także musieli się w XIX i XX w. uniezależnić) jest język, dziś wymierający. Bykau poświęca białoruszczyźnie wiele miejsca. Konsekwentnie całe życie pisze w prześladowanym białoruskim i stanie się największym wśród prozaików wirtuozem tego języka.

Wiele miejsca w autobiografii poświęca też dziejom białoruskiej literatury i kultury, tak słabo w Polsce znanych. Białoruś nie doczekała się w ostatnich dekadach wielu pisarzy, którzy mogliby zachwycić polskiego czytelnika, tak jak choćby w Ukrainie Serhij Żadan czy Oksana Zabuzko. Białoruś pozostaje najmniej znanym spośród wszystkich polskich sąsiadów.

Według badania CBOS z 2015 r. blisko dwie trzecie Polaków nie było w stanie wskazać żadnej cechy kojarzącej im się z Białorusinami, a wśród reszty wielu odpowiadało: „szarzy”, „zwykli”. Z kolei badania Centrum Dialogu im. Miroszewskiego pokazały, że według Polaków stosunek Białorusinów do Polski od 2020 r. dramatycznie się pogorszył: z 63 do 34 proc. spadł odsetek Białorusinów mających przyjaźnie odnosić się do Pol-

ski, a z 15 do 49 proc. wzrósł odsetek tych odnoszących się nieprzyjaźnie. Z kolei główne skojarzenia ze słowem „Białoruś” to dziś „totalitaryzm”, „Łukaszenko” i „uzależnienie od Rosji”.

Nie być

Bykau przez całe swoje życie zmagał się z cenzurą – z krótką pieredyszką za Gorbaczowskiej pierestrojki. Nieustannie towarzyszył mu dylemat będący główną osią tej autobiografii: jak pozostać przyzwoitym człowiekiem w nieprzyzwoitym systemie?

Najważniejsza fraza, którą Bykau czyta u Ernesta Hemingwaya, brzmi: „Dobrze, jeśli zdecydujesz się nie być kurwą”. Napisze: „Co prawda w naszym przypadku decyzja nie wystarczała. Musieliśmy dawać z siebie o wiele więcej, czasem więcej niż życie, niż osobisty los”. I dalej: „Zdrowy rozsądek stał się pojęciem klasowym, partyjnym, proletariackim. Postulowano, żebyśmy pisali prawdę, ale rzadko się zdarzało, by jakaś prawda miała rację bytu w literaturze. Na prawdę pozwalano jedynie wówczas, gdy służyła władzy”. Bykau pisze o swoich czasach, a jednocześnie wbrew nim.

Podczas pierestrojki jest już najważniejszym żyjącym białoruskim pisarzem, wielu nazywa go „sumieniem narodu”. Wykorzystuje swój autorytet. Nie chce zajmować eksponowanych stanowisk, ale wspiera pełgający (znacznie słabszy niż w Litwie czy Ukrainie) ruch demokratyczny. Za pierestrojki jest jednym z założycieli najważniejszej siły opozycyjnej, Białoruskiego Frontu Ludowego. Pomaga archeologowi i późniejszemu rywalowi Łukaszenki Zianonowi Paźniakowi opublikować jego głośny artykuł, pierwszy tekst o zbrodni w Kuropatach: to tam, na uroczysku pod Mińskiem, NKWD w latach 1937-1938 zamordowało około stu tysięcy ludzi (inne szacunki mówią nawet o przeszło dwustu tysiącach). Większość ofiar stanowili Białorusini, obok nich rozstrzelano też tysiące Polaków czy Żydów. Bykau wielokrotnie krytykował Łukaszenkę, gdy ten negował odpowiedzialność Sowietów za zbrodnię w Kuropatach (neguje to dziś) oraz gdy chciał zaorać teren kaźni.

Ideal

Autobiografia Bykaua kończy się na otrzymaniu (to chyba właściwsze słowo →

→ niż „zdobyciu”) przez Białoruś niepodległości w 1991 r. Po dojściu Łukaszenki do władzy pisarz popada z władzą w konflikt – momentami poważniejszy niż za ZSRR.

Bykau krytykuje Łukaszenkę, gdy ten jeszcze jest szeregowym deputowanym (np. po słowach, że przyszłością Białorusi jest zjednoczenie z Rosją, której ten zamierzył sobie być przywódcą wobec słabości Borysa Jelcyna). Gdy Łukaszenka wygrywa w 1994 r. w demokratycznych wyborach, wypowiada Bykauowi wojnę. Pisarz nie pozostaje mu dłużny: będzie raz po raz publicznie obwiniał Łukaszenkę za sprzedawanie białoruskiej niepodległości, m.in. kiedy ten powróci do białoruskiej symboliki z czasów radzieckich czy ustanowi językiem państwowym ruszczyznę.

Książki Bykaua wkrótce przestają ukazywać się w Białorusi. Państwowe wydawnictwo odmawia m.in. publikacji opowiadania, w którym pisarz rysuje postać „Buldożera” – prowincjonalnego polityka, który przejmuje władzę nad swoim krajem i zmienia go w obóz koncentracyjny. W tym samym czasie pisarz hołdowany jest w znacznie bardziej liberalnej wówczas Rosji, gdzie odznaczenie państwowe wręcza mu obojście Jelcyn.

Bykau otwarcie angażuje się też w politykę. W 1996 r. kroczy wśród kilkudziesięciu tysięcy Białorusinów, którzy domagają się odwołania Łukaszenki i zakończenia kursu obranego na zjednoczenie z Rosją. W rozmowie z polsko-białoruskim pisarzem Sokratem Janowiczem powie (za księgą wspomnieniową „Nasz Bykau”): „Ideal polityki w Republice Białoruś to doprowadzić do tego, żeby sam naród nie chciał być białoruski”.

Zmęczony obywatel

Ostatnie lata pisarz spędza na emigracji, do której zmuszają go prześladowania ze strony władz. Mieszka w Finlandii, Niemczech i Czechach.

Ale Łukaszenka nie może ignorować pisarza, nawet na emigracji. W 2002 r. w jednej z rosyjskich telewizji prezydent chwali się, że „wyrósł i uczył się na wierszach Wasilija Bykowa”. Prowadzący zwraca mu uwagę: „Aleksandr Grigoriewicz, ale on pisze prozę...”, a Łukaszenka jak to Łukaszenka – ześlazcza się.

Rok przed śmiercią 79-letni pisarz jest nominowany do literackiego Nobla. Nie otrzymuje go (laureatem jest



DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Gdy Niemcy napadają na Związek Sowiecki, Bykau ma 17 lat.

Swietłana Aleksijewicz będzie powtarzać, że spośród pisarzy tylko jemu udało się „uczynić Wielką Wojnę Ojczyźnianą na zawsze współczesną”.

Węgier Imre Kertész), a pierwszą białoruską noblistką w 2015 r. zostaje Swietłana Aleksijewicz. Choć i do jej sukcesu dołożył się Bykau. Aleksijewicz chętnie wspomina, jak wsparł ją finansowo, gdy chciała kupić dyktafon. Dzięki niemu napisała swoją pierwszą książkę.

Reżim raz po raz wraca do Bykaua. W ubiegłym roku podczas czterogodzinnego wystąpienia przed studentami dyktator zaprezentował medale wręczone kiedyś Bykauowi i oświadczył, że rodzina pisarza sprzedała je za 30 dolarów. Dyktator nazwał Bykaua „niejednoznacznym człowiekiem, który lubił medale”. Żona Iryna i syn Siarhiej zaprzeczyli: jakiś czas wcześniej żonę naszedł mężczyzna podający się za pracownika muzeum literatury, który ukradł odznaczenia. Siarhiej dodał, że gdyby naprawdę chcieli je sprzedać, to dostaliby za nie „nie 30 dolarów, tylko 5 tysięcy”.

W autobiografii niedługo przed śmiercią Bykau napisze: „Nie jestem liderem ani »sumieniem narodu«, jestem prostym, zmęczonym życiem Białorusinem i mam jeden cel – pozostać uczciwym człowiekiem. Chciałem dożyć wolności, lecz to marzenie najwyraźniej się nie spełni”.

Do Białorusi wróci na kilka tygodni przed śmiercią.

■ ■ ■

O wyniku wojny rosyjsko-ukraińskiej wiemy jedno: Ukraińcy przetrwają jako naród i tożsamościowo wyjdą z wojny silniejsi niż kiedykolwiek. Białorusini zaś swoją wojnę przegrywają, zagrożony jest ich język i narodowa odrębność. Na powrót stali się prowincją imperium, z tym wyjątkiem, że teraz udają niepodległe państwo.

W Białorusi Białorusini chcący zachowania demokratycznego i niepodległego kraju, w którym pielęgnowany byłby język białoruski – tacy jak Bykau – po 1991 r. zawsze byli w mniejszości. „Długa droga do domu” przypomina jednak to, o czym się ostatnio w Polsce zapomina: że nie ma jednej Białorusi, nie wszyscy Białorusini popierają wojnę i autorytarny reżim. Dziś Łukaszenka, którego tak silnie krytykował Bykau, trzyma w więzieniach co najmniej 1483 więźniów politycznych (dane za organizacją obrony praw człowieka Wiasna), prześladowuje kolejne tysiące, a cały kraj zamienił w obóz koncentracyjny – jak wieszczył Bykau.

„Długa droga do domu” to kolejny dowód na to, że Białoruś to wciąż nie Rosja i że nie powinniśmy zapominać o toczącej się wojnie rosyjsko-białoruskiej. Putin i Łukaszenka walczą na niej z tą częścią białoruskiego społeczeństwa, która trzy lata temu setkami tysięcy domagała się usunięcia dyktatora; tą częścią, która tak jak Bykau wierzy w Białoruś niepodległą.

© ZBIGNIEW ROKITA

Autor jest reporterem i pisarzem. Laureat Nagrody Nike w 2021 r. za „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku”.



Wasil Bykau
DŁUGA DROGA DO DOMU
przeł. Joanna Bernatowicz,
Kolegium Europy Wschodniej,
Wrocław 2023



ANNA OLCZAKOWSKA / MATERIAŁY PRASOWE MNK

Kaptur Stańczyka pochodzący z XIX wieku, jeden z najpopularniejszych rekwizytów pracowni Matejki. Kraków, 4 sierpnia 2023 r.

Co on zmalował

PIOTR KOSIEWSKI

Niemожność zmierzenia się z artystą, który do dziś jest odpowiedzialny za to, jak definiujemy polskość, to przykład słabości nie tylko polskich muzeów, ale też życia intelektualnego.

CO Z TĄ PRZESZŁOŚCIĄ, KTÓRĄ NAMALO-
wał nam Jan Matejko? Jego dzieła
ilustrowały podręczniki szkolne, opra-
cowania historyczne i encyklopedie. Ko-
lejne pokolenia uczyły się z nich polskiej
historii. Ileż to postaci historycznych
– wydaje nam się – znamy dobrze z twa-
rzy? Dzięki niemu właśnie.

Przekleństwo i natchnienie

„Matejko. Malarz i historia” w Muzeum
Narodowym w Krakowie to ekspozycja
jubileuszowa. Zorganizowano ją w 185.
rocznicę urodzin malarza i 130. jego
śmierci. W tym roku mija także 125.
rocznica powstania Muzeum Dom Jana
Matejki, pierwszego biograficznego mu-

zeum na ziemiach polskich. Kraków wy-
daje się oczywistym miejscem dla organi-
zacji takiej wystawy – malarz tu się uro-
dził i zmarł. Był również jednym z inicja-
torów powołania w 1879 r. tutejszego Mu-
zeum Narodowego.

Zgromadzono ponad 300 obiektów:
obrazów, szkiców, rysunków, ale też fo-
tografii, dokumentów, strojów i przed-
miotów, które Matejko wykorzystywał
jako rekwizyty. Jednak twórcy wystawy
spróbowali wyjść poza rocznicową cele-
brę i zapytać, dlaczego właśnie jej bohater
odegrał tak ważną rolę w naszej historii.
Czy nadal jest taki ważny? A może, choć
nieustannie natykamy się na jego obrazy,
już na nie nie patrzymy?

Zacznijmy od kwestii zasadniczej: Ma-
tejko tak nam spowszedniał, że już go nie
doceniamy. A przecież to za jego sprawą
dokonała się zmiana jednego z podsta-
wowych paradygmatów w ubóstwiającej
słowo polskiej kulturze: uznano, że ob-
razy (a nie tylko teksty) mogą nieść istotne
treści i dotrzeć do szerokiego odbiorcy. Że
malarz może kształtować wyobrażenia
Polek i Polaków o nich samych.

Choć Matejko przetarł drogę kolejnym
pokoleniom, dla wielu był wręcz arty-
stycznym przekleństwem Polaków (Józef
Czapski nie widział w nim malarza, tylko
ilustratora polskiej historii). A jednak stał
się punktem odniesienia dla wybitnych
nowoczesnych twórców, którzy chcieli
mierzyć się z naszą przeszłością.

Twórczością Matejki fascynował się
Edward Dwurnik. Namalował nawet
własne wersje „Bitwy pod Grunwaldem”
i „Hołdu pruskiego”. Dziś Karol Radzi-
szewski, tworząc serię wizerunków nie-
heteronormatywnych postaci w naszej
historii, jawnie nawiązał do Matejkow-
skiego „Pocztu królów polskich”. Mikołaj
Sobczak, jeden z najciekawszych artystów
młodego pokolenia, podkreśla, że Matejko
należał do twórców, którzy ukształtowali
jego malarskie imaginarium.



Stroje historyczne. Fragment ekspozycji wystawy „Matejko. Malarz i historia” w Muzeum Narodowym w Krakowie, 4 sierpnia 2023 r.

→ Tym bardziej uderzające jest, że w ostatnich dekadach nie powstała żadna istotna wystawa, która pokazywałaby jego twórczość. A przecież pojawiały się ważne, nowe interpretacje, jak świetna, odświeżająca patrzenie na malarza książka Jarosława Krawczyka „Matejko i historia”.

Dziejopis i Stańczyk

Niemożliwość zmierzenia się z artystą, który do dziś jest odpowiedzialny za to, jak definiujemy polskość, to przykład słabości nie tylko polskich muzeów, ale też życia intelektualnego. Tym ważniejszym wydarzeniem jest wystawa w Krakowie.

Opowiada o miejscu, jakie przeszłość zajmowała w twórczości malarza, o konstruowaniu przez niego historycznych wyobrażeń, ale też o stosunku współczesnych do Matejki. Wszystkie te wątki przenikają się z biografią artysty – przy czym skupiono się na jego młodości. Nie zabrakło nawet opowieści o trudnych relacjach Matejki z żoną, jakby uznano, że dla współczesnego odbiorcy skandalizujące wątki są konieczne.

„Pragnął być artystycznym dziejopisem” – podkreśla Michał Haake, kurator wystawy. Chciał połączyć dwie odrębne profesje: historyka i malarza. Tworzyć obrazy, a jednocześnie upowszechniać

nieć wiedzę o przeszłości. Nie tylko poprzez obrazy: wpływ na współczesnych i na kolejne pokolenia miały ilustrowane przez niego publikacje z „Poczetem królów polskich” na czele. Był świadomy pozycji, jaką osiągnął. Jego obrazy zdobywały międzynarodowe nagrody. „Kazanie Skargi” nagrodzono złotym medalem na Salonie paryskim w 1865 r. Lista zaszczytów otrzymanych przez Matejkę jest imponująca (na wystawie zebrano je w specjalnych, ogromnie nużących gablotach).

Jeszcze za życia malarza, przy okazji nadania mu honorowego obywatelstwa miasta Krakowa, wschodnią część dawnego Kleparza przemianowano na plac Matejki. On sam podkreślał swoją pozycję, wykraczającą poza bycie malarzem. W 1892 r. wybitny kolekcjoner Ignacy Korwin-Milewski zamówił u niego autoportret. Podobnie jak inni poproszeni – a byli wśród nich m.in. Anna Bilińska i Aleksander Gierymski – miał namalować stojącą postać z paletą w ręku. Matejko wyłamał się z tego schematu. Siedzi swobodnie w fotelu, paletę odłożył na bok. Spoczywa na opasłym historycznym tomie, jakby chciał pokreślić: nie tylko malarzem jestem.

Synonimem malarza historycznego stał się przede wszystkim za sprawą

wielkoformatowych obrazów poświęconych kluczowym wydarzeniom z dziejów Polski. To za ich sprawą zdobył też międzynarodowe uznanie. Paradoksalnie ich pokazanie (z racji rozmiarów tych płócien) stanowi dla twórców wystaw Matejki największe wyzwanie: na krakowskiej można zobaczyć zaledwie dwa. Dokonano jednak najlepszego wyboru.

„Kazanie Skargi”, pierwszy wielkoformatowy obraz Matejki, to dzieło zaledwie 26-letniego artysty. Stanisław Tarnowski pisał o nim wtedy jako o wielkim przełomie w polskim malarstwie. Dwa lata później powstaje „Rejtan”, nagrodzony złotym medalem na Wystawie Światowej w Paryżu w 1867 r. Jednak w kraju obraz wywołuje skrajne reakcje. Józef Ignacy Kraszewski pisał, że malarz obraził uczucia narodowe. I dodawał: „Policzkować trupa matki się nie godzi”.

Skąd to oburzenie? Matejko należał do uważnych czytelników tekstów konserwatysty Józefa Szujskiego, który przy czyn upadku Rzeczypospolitej upatrywał przede wszystkim w „błędach narodu”. I choć malarz nie do końca podzielał poglądy współtwórcy krakowskiej szkoły historycznej stańczyków, to ich sposób myślenia o dziejach Polski był mu bliski.



ANNA OLCZAKOWSKA / MATERIAŁY PRASOWE MNK X2

Rekwizyty z pracowni Jana Matejki. Muzeum Narodowe w Krakowie, 4 sierpnia 2023 r.

W tych i kolejnych obrazach – w doborze tematów postępował potem znacznie ostrożniej – pokazywał, że nawet w chwilach polskiego triumfu, jak „Bitwa pod Grunwaldem” czy „Hołd pruski”, można dostrzec zapowiedzi przyszłych klęsk. Wynikających nie tylko z działań obcych, lecz z błędnych decyzji, zaniechań czy próżnych ambicji ówczesnych Polaków. Co więcej, zaskakujące dla niektórych nieścisłości w jego dziełach, jak obecność w „Rejtanie” Szczęsnego Potockiego, jednego z przyszłych głównych targowców (był z młody, by uczestniczyć w sejmie rozbiorowym w 1773 r.), nie wynikają z braku wiedzy malarza, lecz są celowym wyborem.

Przez dzisiejsze środowiska konserwatywno-prawicowe Matejko zapewne zostałby określony mianem ojkofoba. Nie bał się bowiem krytycznie myśleć o naszych dziejach. I trzeba przyznać, że twórcy wystawy – chociaż z krytyczną postawą malarza mają pewien problem – przypominają właśnie o tym zapomnianym wymiarze twórczości malarza obiegowo uchodzącego za „pocieszyciela polskich serc”.

Na wystawie przywołano zresztą inny, kluczowy dla niego obraz, „Stańczyka” – niestety pokazano jedynie studium do tego płótna. Stańczyk stał się *alter ego* sa-

mejo Matejki, który ośmielał się mówić (malować) o tym, o czym inni milczą.

Nasza Rzeczpospolita

Muzeum Narodowe w Krakowie, poczynając od zorganizowanej w 2017 r. wystawy „#dziedzictwo” po zaplanowany na lata 2021-2024 cykl „4xnowoczesność”, stale przygląda się znaczeniu tradycji w dzisiejszym świecie, a mówiąc o przeszłości dotyka bardzo aktualnych tematów spornych, jak modele polskiej tożsamości, relacje między modernizacją a tradycją czy między lokalnością i procesami globalizacyjnymi. Ekspozycje pozwalają uchwycić sposób widzenia, hierarchie wartości oraz postrzeganie współczesności przez środowiska bliskie obozowi, który obecnie w Polsce sprawuje władzę.

Wystawa matejkowska bardzo dobrze wpisuje się w ten nurt. Na przykładzie mniej znanych obrazów Matejki pokazano, jak groźna jest pokusa skupienia władzy w jednych rękach czy problem zabezpieczenia sprawiedliwości, zwłaszcza dla nieuprzywilejowanych grup społecznych. Wybór dzieł jest znaczący w kontekście współczesnej sytuacji w Polsce. Maciej Borkowicz skazany przez Kazimierza Wielkiego na śmierć głodową, egzekucja Samuela Zborowskiego w 1584 r.

czy los mieszczan skazanych za zabicie Andrzeja Tęczyńskiego w 1461 r. – te przykłady zostały wykorzystane do rozmowy o modelu państwa. Dotyczą czasów odległych, ale dla środowisk konserwatywno-prawicowych dawne dzieje Polski, zwłaszcza I Rzeczpospolita, są kluczowym punktem odniesienia.

Wystawa Matejki dobrze pokazuje ograniczenia z tym związane. Problemem nie jest bowiem to, że nieustannie rozmawiamy o przeszłości, lecz to, że za jej pomocą dyskutujemy o teraźniejszości i przyszłości, nie zauważając, iż historia narzuca nam coraz mniej adekwatne interpretacyjne wzory. Obrazy twórcy „Hołdu pruskiego” nie objaśnią nam świata, w którym funkcjonujemy – nawet dla współczesnych Matejce nie były przecież w pełni czytelne bez odpowiednich „ściąg”. Natomiast sama postawa Matejki wobec własnej przeszłości – nie zapominając o jego uprzedzeniach – nadal powinna budzić ciekawość, intrygować. Czas o nim wreszcie pomyśleć.

© PIOTR KOSIEWSKI

MATEJKO. MALARZ I HISTORIA,

Muzeum Narodowe w Krakowie,
wystawa czynna do 7 stycznia 2024 r.,
kurator: Michał Haake

W białych rękawiczkach

ANITA PIOTROWSKA

Przypadek Reality Winner to opowieść o współczesnej bezsilności i potrzebie obywatelskiej sprawczości za wszelką cenę. Nawet zagorzali państwowcy muszą dostrzec ofiarę w tej bezprawnie działającej sygnalistce.



TAKIE IMIĘ ZOBOWIĄDUJE, MOŻE NAWET determinuje. A co dopiero tak wymowne nazwisko. Wszak „reality” oznacza „rzeczywistość”, „winner” – „zwycięzcy”. Reality Winner była żołnierką, tłumaczką pracującą dla amerykańskiego wywiadu, sygnalistką oskarżoną o szpiegostwo. Tina Satter nakręciła o niej swój debiutancki film, który do samego końca trzyma w niepewności co do rzeczywistej winy Reality. Zadaje też retoryczne pytanie o to, kim są ci, którzy mają odwagę dawać świadectwo rzeczywistości. Bohaterami czy zdrajcami? Idealistami czy desperatami? W każdym z tych odczytań personalia bohaterki nabierają cokolwiek ironicznego wydźwięku, biorąc pod uwagę to, jak potoczyły się jej dalsze losy.

Jest czerwiec 2017 r. Przeciętny parterowy domek na przedmieściach Augusty w stanie Georgia już za chwilę ogrodzi taśma, a jego mieszkanka po powrocie z zakupów natknie się na oficerów śledczych. Wydaje się ledwie zdezorientowana tą wizytą i gdy zaczynają się przeszukiwania, można by pomyśleć, że bardziej zajmuje

ją komfort domowych zwierzątek niż jej własny. Kiedy jednak w nieużywanej przybudówce agencji Garrick (Josh Hamilton) i Taylor (Marchánt Davis) biorą Reality w krzyżowy ogień pytań, szybko dowiadujemy się, iż nie mamy do czynienia ze zwyczajną dziewczyną z sąsiedztwa, instruktorką jogi i crossfitu. Po służbie w siłach powietrznych Winner planowała wyjazd do Afganistanu i dzięki znajomości języków, m.in. farskiego, dari i pasztu, rozpoczęła pracę dla rządu USA. Dochodzenie w sprawie wycieku tajnych materiałów uczyniło właśnie z niej główną podejrzaną, a Satter po prostu odtwarza tę konfrontację, jedynie z pozoru statyczną czy afilmową. Niechaj nie zwiedzie nas kameralna oprawa. Z każdą chwilą, dzięki bezbłędnie wykreowanemu napięciu i pierwszorzędnemu aktorstwu, historia zyskuje gęstość polityczno-psychologicznego thrillera.

Na tle szermierki słownej rozgrywa się spektakl jednej twarzy, ukazanej bez retuszu, w dużych zbliżeniach. Doprawdy trudno oderwać wzrok od Sydney Sweeney, zbyt pochopnie zaszufladkowanej, głównie za sprawą serialu „Euforia” i pierwszego sezonu „Białego Lotosu”, do kategorii „zdzierowatych blondynek”. Tuż jest nie tylko podejrzaną o ujawnienie informacji wagi państwowej, ale i wystraszoną (a zarazem zastraszoną) młodą kobietą, którą albo usiłuje się w coś wrobić, albo zarzuca się jej coś, co zrobiła w poczuciu wyższej konieczności. Oba przypadki

nie wróżą jej zwycięstwa. Dodatkowo, nie znając faktów i śledząc rozmaite znaki rozsiane po mieszkaniu niepozornej dwudziestopięciolatki, dałoby się snuć także inne scenariusze, przypisać jej skrywany obłęd czy fanatyzm. Ponadto przesłuchujący ją mężczyźni, zrazu grzeczni, opanowani, uśmiechnięci, chwilami wręcz dowcipni, to wytrawni fachowcy w swojej dziedzinie, toteż wiedzą, w jaki sposób przycisnąć do muru osobę w gruncie rzeczy bezbronną. To w nagiej twarzy Sweeney, podobnie jak w milczeniu jej bohaterki, kryje się wiele podpowiedzi, kim naprawdę jest Reality Winner.

Trudno uciec od rzeczywistości, bo już prolog wprowadza nas w otwarte konteksty polityczne. Niedługo przed ukazaniem na ekranie wydarzeniami Reality dowiaduje się z telewizji Fox News, iż Donald Trump zdymisjonował Jamesa Comey’a, ówczesnego szefa FBI, który badał ingerencję Kremla w amerykańskie wybory prezydenckie. Stopniowo okazuje się, jaki związek tamta informacja ma ze sprawą Winner, i dlaczego wynosząc materiały należące do NSA złamała zasady bezpieczeństwa narodowego. Najciekawsze pozostaje pytanie, po co właściwie miałyby to robić, wszakże bycie drugim Edwardem Snowdenem raczej jej nie kręciło i nie sprzyjało potencjalnej karierze w służbach państwowych. Twórcy filmu ociągają się z udzieleniem ostatecznej odpowiedzi. Wolą sumiennie rekonstruować tamto udokumentowane prze-

RADIO KRAKÓW

Powszechnego”. Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

www.radiokrakow.pl

Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika



MATERIAŁY PRASOWE M2 FILMS

REALITY

– reż. Tina Satter.
Prod. USA 2023.
Dystryb. M2
Films. W kinach od
11 sierpnia.

Tina Satter jest nowojorską dramatopisarką i reżyserką teatralną. Cztery lata temu napisała sztukę „Is This a Room” o sygnalistce Reality Winner na podstawie stenogramu jej przesłuchania przez FBI. Stworzyła z tego spektakl wystawiany na scenach off-broadwayowskich. Następnie wraz z Jamesem Paulem Dallasem przerobiła sztukę na scenariusz, czego owocem jest film „Reality”.

słuchanie, słowo po słowie, minuta pod minutę. Inscenizują je w czasie rzeczywistym, aczkolwiek nie włączają do akcji wszystkich obecnych wówczas postaci. Wystarczył scenariusz dla dwojga, w porywach trojga aktorów i odbywające się w pustym pokoju dyskretnie maglowanie – tylko tyle i aż tyle. I jest jakaś metoda w tym ostentacyjnym minimalizmie, dostajemy bowiem coś więcej aniżeli sfilowany teatr dokumentalny.

Przypadek Reality, w wersji scenicznej i ekranowej, to opowieść o współczesnej bezsilności i potrzebie obywatelskiej sprawczości, za wszelką cenę. Nawet najbardziej zagorzali służbiści i państwownicy muszą dostrzec ofiarę w bezprawnie działającej sygnalistce, jakkolwiek film bywa pod tym względem nader powściągliwy. Po prostu stara się trzymać – *nomen omen* – rzeczywistości. Stąd „Reality” na pierwszy rzut oka wydaje się perfekcyjnym studium filmowego realizmu. Lecz choć zrazu operuje tonem czysto sprawozdawczym, narastająca atmosfera osaczenia czy intensywna kreacja Sweeney szybko przełamują nasz dystans wobec tytułowej postaci. Zamiast walczącej z chorym systemem dziarskiej aktywistki, której łatwo kibicować, mamy podaną na widelcu, zaszczutą w białych rękawiczkach dziewczynę, i to ona, o czym dowiemy się poniewczasie, okaże się tu moralną zwyciężczynią. W epoce dezinformacji i postprawdy takich właśnie bohaterów potrzebujemy. W natłoku hollywoodzkich fajerwerków takie kino, mówione przytłumionym głosem, ale otwartym tekstem, działa otrzeźwiająco. Podczas gdy przywołany tutaj dosłownie język werbalny staje się ostrym jak brzytwa narzędziem w rękach władzy, precyzyjnie użyty język kina (podkreślenie dźwięków, osobliwe kadrowanie i zderzanie ujęć) służy demaskowaniu mechanizmów tego pierwszego.

Satter nakręciła „Reality” przeciwko oficjalnym kłamstwom sączonej z politycznych trybun i pozornie wolnych mediów, a przy okazji śmiało zredefiniowała pojęcie patriotyzmu jako służby publicznej. Ponoć prawdziwa Reality Winner, potraktowana nadzwyczaj surowo przez amerykański system sprawiedliwości, mimo że już przy wersji teatralnej udzieliła reżyserce swego poparcia, nie chciała oglądać gotowego filmu. Obawiała się, że przeżywanie na nowo tego dnia, kiedy FBI zapukało do jej drzwi, będzie dla niej doświadczeniem nazbyt traumatycznym. Choć znając jej bezkompromisowość można przypuszczać, że doceniłaby fakt, iż ktoś tak wiernie i zarazem tak przejmująco dał świadectwo rzeczywistym zdarzeniom z jej udziałem. ©

Lektor: O śmierci bez przesady



■ Antoni Kroh
ANIOŁ ŚMIERCI Z KILKU STRON
Rysunki Barbara Magierowa.
Wydawnictwo Iskry,
Warszawa 2023, ss. 232.

„MAM JUŻ OSIEMDZIESIĄT LAT, ŻYCIE ZE MNIE UCHODZI. Uczucie na ogół przyjemne, jak wieczorne zmęczenie po górskiej wędrówce”. I jeszcze jedno wyznanie: „Miałem wspaniałe życie, zebrałem w głowie spory śmietnik, co jakiś czas ni z gruszki, ni z pietruszki wyskakuje coś, o czym jeszcze przed minutą nie miałem zielonego pojęcia”.

Antoni Kroh jest etnografem, pisarzem, tłumaczem z czeskiego i słowackiego – przełożył m.in. Hańskowego „Szwejka”. Jego „Sklep potrzeb kulturalnych” (1999), wspomnienia z dzieciństwa w Bukowinie Tatrzańskiej, dokąd mały warszawiak trafił po wojnie, odrzucone najpierw przez kilku wydawców, zdobyły grono wielbicieli, wśród których znalazła się rodzina Lemów. Organizował wystawy sztuki ludowej, pisał o historii rodzinnej („Starorzeczka”) i o Łemkowszczyźnie. Z Barbarą Magierową – nieżyjącą już plastyczką, autorką subtelnych rysunków ilustrujących wydaną teraz książkę – opracował „Z polskiego na nasze, czyli prywatny leksykon współczesnej polszczyzny”. Teraz dokonuje niezwykłego podsumowania swojego życia i doświadczeń. To rodzaj sylwy, inkrustowanej mnóstwem cytatów – polecam „kajecik-śpiewnik dla ciężko chorych i umierających” – a wśród cytowanych tekstów są zarówno wiersze wielkich poetów, od Kochanowskiego po Leśmiana, jak i anonimowe rymowanki. Znajdziemy tu rozliczenie z dogmatami tradycyjnej etnografii, melancholijne pożegnanie „sztuki neoludowej” i Cepelii, rozważania o kształcie, jaki przybiera współcześnie *pompa funebris*. A także na przykład bliskie mi wyznanie miłości do dzieła Pawła Hertz, monumentalnego „Zbioru poetów polskich XIX wieku”: „Przeglądałam »Zbiór...« i jestem u siebie, w swojej kochanej rupieciarni, w swojej chatce maleńkiej, niczym dziad i baba, niewpuszczający Śmierci. Cytaty latają w powietrzu, którym oddycham”.

Tytuł tekstu pożyczyłem od Wisławy Szymborskiej. Wybaczylaby mi chyba tę pożyczkę – w „Lekturach nadobowiązkowych” zauważyła „Sklep...”, doceniła zarówno warstwę anegdotyczną, jak i głębszy oraz wciąż aktualny sens rozważań o Podhalu i mitach wokół góralszczyzny, zwłaszcza zaś o wielokulturowym Spiszu. I to zdanie: „dobrego pisarza poznaje się m.in. po tym, że nawet o szarzyźnie [mowa o szkole w czasach Bieruta] pisze kolorowo”. Tak, Antoni Kroh to dobry pisarz. ©

OLGA

Drenda: Myszy z kurzu



MIŁOŚNICY STARYCH REPORTAŻY, DO KTÓRYCH i ja się zaliczam, zapewne kojarzą „wcieleniówki” Janusza Rolickiego z lat 60. i 70. Były to przedsięwzięcia dość brawurowe, gdyż autor zatrudniał się na budowie lub w PGR-ze, i o ile z początku zwykle wychodził z pozycji nadgorliwego nowicjusza, przeżalonego wszechobecnymi niedoróbkami i ogólną postawą zwisu, to stopniowo stawał się coraz bardziej wyrozumiały wobec realiów kombinowania, załatwiania i wicie, rozumiecie, wobec których pojedynczy obywatel nie miał szans. Skrupulatnie i na własnym przykładzie opisany proces urabiania człowieka do życia w barejowskim świecie na opak (który, jak podejrzewam, wcale nie odszedł na dobre, tylko może trwać gdzieś w przyczajeniu) warto poznać dla czytelniczej frajdy, ale i ku przestrodze.

Jeden z reportaży Rolickiego zapamiętałam jednak jako zasmucający, ale i pouczający co do tego, jak czytać między wierszami – zawierał bowiem zakamuflowaną tezę, mianowicie próbę wyrobienia w czytelniku przekonania, że należy zlikwidować podwarszawską kolej wąskotorową.

Rolicki powołał się na niezawodny argument z bezpieczeństwa, przekonując, że wąskotorówka to nie tylko tłok i smród, ale i naturalny obszar bytowania chuliganów wyposażonych w noże, którymi dla rozrywki terroryzowali pasażerów. I jakkolwiek łatwo dzisiaj paść ofiarą nostalgicznej wizji PRL jako bezpiecznego i dość nudnego świata, w którym dzieci biegały cały dzień po podwórku bez kontroli, a sąsiedzi wiedzieli wszystko o sobie, to aku-

rat na przełomie lat 60. i 70. miało miejsce kilka wystarczająco głośnych procesów sądowych, by dało się skutecznie wystraszyć czytelnika wizją otrzymania kosy pod zębra. Tak oto kolej dojazdowa stała się „uniwersytem chuliganstwa” (uwaga – w reedycji z 2018 r. reportaż został skrócony o te fragmenty), a metodą rozwiązania problemu miałyby stać się likwidacja i przesiadka do autobusów. Nie będzie kolejki – nie będzie żadnych napaści, bo tak jak myszy z kurzu, tak git-ludzie biorą się z wąskotorówek.

Przypominam tutaj ten wyrafinowany przykład urabiania opinii w kierunku destrukcji, bo stojący za nim sposób myślenia przetrwał lata 70. i ma się znakomicie. Za każdym razem, kiedy ktoś wpada na pomysł rozwiązania jakiegoś problemu przy pomocy cepa, towarzyszą temu próby podobnej argumentacji. Komuś nieostrożnemu zdarzył się wypadek nad stawem? Zakazujemy wszystkim dostępu do stawu. Pojawiły się podejrzenia, że z drzewa może spaść gałąź? Trzeba wyciąć całe drzewo. Na ławeczce na rynku zasnął pijany człowiek? Betonujemy rynek i usuwamy wszystkie ławeczki. Próby leczenia złamanego paznokcia amputacją kończyny są szczególnie widoczne w dyskusjach o budynkach. Oto istnieje sobie jakiś budynek, użytkowany i nieprzeszkadzający nikomu – do czasu, gdy ktoś nie zauważy w nim potencjalnego interesu. Najgorzej, gdy jest trochę brudny, a co gorsza z minionej epoki, choć lata 90. również podziałają na jego niekorzyść. Wtedy zaczyna się ofensywa urabiania, odwołująca się często nie do bezpieczeństwa, tylko do niezidentyfikowanych lęków: padają słowa takie jak „szkarada”, „rudera”, a zwłaszcza „straszy” („jak długo jeszcze będzie straszyć?”). Tym nieszcześciom natury okulistycznej może zapobiec jedynie ratunek w postaci całkowitej demolki i postawienia nowego obiektu deweloperskiego.

Takich przypadków jest wiele, a łączy je niechęć do szukania rozwiązań, znajdowania przyczyn, naprawiania, utrzymywania w dobrej kondycji – a do tego frajda z likwidowania, satysfakcja z rozwałki, bo wyczuwam w takiej postawie coś więcej niż banalny rachunek ekonomiczny. Demolka to również podarowanie sobie odrobiny luksusu: ja sobie rozwałę i zrobię nowe, bo mnie stać. W końcu tylko biedaki przechodzą coś na zapas, cerują skarpety i łatają dachy. Nowe zawsze równa się lepszemu.

Tak pewnie było w przypadku wąskotorówki – obawiam się, że zgrzeszyła głównie tym, iż była stara, więc nie pasowała do gierkowskiej Drugiej Polski. Dlatego musiała ustąpić flocie pojazdów jelcz berliet, w których, jak wiadomo, nie pojawiał się nigdy żaden chuligan. Pewnie czuwał nad nimi sam kapitan Żbik.

Myszy biorą się z kurzu, a wszelkie problemy z tego, że istnieją rzeczy takie jak budynki, drogi, drzewa, ławki oraz kosze na śmieci. W tym celu należy usunąć wyżej wymienione. Okazuje się, że wielki prorok mimo woli, Krzysztof Kononowicz, wiedział, co mówi, głosząc, że „nie będzie niczego”. ©

Ile kurzu
potrzeba,
by powstała
taka mysz?



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo: Doznania między miastami



JĘŚLI CHODZI O POTĘGĘ SMAKU, to wczesne śliwki mogą węgierkom z końca września buty czyścić. Ale, jako miłe oczom czekadełko, mają swoje miejsce w nieboskiej ekonomii zbawienia przez łakomstwo. Tamte,

gdy przejdą apogeum dojrzałości, prowadzą nas goryczkowym szlakiem na szczyty tego „bycia w ciele”, za które przez resztę roku płacimy krocie nauczycielom wszelakiej medytacji. Te banalnie słodkie, wodniste sierpniowe kulki jada się raczej wzrokiem. Potworna mnie ulewa dopadła w sobotę na targu w Falenicy, ale zatrzymałem się przy straganie, który miał ich ogromny wybór, zgarnąłem po trochu każdego rodzaju z zamiarem, że zrobię martwą naturę na Instagrama.

Wiem, to nieładnie tak traktować żywność, gdy się nie jest mistrzem holenderskim. Jednak obywatelstwo naszych czasów narzuca pewne gesty i obyczaje. A śliwek nie zmaruję, pozjadam pomału, bawiąc się tym, jak drażnią mój umysł. Renklody zacząłem traktować serio dopiero, gdy zdałem sobie sprawę, że ich francuska nazwa jest na cześć królowej Klaudii Walezjuszki, babci naszego Henryka (ledwo pół roku na tronie, ale jeśli chodzi o wzorzec bezsensownego projektu politycznego, to bardzo swojsko-polski). Wpadające w purpurę jerozolimki stawiają egzotyczną zagadkę: w której to mianowicie Nowej Jerozolimie je wyhodowano i koło której z jej stacji. Nie znam nikogo, kto by się na dźwięk słowa mirabelka nie uśmiechnął, są w nim bezwstydną patrzenie na odsłonięte w upale kolana i landrynkowe marzenia. Znacznie to przekracza walory zmysłowe, przesadnie opiewane, od kiedy pokolenie X wrzuciło tę skromną śliweczkę do słoja z nostalgią za dorastaniem na wyboistych podwórkach.

Jedni go zaznali, drudzy nie, ale skojarzenie podwórkowe oddaje tę mirabelną zdolność do porastania koślawych obrzeży, obszarów, gdzie nie wiadomo, jak się zachować, czy jeszcze po miejsku, czy już zupełnie na bosaka. Drzewo mirabelkowe okupuje nawet – niezła zachwałość – wejście do malinowego chruśniaka w Iłży. Czy raczej do beładnych chaszczu u stóp góry zamkowej, zamkniętych za zardzewiałą furtką. Turysta z gatunku tych, co żądają, żeby im w Weronie balkon Julii pokazać, nie zazna satysfakcji, zresztą sam dom rodzinny poety, krępa budowla pofabryczna,

stoi zapyziały i w miejscu najzupełniej nijakim. Klucz dosłowności nie otwiera żadnych drzwi do poezji wartkiej swego miana. A jednak co parę lat wracam, sam nie wiem, po co. Upewnić się, że znowu nie wypiękniał, a smętek wciąż trwa dookoła. Podebrać osom garść mirabelek i stwierdzić, że smakują jak każde.

W przeciwieństwie do paru innych płodów ziemi, po które jadę daleko, bo smakują, jak żadne. W tamtej deszczowej Falenicy byłem przecież po pomidory od Ziółka, chyba zdążyliście się przyzwyczaić, że wobec nich jestem jak narkoman. Już ugryzione tak po prostu wydają się two-rem z innego porządku niż zwyczajne pomidory. Z dodatkiem soli wiercą w mózgu dodatkowe kanały między półkulami. A gdy na nie położyć listek saławii i kroplę oliwy, albo cienki jak błonka plasterek czosnku – to otwiera się w sumie smutne doświadczenie końca drogi wzwyż. Pętla i do zajezdni zjazd. Przypomina mi się wtedy kolega z czasów, gdy organizowałem dla redakcji winiarskiego pisma degustację: człowiek nieskory do emfazy, umiarkowany w ekspresji. Przy pewnym winie zwiesił głowę, zapadł się, posmutniał. Na pytanie, czemu tak reaguje, zamiast się radować, odparł, że to jest tak wielkie wino, iż raczej już nie zdąży w życiu zaznać lepszego, że już nie ma na co czekać. Na szczęście szybko wróciła mu nadzieja. Tak jak mi, kiedy przemierzam się z Warszawy do Krakowa, gdzie na Stawach czekają na mnie inne pomidory, o których już też wam nudziłem. A nuż okazały się lepsze?

Rozpięcie życia pomiędzy miastami pozwala rozdzwajać doznania na równoległe szeregi, dwie hierarchie pobudzeń. Jestem – to raczej pewne – jedyny na świecie, który kupuje regularnie u Ziółka i u Grzegorza. W chwilowym przypiływie pychy urządziłem porównawczą degustację w ciemno. Zachciało mi się zostać Parysem, ale przy stole siedziało dziecko, które głupie ciotki pytają, czy kocha bardziej mamusię, czy tatusia. Czasem myślę, że warto (może za waszą radą?) poszukać innych wyjątkowych plantatorów. Ale czy ja jestem gotów żyć w patchworkowej rodzinie? ©P

Podwórkowe dzieciństwo pokolenia X to także łatwe desery, które mamy robiły z przepisów na opakowaniach produktów spożywczych. Taki kultowy status miał we Francji deser drukowany na paczce herbatników LU – kiedyś widziałem je w Polsce, potem zniknęły, ale możemy użyć innych z kategorii petit-beurre, np. Leibniz. To jest po prostu przekładaniec z nasączonych kawą ciastek i kremu – takie podwórkowe tiramisu. Ucieramy 120 g miękkiego masła z 100 g cukru.

Dodajemy żółtko, potem delikatnie wkręcamy ubite na sztywno białko. Łączymy (z grubsza, ostrożnie, krem nie musi być jednorodny) ze 100 g stopionej i wystudzonej gorzkiej czekolady. Moczmy herbatniki w wystudzonej kawie (uwaga! Raczej krócej niż biszkopty do tiramisu, trzeba zrobić parę prób). Kładziemy jedną warstwę, np. dwa rzędy po trzy, smarujemy cienko kremem, następnie ciastka i tak dalej.



POTWÓR JEST GŁODNY

Kto nie szedł przez to miasto,
ten nie jest w stanie choćby sobie wyobrazić,
jak nieskończona jest przestrzeń
zwana Neapolem.

ŁUKASZ NADJER

W NEAPOLU ZAMIAST DESZCZU SPADAJĄ POJEDYNCZE KROPLE. Lodowate, szkliste niczym lzy robota. Ale tylko ludzie naiwni, bo nietutejsi, mogą uznać to za wróżbę rychłej ulewy. Neapolitańczycy nie zadzierają nawet głowy i twardo prą chodnikiem dalej. Wiedzę, że niektóre spośród tysięcy klimatyzatorów, którymi obwieszono miasto, ciekną i stąd właśnie przeszywające ukłucia w spieczony kark, nakremowane ramiona, lśniąca od potu twarz, dekolt.

Umęczeni turyści postępują z kolei na odwrót i dlatego wyglądają, jakby brali udział w rytuale obłaskawiającym meteorologiczne bóstwo – wpływowe i skąpe. Zastygają bowiem raptownie, wyciągają przed siebie otwartą dłoń, patrzą w słońce. Lecz żadnego zmiłowania nie będzie. Piękno i skwar bez końca. Neapol. Lato w Neapolu.

Lato robiło różnicę

Nie chciałem spędzić w Neapolu urlopowych dni. Pragnąłem w to miasto wstąpić, jak wstępuje się do rzeki, o której wiadomo, że jest ogromna i ciemna, ale nic ponad. Przed wyjazdem darowałem więc sobie filmy i książki, w których Neapol uczyniono tematem głównym, i historię tegoż, gdy był Neapolis, stolicą Królestwa Obojga Sycylii, oswobodzonym przez aliantów gruzowiskiem, sceną Achillego Laura, ekscentrycznego burmistrza-populisty, niwą camorry.

Szerokim łukiem ominąłem również zarejestrowaną smartfonami neapolitańską współczesność, od której pęczniał w szwach Instagram i YouTube. Uznałem, że komplet podstawowych symboli i faktów – Wezuwiusz, Maradona, Herling-Grudziński, śmieci, Ferrante – w zupełności wystarczy, by ruszyć na gorliwe, skrupulatne peregrynacje. Zarazem narastało we mnie przecucie, rodzaj nadziei, którą wsączyli do mojego serca niezłomni entuzjaści Neapolu, że mogę tam – tam i nigdzie indziej – doświadczyć tego wszystkiego, co uważałem za definitywnie stracone.



PAWEŁ JASKÓŁKA / REPORTER

Choć już od dawna wyprawiałem się dalej i dalej, to jednak w każdej z tych podróży nie zdołałem wyżyć się dojmującego wrażenia, że wcale nie opuszczam miejsca zamieszkania, wciąż siedzę w pracy, dalej przeżywam tragedie i problemy kraju, toczę spory w internecie. Bez przerwy układam w myślach filipiki, paradoksy, orędzia, które opublikuję na Facebooku bądź Twitterze, narkotycznie chłonę informacje albo ich wyczekuję. Obojętne, czy bawiłem w Portugalii, czy na Krecie, byłem uwięziony, niecierpliwy, przejęty, zalogowany.

A przecież jeszcze pamiętałem wakacje, z których wracałem odmieniony – wyższy, mniej naiwny, obdarzony nowym głosem i zainteresowaniami. Przez pierwszy dzień czy dwa spoglądałem wtedy na bliskich jak na dobrodusze upiory o znajomych rysach, bo tak intensywne były te kolonijne tygodnie poza domem, aura obcych, dalekich stron, wpływ koleżeńskiej wspólnoty – plemienia, do którego zostałem przyjęty w Debrznicy, Sienawie, Jastrzębiej Górze.



Quartieri Spagnoli, Neapol, 7 września 2021 r.

Lato stanowiło różnicę. Między drugą połową czerwca a początkiem września kłuła się ze mnie kolejna wersja człowieka. Po miesiącu na lotnisku w Głównie wybudzałem się ze snu, który trwał rok i podczas którego śniłem gry i zabawy w niebotycznym lesie sosnowym. Całonocna jazda trzęsącą się kuszetką do Kołobrzegu już za Poznaniem nabierała rozmachu i tajemniczości rodem z Juliusza Verne’a – sunąłem oto przez głębinę w okręcie podwodnym, zmierzałem ku bladej kuli Księżyca, wpływałem do strefy tropików. Z Mazur przywiozłem wypreparowaną czaszkę szczupaka i przekonanie, że odwiedziłem, ja, wielkomiejski lalusz, inną planetę, planetę ryb i koni.

Oczywiście moje duchowo-fizyczne metamorfozy wreszcie ustały, ale wciąż, na licealnych biwakach, w trakcie studenckich wypraw, przy okazji skromnych, lokalnych rajz absolwenckiego bezrobocia, umiałem, choćby i chwilowo, wydostać się poza ten świat. Dorosłość oznaczała kres przygód i osobliwych doznań. Skończyły się transgresje, zaczęła – turystyka.

Lecąc do Neapolu, wiedziałem, że nie uda mi się powtórzyć tamtych objawień. Na pewno nie w pełni. Musiałbym znowu być dzieckiem, nastolatkiem albo przynajmniej słuchaczem trzeciego roku filologii polskiej. Miejsca oddziałują tym silniej, im jesteśmy młodszy. To najczystsza fizjologia – lokalny fluid łatwo dobiera się do świeżego serca i umysłu, a odbija od skorupy wieku dojrzałego. Czas minął, moje poprzednie „ja”, wrażliwe i podatne, umarły. Liczyłem zatem choć na jeden pogański dzień, gdy poczuje, że istotnie znalazłem się „gdzieś dalej, gdzieś indziej”, na krótko zerwałem łączność z moim dotychczasowym życiem, naruszyłem granicę, pochłonął mnie ten potwór, Neapol.

Pustostany

Nasz rodzinny plan na Neapol był jasny i prosty, choć potrzebowaliśmy kilku ładnych lat, by wyklarować w sobie tę topograficzną mądrość, a wraz z nią – technikę przemieszczeń. Po kilku wakacjach spędzonych z nosem w mapie bądź przed ekranem z GPS uznaliśmy, że mozolne krecie brnięcie od punktu do ➔

→ punktu nie przysparza zbyt wielu estetyczno-społecznych profitów godnych poobcieranych stóp i ekspozycji na rakotwórczy żar. Albowiem zamiast napawać się miastem i być w mieście, czytaliśmy w kółko instrukcję obsługi miasta. Stąd radykalna decyzja powzięta bodaj w Sewilli, że sprawę należy załatwić po sebaldowsku, co oznaczało „łożenie wzdłuż i w szerz po mieście” tudzież „chodzenie przez cały dzień aż do zupełnego wyczerpania” (przeł. Małgorzata Łukasiewicz). Jako taka orientacja w terenie i ruch, dryf, frenetyczna cyrkulacja.

Od Przewrotu Sewilskiego byliśmy zatem wojażerami totalnymi. Braliśmy wszystko, nie stroniliśmy od niczego. Nie miała się nas zatem ani przewodnikowa filozofia zaliczania obowiązkowych atrakcji turystycznych, ani tym bardziej snobistyczna antywycieczkowa fobia, w myśl której klienci biur podróży, ci pątnicy w białych kapeluszach sunący kolumnami po brukach Florencji, Barcelony, Paryża, Wenecji, zasługują na pogardę. Przecież jedyną właściwą metodą poznawania obcych krajów jest ostentacyjne korzystanie wyłącznie z, jak to się mówi, nieutartych szlaków, kwaterowanie w dziurach i na zadupiach, przedkładanie prowincji, najchętniej bałkańskiej, nad hałas i hurmę metropolii, by tam napawać się ascetycznym zestawem osobistych potrzeb oraz cennym, niedzisiejszym marazmem wioski pod Timișoara, albańskiego wybrzeża, Maroka po sezonie.

Wiedzieliśmy, że obierając taką strategię możemy ominąć jakiś arcydzielny pomnik, kultowy lokal czy muzeum zasobne w płótna niderlandzkie i surrealne, ale w zamian zyskiwaliśmy coś innego, coś, na czym nam szczególnie zależało, a mianowicie – dostęp do życia miasta, zaznanie energii tego miejsca.

„Kto jedzie w celu studyów nad sztuką, może się zamknąć nad książkami, w muzeach; chcąc poznać lepiej kraj, nie godzi się niczem gardzić, co jakąś stronę życia odkrywa”, napisał Józef Ignacy Kraszewski w „Kartkach z podróży 1858-1864 r. Ks. 2, Włochy, Neapol, Francja, Belgia, Niemcy”, którą to myśl uznaliśmy i za nasze *credo*. Dlatego taką samą radość i wiedzę czerpaliśmy z wizyty w obleganym przez turystów z całego świata Mont Saint-Michel, jak i ze spaceru wymarłymi przedmieściami San Gimignano, które wyglądało – tam! – niczym Milánówek z palmami. Zwiedzaliśmy cmentarze, pola bitew, supermarkety, klasztory, blokowiska i adresy Gaudiego, wokół których garnęły się tłumy. W Rouen pielgrzymowaliśmy do grobu Flauberta i smutnych hamburgerowni po drugiej stronie rzeki. Podążaliśmy szlakiem nieczynnych kalabrijskich stacyjek kolejowych, nicejskich hoteli, w których bywał Nabokov, pustoszanów w Porto, placów zabaw w Southampton, kreteńskich targów owocowych i warzywnych.

Głównonogi

Pierwszego dnia w Neapolu powzięliśmy ambitny zamiar, by pieszo udać się na plażę. Tyle wystarczyło – ogólny kierunek, obiekt na horyzoncie. Pomiędzy dzielnicą Arenaccia, w której mieszkaliśmy, a celem wędrówki rozciągało się miasto zupełnie nam nieznane i wielkie. Był to labirynt o nieskończonej ilości skrótów, zakrętów, ślepych uliczek, pomyłonych skrzyżowań, bliźniaczych placów, identycznych ulic, nazw, które brzmiały poetycko, bo po włosku, ale bez znajomości języka pozostawały tylko dźwiękiem, komunikatem wysłanym do kogoś innego. Kto nie szedł przez Neapol, ten nie jest w stanie choćby sobie wyobrazić, jak nieskończona jest przestrzeń zwana Neapolem.

Zarazem jakże trudno pokonać to miasto na własnych nogach. I rzecz nie w samych odległościach i upale. Bo w Neapolu gdzie się nie obrócić, nie zajrzeć, nie wejść, od razu wyłania się przed oczami filmowa scenka rodzajowa, pokaz archaicznych bez mała obyczajów, mistrzowski kadr, niepowtarzalna gra form architektonicznych, barw czy porządków historycznych albo mieniący się detal samorodek.

Dlatego przyjezdny, zwłaszcza ten, który po raz pierwszy znalazł się w Neapolu, przystaje co parę kroków i robi zdjęcie. Nie chce pozwolić, by bezpowrotnie przepadł cień wrzynający się w gąszcz naświetlonych, gigantycznych skrzypów w Orto Botanico, wiatr, który animuje ręczniki i flagi zwisające z balkonów na via Camillo Porzio, Wezuwiusz zabelony mgiełką, dojrzałe czerwcowe słońce rozlewające się na błękitno-biały blok wzniesiony między via Michele Morelli a via Giacinto Albino, minidżungle samosiejek sterczących na dachach i w oknach opustoszałych budynków. I ten kot drzemający pod murem w skrzyneczce po figach czy połysk wystawionych na sprzedaż głownogów, o których można pofantazjować, bo są takie wilgotne, jędrne i kształtne, że to ludzkie organy oferowane w przystępnej cenie dwudziestu euro za kilogram.

Dwuznacznie

Neapol to być może najpiękniejsze miasto świata. Tyle że nie roztacza pocztówkowego czaru ani też nie magnetyzuje futurystycznym urokiem wprost z cyberpunkowej przyszłości. Estetyka Neapolu jest dość mroczna, ostra, nieoczywista, trudna nierzadko w odbiorze. Jeśli ktoś umie dostrzec piękno w rozpadzie i chaosie, dostrzeże piękno tego miasta.

Podobnie z nadmiarem – wszystkiego tu jakby dużo i za dużo. Ludzi, skuterów, graffiti, wizerunków Maradony, zaparkowanych nieprawidłowo aut, klaksonów w użyciu, klubowych szarf rozpiętych nad głowami przechodniów i monstrualnych kamienic, które na dodatek dosłownie uginają się pod ciężarem klimatyzatorów, lodzii, daszków, suszarek, kabli, skrzynek, żaluzji, anten i najróżniejszych dobudówek. Ale w rezultacie dlatego właśnie Neapol jest żywy, przez co i piękny.

Nie ma nic piękniejszego niż miasto w użyciu. Miasto, takie jak Neapol, które ukształtował przerost. Miasto rojne i głośne. Rozwibrowane od nieustannego ruchu. Miasto do samodzielnego złożenia. Plastyczna bryła, która onegdaj spadała z kosmosu. Niewyczerpywalne tworzywo, na którym pracują jego mieszkańcy – kombinatorzy, majsterkowicze, wynalazcy, ci w potrzebie, domorośli geniusze.

Piękno Neapolu będzie nadto pięknem bardzo rozległego miejsca, w którym wydarzyły się już wszystkie epoki i teraz ich resztki – ich podupadłe, materialne reprezentacje – funkcjonują obok siebie. Zamki obronne i automaty telefoniczne na kartę, freski z Pompejów i tablice upamiętniające walkę z faszyzmem, Teatro di San Carlo, na ponownym otwarciu którego doznał Stendhal w tłumie istotnej szkody, „dwie poły mego ubrania zostały oderwane” (przeł. Leszek Sługocki), i balladowskie wieżowce niedaleko dworca, metro i katedra z relikwiami św. Januarego.

Ten urok bywa jednak dwuznaczny – może okazać się pułapką. Zachwyt i uwiecznianie miasta oznacza wszak w przypadku Neapolu nader często uwiecznianie zaniedbań, biedy, nieładu i egzystencji na poziomie socjalnego minimum.

Neapol to niewyczerpywalne tworzywo,

na którym pracują jego mieszkańcy – kombinatorzy, majsterkowicze, wynalazcy, ci w potrzebie, domorośli geniusze.



CANALI / EAST NEWS

Uliczny targ w Neapolu, 2011 r.

To po wielokroć zachwyt nad beznadzieją i syfem. Przyjemnie i wzniosłe jest opiewać syf, gdy jest się w syfie przejazdem. Łatwo rzucić refleksyjne banały o autentyzmie zapuszczonych okolic, jeśli nie trzeba pośród owego „autentyzmu” żyć. Turyści uwielbiają turpizm, bo ten nie dość, że jest wyrafinowanym argumentem przeciwko przesłodzonym resortom i miasteczkom, to jeszcze i świetnie wypada na zdjęciach.

Ostatecznie – sam najpewniej nie byłbym lepszy. Czyż mogłem bowiem oszacować, na ile moje przekonanie o pięknie Neapolu byłoby równie silne i entuzjastyczne, gdybym na stałe mieszkał w tym rozgwarze i ciasnocie, wychowywał się na którymś z licznych podwórek studni, wegetował z rodziną w jednym z tych, jak opisywał w „Cieśninach” Wojciech Nowicki, „mieszkanek na parterze, niewielkich zagłębień jak nory”, gdzie „jedynе światło dochodzi tam z pół okien, pół drzwi, ciągle otwartych, bo duszno”. Gdybym każdego ranka i popołudnia mijał żebraków, nieopróżniane od dawna kontenery, porzucone samochody, zaniedbane imigranckie dzieci siedzące na chodnikach, nieczynne, zdemolowane stacje benzynowe, obklejone czym tylko się da i umazane sprejem ściany budynków, legowiska bezdomnych, spowite zieloną siatką zabezpieczającą ruiny o zamurowanych oknach i drzwiach?

Z Neapolem trzeba uważać. Gładko da się tutaj przejść od naocznych obserwacji do uogólniających, krzywdzących wniosków i potwierdzenia – sobie i znajomym w Polsce – stereotypów. To zresztą jeden z ulubionych sportów turystów, również i tych w Neapolu, którzy po tygodniu bądź miesiącu pobytu wydają sądy o tym, jacy są neapolitańczycy, a nawet Włosi w ogólności. Lecz tak naprawdę trudno dociec, kim w istocie są ludzie, o których niewiele wiemy, obok których nie spędzamy nocy i dni, z którymi łączy nas tymczasowy kontakt wzrokowy, słabość do makaronów i wina, Unia Europejska, gatunek.

Czarny miął

W niektórych częściach Neapolu jest tyle śmieci, że wyglądają niczym jakieś zapomniane, starożytne pismo obrazkowe – ważki przekaz zaklęty w hieroglifie, wyryty na trawniku, utrwalony wzdłuż krawężników. To pornografia odpadków, orgia plastiku, przetłuszczonej tektury, niedojedzonych resztek i szkła. Nocami zaś niewątpliwie szwedzki stół dla karaluchów

i szczurów. Ale czy ich widok cokolwiek wnosi – powinien wnosić – do naszej wiedzy o charakterze, kulturze i osobowości neapolitańczyków? Czy mamy poprzestać na krzywdzącym stwierdzeniu, które nieraz słyszeliśmy od tych, co w Neapolu byli przed nami, że „oni żyją tam w brudzie” albo przynajmniej „im to nie przeszkadza”? Czy może raczej należy spojrzeć nieco szerzej i wniknąć za ów stan władze miasta, niewydolność instytucjonalną, korupcję i przekręty z mafią w tle, wobec których mieszkańcy są dość bezradni, więc nie im powinno być wstyd? Przecież jednocześnie Neapol to miejsce, gdzie obsesyjnie dba się o czystość. Z okien, suszarek i balkonów powiewa od rana do wieczora pranie, przez co ulice wyglądają, jakby bez ustanku trwało Boże Ciało albo wszystkie dzieci tego miasta wróciły akurat z kolonii.

Tego pierwszego dnia w Neapolu nasz marsz zakończył się na dzikiej plaży tuż za Monumento ai Caduti del Mare, na którą trzeba było się dostać przez dziurę w siatce. Widzieliśmy stamtąd Capri i Sorrento, Castel dell’Ovo, mnóstwo łodzi i jachtów, jak i Wezuwiusza. Nasz synek, Gustaw, nie zważał na czystość wody, która z wolna, pod wpływem pławiących się wielu ciał, nabierała konsystencji ulepku, i brał wrzaskliwą, radosną kąpiel. Natomiast my ze zdumieniem przesiewaliśmy w dłoniach ów czarny miął, który zalegał tam, gdzie oczekiwaliśmy kamieni bądź piasku.

Dopiero później, gdy wróć do Zgierza, przeczytam u Normana Lewisa o „antracytowych plażach” Neapolu (przeł. Janusz Ruszkowski). U Asji Lācis i Waltera Benjamina o „ognistej kurzarwie miasta” (przeł. Ireneusz Kania). U Henry’ego Jamesa o „bezlitosnej czerwcowej urodzie Zatoki Neapolitańskiej” (przeł. Anna Arno). U Józefa Kremera o „odurzającej, szumnej i hałaśnej ludności neapolitańskiej”. U Curzia Malapartego – „To nie miasto: to świat” (przeł. Jarosław Mikołajewski). Z „Przewodnika po Włoszech” wydanego w 1944 r. przez Oddział Propagandy i Kultury A.P. dowiem się, iż „Neapol i jego okolice posiadają tyle wartych widzenia szczegółów, że dla należytego ich poznania trzeba długich tygodni”. U Sándora Máraiego z kolei przeczytam, że z Neapolu „trzeba wyjeżdżać powoli” (przeł. Teresa Worowska).

Gdy wrócimy do Zgierza, po dwóch tygodniach w skwar-nym i pięknym Neapolu, już pierwszej nocy spadnie deszcz i będzie padał aż do rana.

© ŁUKASZ NAJDER

STANISŁAW

Mancewicz: Pol-świątek



OTO POPATRZMY: ŻYJEMY W TAK DZIWNYM świecie, że chciałoby się rzec: to niemal półświątek. Padło to słowo nie bez – za przeproszeniem – kozery. Każde dziecko zna znaczenie słowa „półświątek”, ale my dziś użyliśmy go z zamiarem roztoczenia aury wieloznaczności. Wieloznaczność jest naszą ulubioną aurą.

Poza słownikową definicją półświatka, która jak ułaj pasuje do opisu aktywności wielu i najwyżej, i niżej usadowionych funkcjonariuszy naszego państwa, półświątek, wedle naszego rozumowania, znakomicie oddaje tutejsze podejście do rzeczywistości. Otóż przyglądając się aktywności wszelakich władz, można bez cienia przesady rzec, że żyjemy jednak nie w pełnym świecie, lecz w jego połówce. Ktoś, już oburzony, ale wciąż jeszcze jako tako grzeczny, poprosi nas teraz o rozwinięcie tej znakomitej tezy.

Rzec tu więc trzeba twardo, że zajmowanie się w dzisiejszym świecie przez wyższą izbę parlamentu problemem łańcucha koronacyjnego, w którym miałby występować p. A. Duda, jest zaprawdę znakomitym przykładem funkcjonowania w półświecie. Chodzi o pomysł polityków PiS-u – to wyjaśnienie dla szczęśliwców nieśledzących zdarzeń z innej połowy świata – wyprodukowania repliki łańcucha króla Stanisława Poniatowskiego. Materiał: złoto i brylanty. Dużo złota i dużo brylantów. Koszt – miliony złotych. Pomysł upadł w głosowaniu, ale jednak zajmowano się nim od bardzo dawna. Zapewne wydano nań już mnóstwo forsy do teraz, na poziomie planowania, rysowania i wycenienia.

Gadania i argumentowania, pisania i przepisywania oraz gmerania w archiwach. Ile wydano – tego nam, jak tu ponuro siedzimy – nikt nie powie. Szukanie teraz odpowiedzi na ulubione przez nas pytanie „po co?” nie ma oczywiście sensu. Nikt w Polsce na to pytanie nigdy nie odpowiada albo się – co częstsze – natychmiast z jego powodu obraża. Już się tu nie raz i nie dwa żaliliśmy, że żyjemy w kraju, w którym zapytanie polityka „po co?” uważane jest za obraźliwe, a jego zadanie może być uznane za zdradę stanu.

Oczywiście z braku innych zajęć można się dziś zająć fantazjowaniem na temat klejnotów koronnych, na nowo zrobionych kosztem ogromnych sum z pieniędzy publicznych. Można dziś bez poczucia śmieszności czy niestosowności projektować klejnoty, łańcuchy berła i korony. Ozdoby dla rządzących, rozmarzonych fantazjami w tej właśnie estetyce, będących jednak wciąż – co dziwne – wybrańcami ludu, a nie pomazańcami bożymi. Tak się nam ta fraza spodobała, że zmuszeni jesteśmy ją rozwinąć: otóż wielu z nich zdążyło uwierzyć, że w Polsce funkcjonuje już coś na kształt monarchii, na pewno ze światem latyfundiów, dworów i dworzków, dworzan, dwórek i paziów. A więc stosowny sztafaż jest niezbędny. Minister kultury zupełnie serio oświadczył, że produkcja złoto-łańcucha z brylantami jest uzasadniona w każdym sensie. Właśnie dzisiejsze podejście do sensu nas tak podnieca. Do nieswoich pieniędzy, do marzeń, do własnego wizerunku, do wojny i pokoju, do świata zewnętrznego, owo podejście ściśle połówkowe, oderwane i wymyślone, z kosmosu wzięte, z Marsa, z przedszkola, z komiksu... jest tak fascynujące.

Gdy się idzie tym tropem i w tym klimacie, wszystko wydaje się możliwe. Zaiste nie ma już dziwnych pomysłów ani strasznych, ani śmiesznych, ani żenujących, o których człowiek mający zero promili w wydychanym powietrzu mógłby powiedzieć, że są tu niemożliwe do ogłoszenia przez władze kościelno-państwowe. Żyjemy nadzieją, że ktoś gdzieś je spisuje, że kiedyś zostaną ogłoszone w ładnie ilustrowanej Wielkiej Księdze Polskich Pomysłów. Ku przestrodze przyszłych pokoleń, jeżeli takowe oczywiście przyjdą na świat, a w zasadzie tu, na Pol-świątek.

©

BARTOSZ MINKIEWICZ



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nowość!

PEŁNE DOŚWIADCZENIE TYGODNIKA W DOBREJ CENIE

Najlepsza opcja!

Papierowy premium + cyfrowy roczny



- Otrzymujesz wszystkie numery
- Dostajesz pod wskazany adres
- Gwarancja szybkiej dostawy
 - Natychmiastowy dostęp
 - Zapamiętaj i czytaj później
- Wybrane teksty przed wydaniem w kiosku
- Wydanie w pliku PDF

729,99 zł

Papierowy + cyfrowy



- Otrzymujesz wszystkie numery
- Dostajesz pod wskazany adres
 - Natychmiastowy dostęp
 - Zapamiętaj i czytaj później
- Wybrane teksty przed wydaniem w kiosku
- Wydanie w pliku PDF

599,99 zł

Prenumerata roczna



- Otrzymujesz wszystkie numery
- Dostajesz pod wskazany adres
- Nie musisz szukać w kiosku

550,00 zł

Prenumeratę papierową + cyfrową kupisz na TygodnikPowszechny.pl/sklep

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- prenumeratę papierową kupisz przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Potrzebujesz pomocy? Zadzwoń lub napisz

W sprawie prenumeraty cyfrowej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrzc w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	100 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA*	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Pełna oferta, w tym krótsze okresy oferty łączonej na TygodnikPowszechny.pl/sklep

PARTNER MARKETINGOWY

SALESi||manago
marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PATRONAT HONOROWY
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
ANDRZEJA DUDY

chopin i jego europa 2023



19. międzynarodowy festiwal muzyczny
„chopin i jego europa”
warszawa 18.08—1.09

festiwal.nifc.pl
bilety.nifc.pl

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

MECENAS



DARCZYŃCA



PARTNER GŁÓWNY



WSPÓŁORGANIZATOR



PARTNERZY



PATRONI MEDIALNE